



BEVERLY BARTON

POWRÓT

BUNTOWNIKA

PROLOG

Ze swego miejsca na ławie oskarżonych Dylan Bridges rzucił ojcu spojrzenie przepelnione nienawiścią i rozpaczą. Do ostatniej chwili miał nadzieję, że ojciec przyjdzie mu z pomocą. Nic z tego! Zimny i surowy, zawsze przestrzegający prawa sędziego Carl Bridges nie ruszył palcem dla ratowania swego jedyne go syna.

Jakże był naiwny, licząc na to, iż ojciec mimo wszystko skorzysta ze swych wpływów i znajomości, by uchronić syna od ciężkiej kary, albo przynajmniej przemówi w jego obronie! O nie, byłoby to poniżej godności kierującego się zawsze suchą literą prawa sędziego i człowieka wiernego zasadom bez względu na okoliczności, który ojcem był tylko z nazwy. Odkąd cztery lata temu zmarła mu żona, sędzia Bridges niemal całkowicie przestał się Dylanem zajmować. Leda Bridges, póki żyła, tworzyła pomost między ojcem a synem, dbając o dobrą atmosferę w domu. Dylan nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wraz z jej odejściem ojciec przestał go kochać i całkowicie oddał się swojej pracy.

Doigrałeś się, myślał Dylan. Za parę dni wylądujesz w poprawczaku dla nieletnich w Teksasie. Na dwa lata! Będzie miał osiemnaście lat, kiedy wyjdzie na wolność. Jak mogło mu się coś podobnego przytrafić!

Chociaż w ostatnich latach zdarzało mu się popełniać najrozmaitsze głupstwa, miewał nawet zatargi z prawem, to jednak porywając cudzy samochód wykręcił ekstra - numer, nawet jak na siebie. Kradzież samochodu to już nie jest drobne wykroczenie, jakich miał na koncie wiele.

- Jeszcze nigdy w życiu na nikim tak bardzo się nie zawiodłem jak na tobie - oświadczył synowi sędzia Bridges. - Co ci strzeliło do głowy, żeby wybrać się na przejażdżkę kradzionym samochodem, a na domiar wszystkiego wplątać w swoje nieczne sprawy córkę Jocka Delarue?

Czy tym, co najbardziej ojca wkurzyło, był związek z występkiem syna zamach na dobre imię Maddie Delarue, pierwszej partii w Mission Creek, której ojciec po prostu ociekał szmałem? Czy Dylan łatwiej by się z tego wykręcił, gdyby nie porywał ze sobą Maddie, a jedynie zrobił wypad „pożyczonym” z klubowego parkingu autem? Zapewne tak. Czy to możliwe, by ojciec wolał wydać własnego syna wilkom na pożarcie, niż narazić się Jockowi? Jakkolwiek było, Dylan wiedział jedno: ojcu szalenie imponowało pozostawanie w bliskiej komitywie z takimi teksańskimi potentatami jak Jock Delarue, Archy Wainwright czy Ford Carson, z którymi regularnie grywał w golfa.

Więc po jakie licho obiektem swoich westchnień Dylan uczynił piękną Maddie o płomiennie rudych włosach? U której nie miał najmniejszej szansy? Czy dlatego, że była najpopularniejszą dziewczyną w całym gimnazjum? Bo była niedostępna? A może dlatego, że od samego patrzenia na nią dostawał wzvodu? Cokolwiek nim powodowało, nie mógł przestać myśleć o Maddie, choć ona zdawała się go nie zauważać. Nie tak jak inne dziewczyny, które intrygowała jego starannie

kultywowana reputacja niecnoty i twardziela. Bowiem szesnastoletni Dylan miał już w Mission Creek ugruntowaną opinię wcielonego diabła i zakały życia swego powszechnie szanowanego ojca.

Najwygodniej byłoby całą winę zrzucić na Maddie; w końcu gdyby nie ona, nie przyszłoby mu wtedy do głowy porywać nowiutkiego, srebrzystego porsche. Gdyby jak skończony idiota nie zapragnął jej zaimponować i bodaj na kilka minut mieć ją tylko dla siebie! A wszystko zaczęło się tamtego dnia wiele miesięcy temu, kiedy zebrał się na odwagę, usiłował umówić się z Maddie na randkę. Pewnego popołudnia zaczepił ją na szkolnym parkingu.

Stał niedbale oparty o swoją wysłużoną półciężarówkę. Wielu jego kolegów na szesnaste urodziny dostało od ojców nowe auta, Dylan jednak usłyszał w domu, że na samochód musi sam zapracować. Zarobków z dwóch dorywczych zajęć: obsługi parkingu przy klubie golfowym w weekendy oraz popołudniowej pracy w sklepie z narzędziami, z trudem wystarczyło na zakup steranej wiekiem, bladoniebieskiej furgonetki marki Chevrolet.

- Cześć, Ruda! - zawołał do przechodzącej Maddie.

Zatrzymała się na moment, by odrzucić do tyłu długie, rude włosy, lecz nie raczyła się odwrócić ani naj - mniejszym gestem pokwitować jego istnienia. Odwrotnie niż jej koleżanki, które zareagowały śmiechem i dziewczynskim krygowaniem się.

- Popatrz, Maddie, toż to Dylan Bridges! - zauważyła jedna z nich, nakręcając na palec kosmyk jasnych włosów i mierząc Dylana znaczącym spojrzeniem od stóp do głów.

- Zostaw ją w spokoju! - upomniała go inna. - Maddie nie gustuje

w chłopakach twojego typu. Zresztą po co jej inni, skoro chodzi z Jimmym Donem Newmanem?

No jasne, z Jimmym Donem Newmanem, kapitanem szkolnej drużyny futbolowej. Z Donem Newmanem, w którym durzyły się wszystkie dziewczyny w szkole. Któremu co prawda w sensie fortuny daleko było do Wainwrightów, Carsonów czy rodziców Maddie, lecz który nadrabiał to z nawiązką pochodzeniem z rodziny od dawna osiadłej w Mission Greek, a ponadto cieszył się powszechnym uznaniem z powodu swych sportowych wyczynów.

- Maddie, czy to prawda? - zagadnął Dylan, odrywając się od furgonetki i czyniąc w jej kierunku jeden niepewny krok. - Serio podzielasz opinię różnych ptasich mózdków, które uważają Jimmy'ego Dona za siódmy cud świata? Nie chciałabyś się dowiedzieć, co mogłoby być między tobą a mną?

Maddie rzuciła mu przez ramię krótkie, pogardliwe spojrzenie.

- Między tobą a mną nic nie może być i nie będzie - burknęła. - Nigdy nic nie wiadomo - odparł i porozumiewawczo mrugnął do niej okiem.

Syknęła pogardliwie. Kiedy zbliżył się do niej, jej koleżanki rozstały się i otoczyły ją półkolem.

- Pozwól, ślicznotko, że odwiozę cię do domu.

Na co Maddie gestem obrażonej księżniczki podniosła do góry swój zadziorny nosek, po czym obrzuciła pogardliwym spojrzeniem najpierw Dylana, a następnie jego wysłużoną furgonetkę.

- Wolałabym umrzeć, niż wsiąść do twojej klatki na szczury. W życiu nie umówię się z chłopakiem, który nie ma przyzwoitego auta.

Słowa Maddie dotknęły go do żywego. Ale jeszcze bardziej niż jej wyniosła odprawa wkurzył go piskliwy śmiech koleżanek, który jeszcze długo potem brzmiał mu w uszach.

Tak więc miałby pełne prawo winą za to, co go spotkało, obciążyć Maddie. Ojciec jednak też nie był bez winy. W dniu, w którym Dylan z parkingu klubu Lone Star wypożyczył bez pytania srebrzystego porsche, między nim a ojcem doszło przy śniadaniu do kolejnej ostrej wymiany zdań. W rezultacie Dylan wypadł z domu wściekły i rozgoryczony, trzasnąwszy na pożegnanie drzwiami. Jego zły nastrój pogłębiło pojawienie się Maddie, która przyjechała do klubu na partię tenisa z Jimmym Donem. Ujrawszy ich razem, Dylan z całej duszy zapragnął porwać Maddie i uciec z nią w nieznane.

I jak pomyślał, tak zrobił. - Młody Bridges ma odsiadywać karę w Zakładzie Poprawczym dla Nieletnich w Amarillo - oznajmił Jock Delarue. - Żał mi Carla. Taki porządny człowiek, a ma za syna łobuza.

- Chłopak musiał odziedziczyć złe skłonności po matce - właściwym sobie tonem wyższości zawyrokowała żona Jocka, Nadine Delarue. - Nie wiesz, kim była żona Carla? Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek ze sobą rozmawiały.

- Nie przypominam sobie, jak miała na imię - Jock odłożył na stół lokalną gazetę, by nalać sobie drugą filiżankę kawy. - Mętnie pamiętam, że raz ją spotkałem. Dobrze zbudowana blondynka, niczego sobie. Czy na jej pogrzeb nie posłaliśmy kwiatów?

- Dodie na pewno się tym zajęła.

O tak, Dodie Verity na pewno się tym zajęła, westchnęła w duchu Maddie. Sekretarka ojca załatwiała wszystkie sprawy, które matka

uważała za niegodne jej uwagi. Dla Nadine Gibson Delarue podwładni istnieli tylko jako wykonawcy poleceń bądź przedmiot utyskiwań na ich brak inteligencji lub dobrego wychowania. Nadine pochodziła z Georgii, gdzie jej dziadek piastował funkcję gubernatora, a po przyjeździe do Teksasu dwadzieścia lat temu postanowiła zdobyć pozycję pierwszej damy Mission Creek.

Maddie zastanawiała się czasami, jakim cudem jej piękna, arystokratyczna matka rodem z Południa została żoną szorstkiego, prostolinijnego Teksasńczyka, który mimo swej bajecznej fortuny był w głębi duszy stąpającym twardo po ziemi poczciwcem. Dziadek Jocka Delarue zrobił majątek na wydobyciu ropy, zaś jego ojciec potroił fortunę dzięki mądrym inwestycjom. Maddie cicho westchnęła. Kto wie, czy nie mają racji ci, którzy powiadają, że jej piękna matka wyszła za mąż głównie dla pieniędzy.

W okresie dorastania Maddie doznawała ze strony rodziców czułej miłości i oddania, a ojciec wręcz świata za nią nie widział. Była też przekonana, że rodzice się kochają i nie przychodziło jej do głowy wątpić w stałość ich związku. Tak w każdym razie było do niedawna. Ostatnio bowiem coś wyraźnie zaczynało się między nimi psuć. Maddie miała już szesnaście lat i nie była pierwszą naiwną. Do jej uszu coraz częściej docierały plotki o romansie ojca.

- Czy mogę odejść od stołu? - zapytała, odkładając serwetkę i odsuwając krzesło.

- Jesteś troszkę blada, kochanie - zauważyła matka. - Czy zdenerwowałaś się, ponieważ ojciec wspomniał o tym okropnym chłopaku? Wiem, jakie to musiało być okropne, zostać porwaną przez

takiego łobuza.

- Daj spokój, Dini, dobrze wiesz, że to nie było porwanie - huknął na żonę Jock. - Maddie powiedziała nam, a tak samo na policji i potem w sądzie, że pojechała z nim z własnej woli.

- Nigdy nie uwierzę, że moja córka mogła z własnej i nieprzymuszonej woli...

- Przestań pleść, kobieto! - zaprotestował Jock, spoglądając na córkę, która stała za krzesłem, z trudem powstrzymując łzy. - Możesz iść, moja maleńka. Maddie skinęła głową i podziękowawszy ojcu bladym uśmiechem, wybiegła z jadalni. Biegła nie zatrzymując się na górę, aż do swego pokoju. Przez cały czas nie mogła dać sobie rady z wieloma niezrozumiałymi dla niej pytaniami i wątpliwościami, a przede wszystkim uczuciem nieodpartej sympatii dla biednego Dylana Bridgesa.

Rzuciwszy się na łóżko, wybuchnęła nieutulonym płaczem. Miała wrażenie, że serce za chwilę pęknie jej z rozpacz. Bo też jej tak do niedawna szczęśliwe i bezpieczne, spokojne życie od paru miesięcy po prostu pruło się w szwach. Ona zaś nie miała pojęcia, jak temu zaradzić.

Wciąż na nowo zadawała sobie pytanie, czy to nie ona sama jest powodem nieustannych utarczek między rodzicami, którzy od pewnego czasu rzadko znajdowali dla siebie życzliwe słowo. Po wizycie policji owego dnia, kiedy Dylan zabrał Maddie na przejażdżkę kradzionym autem, matka z miejsca rzuciła ojcu oskarżenie.

- To wszystko przez ciebie, bo zgodziłeś się, żeby Maddie chodziła do publicznej szkoły i zadawała się z mętami - oświadczyła. - Gdybyś mnie posłuchał i posłał dziecko do przyzwoitego, prywatnego gimnazjum, nauczyłaby się, że z osobnikami w rodzaju Dylana nie należy w ogóle

rozmawiać.

- Ja też chodziłem do publicznej szkoły i jakoś wyszedłem na ludzi - odparł Jock. Żona tylko podniosła oczy do nieba. - Uważam, że Maddie musi się nauczyć współżyć z ludźmi należącymi do różnych środowisk, tak samo jak ja się tego nauczyłem, dzięki mojemu ojcu. Wiesz chyba, że duży majątek nakłada na człowieka szczególnie duże obowiązki.

- Postępujesz z naszą córką w sposób nieodpowiedzialny!

Czy mogła była zapobiec temu, co wydarzyło się tamtego okropnego dnia? Maddie nie była pewna. Może to jej kaśliwa uwaga na temat wysłużonej furgonetki Dylana popchnęła go do kradzieży samochodu? Czy wstyd spowodowany tym, że jej córka była zamieszana w kradzież auta pogłębił, a może nawet stał się główną przyczyną pretensji matki do ojca?

Maddie skuliła się na łóżku i kolejny raz dała upust łzom. Po pewnym czasie rozprostowała się, przewróciła na plecy, popatrzyła w sufit, parokrotnie pociągnęła nosem i na koniec otarła łzy. Dostyc tego rozczulania się nad sobą, uznała. Ostatecznie jej życie nie uległo żadnej dramatycznej zmianie. W każdym razie jest w nieporównanie lepszej sytuacji niż Dylan, który najbliższe lata będzie musiał spędzić w domu poprawczym dla nieletnich przestępców.

Nad nim też się nie rozczulaj, powiedziała sobie. Szkoda na to twojego czasu. Dylan przecież nic cię nie obchodzi.

Czy aby na pewno? A może tylko sobie wmawia, że nic a nic do niego nie czuje? Chociaż bardzo chciałyby w to wierzyć. Doprowadzało ją do szału, że wspomnienie zbuntowanego nie wiadomo przeciw komu i

czemu chłopaka dniami i nocami nie daje jej spokoju. Przecież właściwie nawet go nie lubiła! Ale na pewno nie był jej obojętny. Szarpały nią dziwne i niezrozumiałe emocje. Od bodaj sześciu miesięcy na sam widok Dylana serce zaczynało jej mocniej bić, a w żołądku coś ją ścisnęło. Doszło do tego, iż wyobrażała sobie, jak ją całuje. Nigdy dotąd żaden chłopak tak na nią nie działał. Nawet pocałunki Jimmy'ego nie przyprawiły jej o drżenie.

Przymknęła oczy, przywołując w wyobraźni kolejne wydarzenia tamtej pamiętnej niedzieli.

O wpół do jedenastej Jimmy Don zabrał ją z domu swoją czerwoną corvetta na tenisa w podmiejskim klubie golfowym. Po paru partiach debla zjedli z przyjaciółmi lunch w kawiarni Yellow Rose, po czym Jimmy Don wraz z paroma kumplami poszli grać w bilard, a dziewczyny zostały same. Maddie szybko znudziły się babskie ploteczki, których głównym tematem były oczekiwania związane z przyszłorocznym Balem Debiutantek. Przechadzała się tu i tam, aż wreszcie wyszła na dwór. Patrząc na tamte wydarzenia z dzisiejszej perspektywy, Maddie nie przysięgłaby, czy nie zrobiła tego w nadziei, że zobaczy Dylana. Lecz jeśli nawet, uczyniła to nieświadomie.

- Cześć, Ruda! - Dylan zlustrował ją spojrzeniem. - Fajnie dzisiaj wyglądasz. Nic dziwnego, zawsze wyglądasz pierwsza klasa.

Udała, że go nie dostrzega.

- Znudziło cię towarzystwo Jimmy'ego Dona?

- Nieprawda, wcale mnie nie znudziło. Odczep się, nie mam ochoty z tobą rozmawiać.

- A na co masz ze mną ochotę? Jego bezczelność odebrała Maddie

mowę. Dylan roześmiał się, bardzo z siebie zadowolony.

- Chcesz się przejechać? Idealny dzień na przejażdżkę samochodem.

- Przecież pracujesz - rzekła, nie słuchając instynktu, który jej podpowiadał, by natychmiast wracała do klubu, nie wdając się z Dylanem w żadne pogawędki.

- Mam akurat przerwę na lunch - odparł.

- Nic z tego. Już ci mówiłam, że wolałabym raczej umrzeć, niż pokazać się ludziom w twoim obtłuczonym gracie.

- Widzisz tamtego srebrnego porsche? - zapytał, wskazując superelegancki sportowy wóz, stojący w zarezerwowanej na prywatny użytek części parkingu. - A nim byś się przejechała, gdybym cię zaprosił?

- Przecież nie należy do ciebie.

- Ale do mojego przyjaciela. Nie obrazi się, jeżeli go sobie pożyczę.

Maddie zawahała się, z czego Dylan najwyraźniej wyciągnął wniosek, że jest gotowa przystać na jego propozycję. Bo nim Maddie zebrała myśli, aby właściwie zareagować, zdążył dobiec do samochodu, wskoczyć na siedzenie i włączyć stacyjkę.

No nie! I co teraz będzie? Przecież nie może z nim jechać. Nawet najelegantszym porsche. Matka nie posiadałaby się z oburzenia, gdyby usłyszała, że jej ukochana córeczka wdała się z Dylanem Bridgesem w rozmowę, a cóż dopiero mówić o wspólnej przejażdżce samochodem!

Wycofawszy się zręcznie z parkingu, Dylan podjechał pod główne wejście do klubu i uśmiechając się szeroko, otworzył przed nią prawe drzwi.

- Chodź, jedziemy! Zrób raz w życiu coś niebezpiecznego. Założę się, że marzysz o tym, aby się ze mną przejechać.

- To niemożliwe.

- Owszem, możliwe.

- Nie, Dylan, naprawdę nie mogę. I w ogóle proszę, żebyś przestał mi się narzucać. To mnie krępuje i wprawia w zmieszanie, a ja bardzo tego nie lubię.

Słyszając to, Dylan niewiele myśląc wyskoczył z samochodu i chwyciwszy Maddie za rękę, pociągnął ją do środka. Próbowwała się opierać, lecz jej wysiłki nie na wiele się zdały. Dylan był zdecydowany postawić na swoim, ona zaś sama czuła, że w gruncie rzeczy ma wielką ochotę mu ulec i stawia tylko pozorny opór. Kiedy znaleźli się tuż przy drzwiach, Maddie jeszcze raz spróbowała wyrwać rękę, lecz Dylan zbyt mocno je trzymał.

- Nie wygłupiaj się i nie tchórz. Nie możesz mi tego zrobić.

- Ja nie... to znaczy niech ci będzie, ale pamiętaj... Maddie poczuła, że traci grunt pod nogami. Wydała okrzyk zdumienia, nie mogąc uwierzyć, że Dylan rzeczywiście porwał ją w ramiona. W następnej chwili dosłownie włożył ją do samochodu, błyskawicznie okrążył maskę, wskoczył za kierownicę i z piskiem opon ruszył kolistym podjazdem do bramy. Pęd powietrza rozwiał długie włosy Maddie.

Ja chyba zwariowałam, pomyślała. Strach i niepewność ścisnęły jej żołądek. Czy to możliwe, że ona, Maddie Delarue, pędzi nie wiadomo dokąd z Dylanem Bridgesem cudzym samochodem?

Po mniej więcej kwadransie Dylan skręcił w polną drogę, zaparkował pod drzewem w odległości kilkunastu metrów od szosy i

zgasił silnik. Zanim Maddie zdołała się połapać, do czego zmierza, Dylan zarzucił rękę na oparcie jej fotela, skłonił głowę i pocałował ją krótko i szybko w usta. Maddie szarpnęła się gwałtownie.

- Co ci jest, ślicznotko? Nie wierzę, że nikt cię dotąd nie pocałował.

- Pewnie, że już mnie całowali - zaprotestowała. - I to o wiele lepiej.

Dylan bez najmniejszego ostrzeżenia chwycił ją wpół, podniósł do góry, obrócił i posadził sobie na kolanach. Znalazła się w pułapce, wciśnięta między kierownicę a jego ciało. Zaczęła się wyrwać, lecz on natychmiast unieruchomił jej ręce, schylił głowę i ponownie sięgnął do jej ust. Tym razem jednak nie było to już lekkie muśnięcie warg, lecz oszalamiająco zaborczy pocałunek. Maddie zadrżała i zrobiło jej się gorąco, a równocześnie dziwnie słabo. Litości, to nie może dziać się naprawdę!

Wiedziała, że musi go powstrzymać, nim będzie za późno, zanim on przekroczy granicę, a ona nie będzie dłużej zdolna mu się opierać. Dylan tymczasem nadal miażdżył jej usta, próbując językiem rozewrzeć jej wargi. Usiłowała mu się wyrwać, lecz jej protesty zdawały się sprawiać mu przyjemność i jeszcze bardziej podniecać. Na koniec jednak uniósł głowę i oboje zaczerpnęli powietrza.

- Nie powiedziałam wcale, że możesz mnie całować!

Na jego twarzy pojawił się wesoły uśmiech - pewny siebie, chępliwy uśmieszek, który sprawił, że znów ogarnęła ją dziwna słabość.

- Ale chciałaś tego, nie wypieraj się. Wyobrażałaś sobie, co będziesz czuła, kiedy będę cię całował, tak samo jak ja to sobie

wyobrażałem.

- Nieprawda, wcale nie...

Spojrzała mu w oczy, oczy zielone jak mech, i wyczytała w nich podobną do jej własnej namiętność, jakiej nigdy nie widziała u Jimmy'ego Dona ani u innych chłopaków, z którymi zdarzyło się jej całować. Czy i on wyczytał w jej oczach to samo nieodparte uczucie?

Przez nieskończenie długą chwilę patrzyli sobie w oczy.

Maddie spróbowała wyszarpnąć ręce, a on zwolnił uścisk. Lekkim ruchem zarzuciła mu ramiona na szyję, przywarła doń piersiami i skłoniła głowę. Dylan nie poruszył się. Czekał na jej następny ruch. Pochyliła się jeszcze niżej i pocałowała go w usta. Czule. Delikatnie. Natychmiast jednak zapragnęła czegoś więcej. O wiele, wiele więcej.

Dylan przejął inicjatywę. W momencie, gdy rozpiął jej bluzkę, całując wyłaniające się ze stanika piersi, do uszu Maddie dobiegł dźwięk syren. W chwilę później, kiedy rozpiąwszy koszulę Dylana, pieściła jego skórę, zdała sobie sprawę, że źródłem hałasu są syreny dwóch policyjnych aut, które skręciły właśnie z szosy i jadą ku nim połą drogą.

- O cholera! - mruknął Dylan.

Po paru chwilach z zaparkowanych obok radiowozów wysiadło dwóch policjantów, kierując się w ich stronę.

- O co im chodzi? - zdziwiła się.

- Wysiadać oboje, tylko spokojnie! - rozkazał jeden z funkcjonariuszy.

- Dylan, co to ma znaczyć?

- Musimy wysiąść, Maddie!

- Nic nie rozumiem.

- Facet, od którego pożyczyłem samochód, musiał widocznie zawiadomić policję.
- Ukradłeś samochód?!
- Nie ukradłem, tylko pożyczyłem.
- Ukradłeś go! - Maddie pchnęła drzwi i wyskoczyła z samochodu.
- Jesteś wstrętny! Słyszysz, jesteś wstrętny! Nienawidzę cię, nie pokazuj mi się więcej na oczy!

Od tamtej pory upłynęło sześć tygodni. Sześć długich, potwornych tygodni. Jimmy Don przestał się do niej odzywać. Przyjaciółki w szkole i poza szkołą bez przerwy wypytywały Maddie o Dylana. Matka prawie się jej wyrzekła. Jeden tylko ojciec podtrzymywał ją na duchu i pocieszał, jak umiał. Podejrzewała jednak, że musiał rozmawiać z sędzią Bridgesem o jego synu. Maddie wiele razy się zastanawiała, czy nie poprosić ojca, by wstawił się za Dylanem. Gdyby poprosił Flynta Carsona, właściciela skradzionego samochodu, o wycofanie skargi, Flynt na pewno poszedłby mu na rękę. Nigdy jednak nie zdobyła się na to, by przed kimkolwiek, nawet przed własnym ojcem, przyznać się, że ma słabość do największego łobuza w całym mieście.

Więc może dobrze, że wysyłają go na dwa lata do Amarillo. Przynajmniej będzie się czuła bezpieczna. Bezpieczna przed jego niecnymi zakusami. I przed własnymi, niezrozumiałymi emocjami.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Uwolnwszy się od marynarki i krawata, Dylan Bridges rzucił obie rzeczy na łóżko, po czym zsunął z nóg włoskie mokasyny i stąpając po

puszystym dywanie, skierował się do garderoby. Tam zdjął z mahoniowego wieszaka wyblakłe dzinsy, a z komody wydobył bawełnianą koszulkę. Mimo upływu lat nadal wolał takie proste stroje od szytych na zamówienie ubrań i kosztownych krawatów. Chyba pozostał w głębi duszy przeciętnym mieszczuchem z Mission Creek.

W trakcie przebierania przyszło mu do głowy, że poczciwi mieszkańcy jego rodzinnego miasta bardzo by się zdziwili, gdyby mogli go w tej chwili zobaczyć. Zadowolony z siebie, roześmiał się pod nosem. Siedemnaście lat temu odesłali go ciupasem do zakładu dla nieletnich w Amarillo, toteż po odsiedzeniu pełnych dwóch lat w tym piekielnym poprawczaku nie miał najmniejszej ochoty wracać do Mission Creek.

Ani tym bardziej oglądać ojca.

W trakcie odsiadywania wyroku jego niechęć do ojca jeszcze się wzmogła. A jeśli chodzi o Maddie Delarue, to gorzkiej urazy, jaką do niej żywił, nie załagodził nawet czuły liścik, który napisała do niego do zakładu.

Drogi Dylanie,

piszę, żeby Ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu tego, że zostałeś skazany na pobyt w zakładzie poprawczym. Wiem, że powinnam była przyjść Ci z pomocą, ale wówczas nie miałam odwagi poprosić ojca, żeby się za Tobą wstawił. Chcę, abyś wiedział, że wiele o Tobie myślę. Proszę Cię, żebyś trzymał się i dzielnie znosił to, co Cię spotkało. Od tamtego czasu wiele przeżyłam i wiem jakie życie potrafi być okrutne, wymierzając człowiekowi niezashuzone ciosy.

Gdybyś chciał mi odpisać, zaadresuj list na numer skrzynki

pocztowej na wierzchu koperty.

Maddie

Dylan nie odpowiedział na ten list. Uznał, iż napisała go w ramach jakiejś pseudoszlachetnej akcji charytatywnej, albo dla uspokojenia wyrzutów sumienia. Żadnego więcej listu od niej nie otrzymał. Niemniej Maddie Delarue nadal żyła w jego pamięci. Z niepojętych powodów pozostała jego abstrakcyjnym, nieosiągalnym ideałem.

Przeszedłszy do salonu swego luksusowego apartamentu i zaopatrzony w szklanekę bourbona bez wody, zasiadł w obitym skórą, przepastnym fotelu. Co mu przywiodło na myśl Maddie, dziewczynę, która miała szesnaście lat, gdy widział ją po raz ostatni? Wcale nie było tak, by przez te wszystkie lata usychał za nią z tęsknoty. W ciągu pierwszych dziesięciu czy dwunastu lat przez jego sypialnię przewinęło się chyba nie mniej kobiet, niż turystów przez nowojorskie hotele. Obecnie zaś trzydziestotrzyletni Dylan, będący najbogatszym maklerem giełdowym w Dallas, mógł mieć najpiękniejsze kobiety na zawołanie.

Maddie przypominała mu się w związku z wyjazdem do Mission Creek. Dylan zamierzał bowiem zrobić rzecz dla niego samego nieoczekiwaną, a mianowicie odwiedzić ojca. Przy okazji zapewne się z nią spotka. Może sam się o to postara...

Nic nie sprawi mu większej przyjemności, jak pokazanie Maddie, zresztą nie tylko jej, ale i całemu miasteczku, jak daleko zaszedł - on, niegdysiejsza czarna owca rodzimej społeczności.

Po opuszczeniu poprawczaka przez parę lat pałętał się po kraju,

uczęszczając tu i tam na wieczorowe studia w kilku uczelniach, nim zdecydował się wrócić do Teksasu i zamieszkać na stałe w Dallas. Dopiero tutaj zmagazynowana w nim energia znalazła dla siebie ujście: odkrył w sobie talent finansisty i wyspecjalizował się w operacjach giełdowych.

Dawny nieletni przestępca skazany za kradzież auta posiadał dzisiaj nie tylko własnego porsche, ale także jaguara i kilka starych samochodów o muzealnej wartości. Mieszkał w apartamencie wartym parę milionów, miał dom w Aspen oraz udziały w sieci turystycznych restauracji na Bahamach.

O tak, chętnie utrże nosa Maddie Delarue! Z wszystkich mieszkańców Mission Creek jej najbardziej chciał zaimponować. Na pewno zdążyła wyjść za mąż i urodzić kilkoro dzieci.

Odkąd parę lat temu zmarł jej ojciec, Maddie stała się najbogatszą kobietą w całym Teksasie. Więc jednak nie będzie tak łatwo jej zaimponować.

Po tej autoironicznej refleksji Dylan zwrócił myśli w inną stronę. Od telefonu ojca upłynęło kilka dni, lecz Dylan nadal nie posiadał się ze zdziwienia. Sędzia Carl Bridges schował dumę do kieszeni i zadzwonił do swego marnotrawnego syna.

- Dzwonię, synu, żeby prosić cię o wybaczenie - oznajmił. - Czy potrafisz się zdobyć na to, aby dać ojcu szansę na zrehabilitowanie się za dawne winy? Zapomnieć o przeszłości i nawiązać z nim na nowo stosunki?

Dylan, rzecz dziwna, nie wyładował pielęgnowanej od lat goryczy i złości. A co jeszcze dziwniejsze, poczuł, że i on najchętniej puści dawne

urazy w zapomnienie i nawiąże stosunki z ojcem. Dzisiaj, jako człowiek dojrzały, zdawał sobie sprawę, że był we wczesnej młodości wyjątkowo trudnym chłopakiem i że po śmierci matki obaj z ojcem ciężko zawinili, pozwalając, by ból po jej stracie oddalił ich od siebie, zamiast zbliżyć.

Jeżeli nieprzejednany sędzia Bridges potrafił schować dumę do kieszeni i poprosić go o przebaczenie, to syn powinien się zdobyć na podobną wielkoduszność.

- Dzięki, tato - rzekł na zakończenie rozmowy. - Chyba wybiorę się do Mission Creek. Ale daj mi trochę czasu do namysłu.

I oto dziś rano, zaraz po przebudzeniu, olśniła go myśl, że nie ma co zwlekać, jeżeli chce się dowiedzieć, czy nawiązanie po latach stosunków z ojcem jest możliwe. Poza tym od dawna należą mu się wakacje. Nawet najlepsi przyjaciele Dylana zaczęli przebąkiwać, że stał się nieznośnym pracoholikiem. Bo też mimo bogactwa i powodzenia oprócz pracy nie miał w życiu niczego, na czym naprawdę by mu zależało.

Dawno temu doszedł do wniosku, że może liczyć wyłącznie na siebie. Rodzina to ułuda i oszustwo. Jego własne życie rodzinne skończyło się wraz ze śmiercią matki. A ponadto nigdy nie spotkał kobiety, z którą pragnąłby spędzić resztę życia.

Zapewne powinien uprzedzić ojca o swym przyjeździe, ale spodobała mu się myśl, że zaskoczy go, pojawiając się niespodziewanie w progu domu. Miał już zamówiony bilet na lot do Mission Ridge, gdzie znajdowało się najbliższe lotnisko. Dotrze do domu w porze kolacji i zaprosi ojca do najelegantszej restauracji w podmiejskim klubie golfowym. W tym samym klubie, w którym niegdyś obsługiwał przyjeżdżających samochodami gości.

Kto wie, może w przyszłości przeniesie się na stałe do Mission Creek?

- Proszę pani, proszę nie wchodzić! - Alice Lewis wybiegła z za biurka, by zastąpić drogę matce swej szefowej. Były w prywatnym biurze Maddie Delarue w budynku klubu golfowego o nazwie Lone Star. - Maddie jest bardzo zajęta. Prosiła, żeby nikt jej nie przeszkadzał!

- Otóż dowiedz się, moja panno, że nie jestem dla ciebie „nikim”. Masz do czynienia z matką Maddie.

- Nadine Delarue opanowała do perfekcji władczy ton.

- Zresztą jej funkcja organizatorki imprez to tylko hobby, więc nie może być aż tak zajęta.

Słyszając za drzwiami głośną wymianę zdań, Maddie westchnęła. Tylko tego jej dzisiaj brakowało: będzie musiała spacyfikować swoją wiecznie niezadowoloną, hipochondryczną matkę. Od czasu głośnego rozvodu rodziców i późniejszej śmierci ojca, Nadine uczepliła się córki z rozpaczliwą siłą. Maddie starała się wieść samodzielne życie, niemniej była stale narażona na jej histeryczne wystąpienia.

Wyjrzawszy ze swego gabinetu, ujrzała Alice zagradzającą Nadine przejście. Na widok Maddie matka wybuchnęła płaczem.

- Ta okropna dziewczyna nie chce mnie wpuścić
- jęknęła Nadine i dostała czkawki.

Ładne rzeczy, mama znowu za dużo wypła!

- Już dobrze, Alice. Dziękuję ci. - Alice była nową pracownicą, która pierwszy raz miała do czynienia ze straszną Nadine.

Kiedy mocno zbita z tropu posłusznie przepuściła histeryzującą kobietę, ta rzuciła się w ramiona córki, która otoczywszy matkę

ramieniem, wprowadziła ją do swego gabinetu.

- Niepewnie trzymasz się na nogach. Czy jadłaś dzisiaj? - spytała Maddie, zamykając za sobą drzwi.

- Tak, byłam na lunchu z paroma przyjaciółkami. Tutaj, w klubie - wyjaśniła Nadine, pociągając nosem i ocierając oczy chusteczką. - Aha. - Maddie była pewna, że przy lunchu mama wypła kilka kieliszków martini.

- Nie chcę cię, mammo, poganiać, ale mam dzisiaj mnóstwo roboty w związku z najbliższym weekendem, kiedy inscenizujemy zabawę pod tytułem „Wielka zagadka kryminalna”. Czy masz do mnie jakąś pilną sprawę?

Nadine opadła na kanapę. Maddie zrozumiała, że matka nie da się łatwo spławić.

- Nigdy nie masz dla mnie czasu - poskarżyła się Nadine, poprawiając swe siwoblond włosy, ułożone w modną twarzową fryzurę, która według zapewnień fryzjerki ujmowała jej dziesięć lat. Podobnie jak wykonana niedawno operacja kosmetyczna twarzy.

Od czasu rozwodu z mężem, który rzucił żonę dla kobiety o połowę od niej młodszej, Nadine obsesyjnie dbała o zachowanie młodego wyglądu. Po rozwodzie próbowała szczęścia z kilkoma znacznie od niej młodszymi konkurentami do ręki zamożnej rozwódki, którzy jednak niezmiennie zostawiali ją na lodzie, gdy się dowiadywali, że w wyniku rozwodu przypadła jej zaledwie nikła część gigantycznego majątku Jocka. Przezorny dziadek Maddie zmusił jedynaka do podpisania przedślubnej intercyzy.

- Przepraszam, mammo. Naprawdę bardzo mi przykro, ale mam

pracę, z którą wiążą się obowiązki i muszę się z nich wywiązywać. Nie mogę zawieść ludzi, którzy na mnie liczą.

- Ja też na ciebie liczę. Poza tobą nie mam nikogo. Zaczyna się, westchnęła w duchu Maddie. Nikomu nie jestem potrzebna. Nikt mnie nie kocha. Urodziłam cię w okropnych bólach. Byłaś chorowitym dzieckiem. Nie spałam przez ciebie po nocach. I tak dalej, i tak dalej.

- Powiedz, mam, czego ci trzeba. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Sama nie wiem. Jestem taka... To przez to, że one wszystkie rozjechały się po lunchu do swoich mężów. Tylko ja nie mam do kogo wracać. Nie mam nawet wnuków. Gdybyś chociaż dała mi wnuka. Po co mam w końcu córkę?

- Ja też bym tego chciała. Kto wie, może już niedługo...

- Po co niepotrzebnie tracisz czas w tym głupim biurze? Do czego ci to potrzebne? Ojciec zostawił ci miliardowy majątek, nie musisz pracować. Gdybyś bywała w towarzystwie, zamiast tutaj przesiadywać, dawno wyszłabyś za męża.

Maddie jęknęła. Nadine znowu dostała czkawki.

- Przecież nie stronie od towarzystwa - protestowała Maddie - ale sama wiesz, że jak dotąd nie miałam szczęścia do mężczyzn. Chodzi im zwykle nie o mnie, tylko o moje pieniądze.

- Wcale nie wszystkim. W Mission Creek nie brak dobrych partii. Młodych mężczyzn, którzy są wystarczająco bogaci, żeby nie lecieć na twoje pieniądze. Mogłaś wyjść za Matta albo Flynta Carsonów, gdybyś nie przegapiła sprawy. A tak inne sprzątnęły ci obu sprzed nosa.

- Błagam, mam, nie wracajmy do tego! Z Mattem i Flyntem znamy się od dziecka. Są moimi przyjaciółmi. Nigdy nic między nami nie

było i być nie mogło. Po różowych policzkach Nadine popłynęły łzy. Kilka razy pociągnęła nosem.

- Nie krzycz na mnie - chlipnęła, ściskając w palcach przód jedwabnej bluzki. - Czasami nie pojmuję, po co Bóg każe mi ciągnąć mój smutny żywot. Czy nie dosyć się już nacierpiałam?

Nadine stanęła niepewnie na nogi, po czym chwiejnym krokiem, ale z dumnie podniesioną głową męczennicy, ruszyła w kierunku drzwi. W połowie drogi potknęła się jednak, tak że Maddie ledwo zdążyła podbiec, by ją podtrzymać.

- Najlepiej będzie, jak odwiozę cię do domu - powiedziała. - Przejazdźka otwartym samochodem dobrze nam zrobi.

- Och, kochanie, to cudownie! - ucieszyła się Nadine, głaszcząc Maddie po policzku. - Potrafisz być kochającą córką... Szkoda, że tak rzadko.

Maddie posadziła matkę z powrotem na kanapie, po czym szybko zrobiła porządek na biurku i spakowała torebkę. Wychodząc poinstruowała Alice, by w razie czego dzwoniła do niej na komórkę a także zapisywała wszystkie ważne sprawy na jutro.

Dziesięć minut później sunęły białym kabrioletem marki Mercedes w kierunku Gulf Road, mijając po drodze okazały budynek miejskiego szpitala. Pęd powietrza, rozwiewający jej rude włosy niby płomienną flagę, szczęśliwie odwracał uwagę Maddie od matczynego biadolenia. Narzekania, narzekania, wciąż tylko narzekania. Czy to się nigdy nie skończy? Skąd to wieczne niezadowolenie? Czasami Nadine nie przeszkadzał nawet brak reakcji na jej nieprzerwane trajkotanie; wystarczał jej sam fakt, że ma słuchacza.

Nadal zaprzątnięta kłopotami związanymi ze zbliżającą się inscenizacją w klubie, Maddie automatycznie skręciła z drogi w prowadzącą do domu matki prywatną aleję. Po rozwodzie ojciec wspaniałomyślnie oddał Nadine okazałą siedzibę, w której spędzili razem dwadzieścia lat małżeństwa, wraz z ośmioma hektarami otaczających dom gruntów.

Maddie pomogła matce wysiąść z samochodu, podprowadziła ją pod drzwi i nacisnęła dzwonek. Drzwi otworzyła Ernesta Sanchez, która od wielu lat z wielkim oddaniem prowadziła matce gospodarstwo.

- Oj, co się stało, czy *señora* źle się poczuła? - W głosie niskiej, przysadzistej gospodyni brzmiała autentyczna troska.

Chociaż Nadine za nic by się do tego nie przyznała, Maddie była najgłębiej przekonana, że matka ma w Erneście jedyną prawdziwie przyjazną duszę.

- Mama miała dzisiaj trochę za dużo wrażeń - wyjaśniła Maddie, wprowadzając matkę do obszernego holu z marmurową posadzką. - Była na lunchu w klubie z gronem przyjaciółek. - Za plecami Nadine wymieniła z Ernestą porozumiewawcze spojrzenia. - Zadzwońię tam i poproszę, żeby któryś z parkingowych odprowadził pod wieczór mamy samochód.

- Proszę się na mnie oprzeć. - Ernesta opiekuńczym gestem objęła swą chlebowczynię. - Pójdziemy się zdrzemnąć i od razu lepiej się pani poczuje.

- Chyba masz rację - przyznała Nadine, obdarzając gospodynię smętnym uśmiechem. - Czuję się zmęczona. - Zerknęła na Maddie. - Nie będziesz mi miała za złe, kochanie? Liczyłaś pewnie na spędzenie wspól-

nego popołudnia, ale nagle strasznie rozboleła mnie głowa.

- Ależ nie, nie będę ci miała za złe - zapewniła ją Maddie. - Poproś Ernestę, żeby zaprowadziła cię na górę i położyła do łóżka. Zadzwoń wieczorem dowiedzieć się, jak się czujesz.

- Będę ci bardzo wdzięczna. Wiesz, jak zawsze się cieszę, kiedy do mnie dzwonisz. Bez twoich telefonów czuję się taka samotna.

- Poprawię się, obiecuję.

Zostawiwszy matkę w niezawodnych rękach Ernesty, Maddie wyszła przed dom, wsiadła do samochodu i przez dobre parę minut siedziała za kierownicą, zastanawiając się nad stanem ducha matki oraz ich wzajemnych stosunków. Uważała, że matka cierpi na depresję, lecz od lat na próżno usiłowała ją namówić na pójście do psychiatry.

- Jestem zupełnie normalna - za każdym razem odpowiadała Nadine. - W każdym razie jak na kobietę, która została upokorzona przez męża na oczach całego świata. Przez człowieka, który przysięgał mi dożgonną miłość, wierność i szacunek. Nie wierz mężczyznom, Maddie! Żadnemu z nich nie można wierzyć! Wszyscy są tacy sami!

Nie powinnam poddawać się takim myślom, bo znowu zacznę się nad sobą rozczulać i w końcu upodobnię się do mamy, upomniała się Maddie. Energicznym ruchem włączyła silnik i w kwadrans później wjeżdżała na podziemny parking swego domu. Kiedy po ukończeniu college'u wróciła do rodzinnego miasta, matka chciała, by Maddie zamieszkała razem z nią, ale ona nie chciała zrezygnować ze świeżo uzyskanej samodzielności.

I chwala Bogu! Do dziś gratulowała sobie ówczesnej decyzji.

Po otwarciu drzwi z głębi obszernego, dwupoziomowego

apartamentu powitały ją dźwięki muzyki. Mogło to oznaczać tylko jedno: Thelma jest w domu. Thelma Hewitt, która od wielu lat prowadziła Maddie gospodarstwo, była wysoką, tryskającą energią kobietą o krótkich, przyprószonej siwizną włosach i piwnych, przenikliwie patrzących oczach.

Niezwykle sprawna i pracowita, lubiła o wszystkim wiedzieć i miała zawsze własne zdanie na każdy temat. Pracowała u Maddie na przychodne; Maddie nie potrzebowała gosposi na stałe, a Thelma miała oprócz niej na głowie męża, pięcioro dzieci i piętnaścioro wnucząt.

Odłożywszy torebkę i klucze na stolik w holu, Maddie skierowała się do kuchni, skąd dochodziły dźwięki muzyki country. Thelma stała przy blacie, odwrócona plecami do drzwi, śpiewając na cały głos i obierając jabłka w takt melodii.

- Widzę, że jesteś bardzo zajęta - odezwała się Maddie.

Thelma podskoczyła, wypuszczając z rąk połówkę jabłka razem z nożem. - Aleś mnie przestraszyła!

- Najmocniej przepraszam. Myślałam, że słyszałaś, jak wchodzę.

Thelma wytarła ręce w fartuch, wyłączyła radio, po czym zmierzyła swoją chlebodawczynię zdziwionym spojrzeniem.

- Co robisz w domu o trzeciej po południu?

- Musiałam odwiedzić mamę z klubu do domu - odparła Maddie, sadowiąc się na wysokim stołku przy kuchennym barze.

- Jak ona się miewa?

- Bez zmian.

- A ty?

- Dobrze. - Thelma była kobietą lubiącą matkować całemu światu i

tak też traktowała Maddie, odkąd zaczęła u niej pracować. - Tyle że nie wiem, co robić z mamą. Chciałabym w jakiś sposób jej pomóc.

- Nadine nie potrzebuje twojej pomocy. Potrzebuje tylko twojego współczucia. Więc okazuj jej to, czego od ciebie oczekuje, na tyle, na ile jesteś w stanie. Swoje problemy Nadine musi rozwiązać sama. A ty powinnaś więcej uwagi poświęcić własnemu życiu.

- Czy znów zaczniesz mnie namawiać, żebym pomyślała o mężu i dzieciach?

Thelma sięgnęła po nóż i na wpół obrane jabłko.

- Wam, nowoczesnym kobietom, może się wydawać, że nie potrzebujecie męża ani dzieci, żeby osiągnąć pełnię życia, ale...

- Ale twoim zdaniem jestem kobietą, która powinna wyjść za mąż i założyć rodzinę. - Maddie sięgnęła do brytfanny po plasterek obranego jabłka. - W tej sprawie ty i mama w pełni się zgadzacie.

- Gdzieś czeka mężczyzna w sam raz dla ciebie. Musisz go tylko znaleźć.

- Czeka na mnie wielu mężczyzn; są ich dziesiątki, jeśli nie setki - odrzekła Maddie. - A wszystkim marzy się tylko jedno: moje pieniądze. Zabawne, że mama domaga się, abym wyszła za mąż i miała dzieci, a jednocześnie stale mnie ostrzega przed mężczyznami. I wiesz co? Ja też im nie ufam.

- Co nie znaczy, że pewnego dnia...

- Co takiego zdarzy się pewnego dnia? Zjawi się oszałamiający amant, dla którego zapomnę o bożym świecie? I który pokocha mnie do szaleństwa, nie myśląc o tym, że ma do czynienia z najbogatszą kobietą w Teksasie?

- Czemu nie?

- Marzenia, moja droga!

- Marzenia nic nie kosztują, drogie dziecko. Czym bylibyśmy bez marzeń? Dlaczego nie miałabyś marzyć o mężczyźnie, dla którego zapomnisz o bożym świecie?

- Kiedy jeden raz w życiu zapomniałam o bożym świecie, wylądowałam na komisariacie. Bo mój Romeo tak bardzo chciał mi zaimponować, że dopuścił się kradzieży samochodu.

- Mówisz o synu sędziego Bridgesa... o Dylanie. Sędzia miał z nim prawdziwy krzyż pański. Smarkacz robił wszystko, żeby staremu dopiec. Ciekawe, co się z nim stało? Widziałam go ostatni raz, kiedy czekał na odesłanie do Amarillo, do poprawczaka. Strach było na niego patrzeć! Miał długie włosy, kolczyk w uchu i nie wiem, co jeszcze! Istny hippis.

Maddie zeskoczyła ze stołka, otworzyła lodówkę, wzięła butelkę wody firmy Perrier i skierowała się do drzwi.

- Pójdę do gabinetu i trochę popracuję - oznajmiła. - Zajrzyj i pożegnaj się, jak będziesz wychodzić, dobrze?

- Jasne. I przy okazji przyniosę ci kawałek szarlotki prosto z pieca.

Maddie z uśmiechem wymknęła się z kuchni do swego przytulnego, niewielkiego gabinetu, w którym trzy ściany zabudowane były po sufit półkami na książki, trzecią zaś stanowiły okna. Usadowiwszy się w przepastnym skórzanym fotelu, oddała się rozmyśleniom o Dylanie. W ciągu minionych lat wspominała go od czasu do czasu, zastanawiając się, jak potoczyły się jego losy.

Na temat Dylana krążyły po Mission Creek najbardziej rozbieżne plotki: raz, że został najemnikiem, to znów że poszedł do seminarium i

został księdzem. Co było raczej mało prawdopodobne, bo nie pochodził z katolickiej rodziny.

Co się z nim dzieje? Gdzie się podziewa? Był bodaj jedynym chłopcem, który miał w nosie fakt, że jest córką Jocka Delarue. Naprawdę ją lubił. Pragnął jej. Była tego absolutnie pewna, bardziej niż czegokolwiek innego w życiu.

Szkoda, że nie spotkali się parę lat później, jako dojrzałsi, dorośli ludzie. Gdyby dzisiaj spotkała mężczyznę takiego jak Dylan Bridges, czy miałyby odwagę podjąć ryzyko? Czy nie uległyby lękom, niepewności, nawarstwionym wątpliwościom na temat trwałości małżeństwa i męskiej stałości?

Wzruszyła ramionami. Po co łamać sobie głowę nad tym, co by zrobiła, a czego by nie zrobiła? Prędzej wyrosną jej skrzydła, niż spotka drugiego mężczyznę takiego jak on.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dylan w pierwszej chwili odniósł wrażenie, że czas cofnął się o siedemnaście lat. Dom rodzinny, stojący na dużej, płaskiej parceli położonej w centrum miasta o parę przecznic od gmachu sądu, wyglądał dokładnie tak jak wtedy. Czy ojciec nadal chodzi rano do sądu piechotą i piechotą wraca wieczorem do domu? Zapewne tak. Sędzia Carl Bridges był człowiekiem systematycznym, o mocno ugruntowanych przyzwycza-

jeniach, od których niechętnie odstępował.

Ojciec odziedziczył ów stylowy dom z lat dwudziestych ubiegłego wieku po swoim stryju, który zmarł jako stary kawaler. Zgodnie z ówczesną modą, był to piętrowy dom ze spadzistym dachem, dużą werandą od frontu, na której stała huśtawka, oraz odsuniętym od domu garażem na dwa samochody. Otaczający posiadłość biały drewniany parkan był świeżo odmalowany. Ciekawe, czy odziedziczony po stryjecznym dziadku stary packard nadal stoi w garażu. Dylan marzył kiedyś, żeby przejechać się bezcennym zabytkiem, lecz ojciec nie pozwalał mu nawet usiąść na miejscu kierowcy.

Nad werandą powiewała wielka amerykańska flaga. Ojciec Dylana, weteran wojny w Wietnamie, był za młodu gorącym patriotą. I niewątpliwie patriotą pozostał. Sięgnąwszy pamięcią wstecz, Dylan pomyślał, iż z wielu powodów powinien być dumny z ojca. Dlaczego wówczas nie zdawał sobie z tego sprawy?

Kiedy wysiadł z taksówki i ruszył prowadzącą do domu alejką, opadły go nagle wątpliwości. Stojąc na werandzie, wahał się przez chwilę, nim zadzwonił do drzwi. Czy nie należało wpierw zatelefonować i uprzedzić ojca o przyjeździe? Po jakiego licha wymyślił sobie, że robi mu niespodziankę!

Zdecydował się jednak nacisnąć dzwonek, gdy przypomniał sobie, że ojciec sam do niego zadzwonił i wyciągnął gałązkę oliwną na zgodę. W parę sekund później usłyszał ze środka kroki, a zaraz potem drzwi się otworzyły i stanął w nich barczysty, sześćdziesięcioletni mężczyzna o surowych rysach twarzy, krótko ostrzyżonych siwych włosach i bladoniebieskich oczach, które Dylan tak dobrze znał i pamiętał.

Nagle jego twarz rozpromieniła się w radosnym uśmiechu, a ręka spoczęła na ramieniu Dylana.

- Witaj, synu! Chodź! Wejź do środka! - wykrzykiwał Carl Bridges, obejmując syna i wprowadzając go do holu.

Jadąc tu, Dylan nie był pewien, jak ojciec go przyjmie. W najlepszym razie spodziewał się uścisku dłoni. W każdym razie na pewno nie oczekiwał tak gorącego powitania. Ojciec był zawsze człowiekiem nader powściągliwym, nieskłonny do okazywania uczuć. Jediną osobą, od której mały Dylan zaznał pocałunków i serdeczności, była jego czuła, kochająca matka.

- Nie przypuszczałem, że przyjedziesz tak prędko - mówił Carl, przepuszczając Dylana przez drzwi salonu. - Miałem oczywiście nadzieję, że zależy ci na spotkaniu tak samo jak mnie, ale... - Urwał i odchrząknął.

Dylan patrzył zaskoczony na ojca, który wydawał się niemal bliski łez. Nie pamiętał go takim i ta nagła konfrontacja z cieplejszą stroną osobowości Carla Bridgesa wytrąciła go z równowagi. Sądził, iż obaj będą z początku trochę skrepowani. Przez myśl mu nie przeszło, że ojciec aż tak złagodniał.

- Czy jadłeś kolację? - spytał Carl. - Mogę zrobić sandwicze. Albo, jeżeli wolisz, pojedźmy do Mission Creek Cafe.

- Chętnie zjem sandwicza, tato.

Dziw, z jaką łatwością przeszło mu przez gardło to słowo. „Tato”. A jeszcze dziwniejsze, że tak swobodnie czuł się w dawno nie widzianym domu. Właśnie jak w domu. Swobodniej i bardziej swojsko niż kiedyś.

Rozejrzawszy się po pokoju, Dylan stwierdził, że ściany zostały niedawno świeżo pomalowane na jasnobezowy kolor, zauważył też nową

kanapę i nieznane krzesła. Wokół kominka nic się nie zmieniło, stół do kawy i narożne stoliki też były te same co dawniej, natomiast w oknach ciężkie kotary zastąpiono drewnianymi żaluzjami.

- Chodź ze mną do kuchni, synu, żeby rozmawiać. Zrobię sandwicze z serem i szynką. Kiedyś najbardziej je lubiłeś.

Jak to, więc on wie i pamięta takie rzeczy? A przecież Dylan jeszcze chwilę temu dałby sobie głowę uciąć, że ojciec nic o nim nie wiedział, a już na pewno nie interesowały go kulinarne upodobania syna. W ilu jeszcze sprawach źle ojca osądzał?

- I nadal najbardziej je lubię - przyznał, idąc za ojcem do kuchni. Tutaj prawie nic się nie zmieniło. Tylko lodówka była nowa. I ściany zmieniły kolor z żółtych na beżowe.

- Siadaj! Proszę, siadaj! - Carl krzątał się po kuchni, wyjmując z lodówki potrzebne wiktuały. - Ale opowiedz mi o sobie. Wiem, że mieszkasz w Dallas i prowadzisz firmę maklerską. Tyle wiem od detektywa, którego wynająłem, żeby cię odnalazł.

Dylan odsunął drewniane krzesło z wysokim oparciem i usiadł przy stole.

- Musiałeś aż wynajmować detektywa? Nie wystarczyło skorzystać ze znajomości w kręgach sądowych?

- Znasz mnie i wiesz, że trzymam się przepisów, jeśli to możliwe. Nie lubię prosić o przysługi, chyba że nie mam wyjścia. - Carl zabrał się do krojenia szynki w grube płyty. - Jeżeli człowiek zabrnę w sytuację bez wyjścia, wtedy faktycznie powinien użyć wszelkich dostępnych środków, żeby się wyplątać.

Dylan nie wierzył własnym uszom.

- Tato, masz kłopoty? Dlatego mnie wezwałeś? Potrzebujesz pomocy?

Carl wziął z kredensu pokrojony bochenek chleba, wyjął z opakowania cztery kromki i położył po dwie na dwóch płaskich talerzach.

- Zaprosiłem cię, bo chciałem zawrzeć znajomość z moim dorosłym synem, a także po to... - Carl odchrząknął - żeby naprawić dawne błędy.

- Obaj popełnialiśmy błędy - szybko wtrącił Dylan. - Ja też nie byłem bez winy. Rozrabiałem, jak mogłem. Na ogół robiłem to specjalnie, żeby zwrócić twoją uwagę.

- Nie chcę się usprawiedliwiać, ale widzisz... po śmierci mamy było mi bardzo ciężko. - Carl posmarował obie kromki majonezem i musztardą, położył na każdej szynkę, ser, sałatę, pomidory i konserwowe ogórki, po czym przykrył je z wierzchu kawałkami chleba. - Nie byłem dobrym ojcem. Po tej historii z kradzieżą samochodu powinienem był coś zrobić. Chciałem cię ratować, ale głupia pycha nie pozwoliła mi ruszyć palcem. Tłumaczyłem sobie, że postępuję właściwie, że musisz dostać nauczkę, bo inaczej nie wyjdiesz na ludzi.

- Tak właśnie było - przyznał Dylan. - W tamtych czasach wszystkiego musiałem się uczyć na własnych błędach. Nawet po wyjściu z poprawczaka upłynęło ładnych parę lat, nim zacząłem jako tako układać sobie życie.

- Wspaniale się spisałeś, synu. Mogę być z ciebie naprawdę dumny.

Dylan ze wzruszenia z trudem przełknął ślinę.

- Ja też wielokrotnie myślałem... chciałem do ciebie zadzwonić. Co jakiś czas mi to wracało. Nawet żeby niespodziewanie przyjechać. Ale

zawsze tchórzylem. Bałem się, że nie będziesz chciał mnie znać. Carl postawił przed Dylanem talerz z kanapką, po czym obszedł stół, stanął za jego krzesłem i położył mu rękę na ramieniu.

- W ciągu minionych siedemnastu lat nie było dnia, żebym ciebie nie wspominał, nie martwił się o ciebie i... nie tęsknił za tobą.

Dylanowi wzruszenie ścisnęło gardło. Sięgnął ręką do ramienia i przykrył dłoń ojca.

- Mamy wiele do odrobienia, tato. Po to przyjechałem.

- Dziękuję ci, synu. Dziękuję.

Maddie siedziała przy ocienionym parasolem stole na przylegającym do basenu tarasie klubu golfowego i skubiąc bez przekonania cesarską sałatkę, przeglądała listę spraw do załatwienia przed wieczorną galą pod nazwą „Wielka zagadka kryminalna”, która miała się odbyć już za parę dni. Wszystko było w zasadzie gotowe. Szef zaaprobował menu. Orkiestra jazzowa z Nowego Orleanu miała przylecieć czarterowym samolotem w piątek wczesnym popołudniem. Dwóch aktorów z miejscowego Teatru Małego podjęło się grać role ofiary zbrodni oraz detektywa, obaj też przysięgli, że nikomu nie zdradzą szczegółów kryminalnej fabuły. Pani McKenzie, właścicielka eleganckiego Salonu Mody w Mission Creek, stworzyła dla Maddie absolutnie boską „małą czarną” suknię z atłasu, a do niej obszywany kryształkowymi „łezkami” czarny jedwabny szal. Włożyła do niej brylantowe kolczyki i dwie bransolety, bez naszyjnika. Maddie nie uznawała ostentacji. Jedną z głównych przyjemności, jakie Maddie czerpała ze swego bogactwa, było to, że nie musiała się liczyć z pieniędzmi na stroje. Niektórzy mówili nawet, że ma na tym punkcie kręćka. Zawartość

jej szafy zdawała się to potwierdzać.

Młoda kelnerka, obsługująca na zmianę restaurację Empire Room, kawiarnię Yellow Rose i wybudowany tymczasowo Men's Grill, podeszła do stolika Maddie z dzbankiem mrożonej herbaty.

- Czy zamówi pani deser? - spytała.

- Sama nie wiem. - Nie mogła sobie przypomnieć imienia kelnerki.

Chyba Daisy. - Może jakieś owoce. Poczekaj chwileczkę... Daisy. Niech się namyśle.

Uśmiech dziewczyny upewnił Maddie, że użyła właściwego imienia. W tej samej chwili od strony basenu do stolika Maddie podeszła Josie Carson, ubrana w skromny jednoczęściowy kostium kąpielowy.

- Widzę, że jesteś zapracowana.

- Ach, dopinam ostatnie przygotowania przed piątkową galą. Mam nadzieję, że przyjdziecie oboje z Flyntem.

- Oczywiście. - Twarz Josie rozświetlił promienny uśmiech. -

Chyba że znowu dostanę ataku mdłości i wyląduję w łóżku.

- Atak mdłości? Czy coś ci dolega? - zdziwiła się Maddie, patrząc uważnie na tryskającą zdrowiem młodą mężatkę.

- Nie, nic mi nie jest - roześmiała się Josie. - To znaczy, nie w tym sensie. Jestem w ciąży.

- Och, Josie, to cudownie! - Maddie poderwała się z krzesła, by ją uściskać. - Flynt musi być uszczęśliwiony.

- Tak się nade mną trzęsie, że o mało nie zwariuję - odparła Josie, a jej szmaragdowe oczy roziskrzyły się radością. - Można by pomyśleć, że jestem pierwszą kobietą na świecie, która spodziewa się dziecka.

- Przecież on cię uwielbia, więc pozwól, żeby cię rozpieszczał. Czy

nie od tego są przyszli ojcowie?

- Chyba tak. Na pewno będzie dobrym ojcem, widzę to po tym, jak postępuje z Leną.

- A właśnie, jak się miewa mała Lena?

- Rośnie jak na drożdżach i z dnia na dzień robi się coraz ładniejsza.

- Nadal nic nie wiadomo o jej prawdziwych rodzicach?

Josie potrząsnęła głową, zakołysały się jej długie do ramion, jasne jak len włosy.

- Mam w związku z nią prawdziwy dylemat. Oboje ją uwielbiamy. Chciałabym, żeby została z nami na zawsze, choć wiem, że to egoizm. Przecież gdzieś ma matkę, no i może ojca...

- Och, Daisy, przepraszam, zapomniałam! - zawołała Maddie, przypominając sobie o kelnerce, która cierpliwie czekała na przyjęcie zamówienia. - Poproszę o truskawki. Bez kremu.

- Zaraz przyniosę - odparła Daisy, po czym zwróciła się do Josie: - Ja również chciałabym pani serdecznie pogratulować. To musi być dla państwa wspaniały okres. Myślę też, że mając własne dziecko, będzie państwu łatwiej rozstać się z małą Leną, kiedy... jeżeli kiedyś zgłosi się po nią matka.

- Dziękuję ci... Daisy, prawda? - odparła z uśmiechem Josie.

- Tak, proszę pani. Nazywam się Daisy Parker. - A zwracając się do Maddie, dodała: - Zaraz przyniosę truskawki.

Gdy kelnerka odeszła, Maddie ponownie uściskała Josie.

- Ucałuj ode mnie Flynta i przekaż mu moje gratulacje.

Kiedy Josie się z nią pożegnała, Maddie opadła na krzesło i

pograżyła się w zadumie. Jakie to jest uczucie, kiedy nosi się dziecko ukochanego mężczyzny, który tę miłość odwzajemnia? Ona pewnie nigdy się tego nie dowie. Szczęścia, jakiego dostąpili Josie i Flynt, nie da się kupić za jej miliony, ba! - za pieniądze całego świata!

Dylan i Carl przesiedzieli razem do późna w nocy. Dylan pierwszy raz w życiu rozmawiał - naprawdę rozmawiał - ze swoim ojcem. Wspominali czasy poprzedzające śmierć matki, kiedy to jeszcze stanowili rodzinę. Potem dowiadawali się o stracone lata, kiedy Dylan pozostawał na dobrowolnym wygnaniu. Jednakże przez cały czas starannie unikali aluzji do wydarzeń sprzed jego wyjazdu do poprawczaka i bezpośrednio po wyjściu na wolność. Carl w trakcie wieczoru dwukrotnie odbierał telefony i za każdym razem wydawał się tym wyraźnie zdenerwowany, jednak na pytanie Dylana, czy nie ma kłopotów, odparł, że nie, że to tylko trudne do rozwiązania kwestie zawodowe. Dylan, który dopiero zaczynał poznawać ojca na nowo, wolał na razie nie wypytywać o szczegóły.

Zaparzyli sobie kawę, by móc się nagadać. Ojciec chciał wiedzieć o wszystkim, co działo się z synem podczas długich lat rozstania. Dylan z kolei wypytywał o Mission Creek i losy dawnych znajomych.

- A co słyhać u Maddie Delarue? - spytał wreszcie.

- Jock, jak wiesz, nie żyje - westchnął Carl. - Zmarło mu się parę lat temu.

- Tak, słyshałem. Kiedy umiera ktoś tak znany jak Jock Delarue, wiadomość rozchodzi się po całym Teksasie.

- Cały majątek, oczywiście po odliczeniu darowizn na cele charytatywne i funduszu powierniczego na rzecz drugiej żony, odziedziczyła Maddie - wyjaśnił Carl. - Musiałeś słyshać, że Jock

rozszedł się z Nadine dla kobiety niewiele starszej od Maddie, z którą był związany od szeregu lat.

- Kiedy to było? Mam na myśli rozwód.

- O, w jakiś rok po tym... - Carl zawahał się, potem spojrzał synowi prosto w oczy i skończył: - Byłeś jeszcze w zakładzie poprawczym, więc Maddie musiała mieć siedemnaście lat, kiedy to się stało.

Siedemnaście? Dylan miał siedemnaście lat, kiedy otrzymał od Maddie dziwny list, w którym wspomniała o okrucieństwach losu. Musiała go wysłać w okresie rozstania rodziców. On jednak był tak zajęty sobą, iż nie przyszło mu do głowy, że list Maddie mógł być wołaniem o pomoc. Że potrzebowała kogoś, przed kim mogłaby się wypłakać i kto wyraziłby jej współczucie. Rozwód rodziców musiał być ciężkim ciosem dla dziewczyny, która od dzieciństwa była ich oczkiem w głowie.

- Wybuchł straszny skandal, a i sam rozwód był bardzo nieprzyjemny - ciągnął Carl. - Maddie, o ile wiem, na parę lat zerwała z ojcem stosunki. Jej matka, która zmieniła się w istny kłębek nerwów, nie tylko nie była w stanie zaopiekować się córką, ale sama wymagała jej opieki.

- A co robi dzisiaj? - zapytał Dylan. - Sama zawiaduje interesami, czy zostawiła te sprawy mężowi?

Carl zaprzeczył ruchem głowy.

- Do tej pory nie wyszła za mąż, chociaż była dwa razy zaręczona. Najpierw z młodym Newmanem, z którym szybko się rozstali, a potem z jakimś angielskim arystokratą, który okazał się polującym na majątek oszustem. Nie miała szczęścia. Dziewczyna z taką fortuną nigdy nie ma pewności, czy facet chce się ożenić z nią, czy z jej kontem bankowym.

Jeżeli dorosła Maddie choć w połowie przypomina swoje olśniewające szesnastoletnie wcielenie, pomyślał Dylan, jak to możliwe, by mężczyzna przy zdrowych zmysłach mógł nie pragnąć jej dla niej samej? Swoją urodą i inteligencją zdobyła we wczesnej młodości jego serce, nie mówiąc już o tym, jak działała na jego hormony!

- I co, została w rezultacie wielką kobietą interesu? - zadał kolejne pytanie, zastanawiając się, czy obcięła na krótko swoje wspaniałe rude włosy i nosi surowe, bezpłciowe, biurowe kostiumy.

- Nie, zatrudnia fachowców, którzy zarządzają jej majątkiem - odparł Carl, dopijając czwartą filiżankę kawy. - Oczywiście wszystkie istotne decyzje podejmuje sama, ale nie zajmuje się na co dzień prowadzeniem interesów. Przyjęła natomiast dosyć skromną posadę w klubie golfowym, gdzie pełni funkcję organizatorki imprez specjalnych. Słyszałem, że świetnie daje sobie radę. Ma mnóstwo pomysłów. Takich, na przykład, jak piątkowa gala, połączona z rozwiązywaniem kryminalnej zagadki. Rodzaj interaktywnej inscenizacji.

- W ten piątek?

- Tak.

- Wybierasz się?

- Taki miałem zamiar.

- A zabrałbyś mnie ze sobą?

- Pewnie, że tak. - Carl cały się rozpromienił. - Zwłaszcza że będę mógł się tobą pochwalić.

A ja będę miał okazję odnowić znajomość z Maddie Delarue, pomyślał Dylan.

- No to umowa stoi. Zabawimy się - rzekł Dylan.

- Włożę smoking od Armaniego, a przed klub zajedziemy porsche. Zostawiłem polecenie, żeby mi go przysłali.

Carl uśmiechnął się od ucha do ucha.

- O niczym bardziej nie marzę - powiedział wesoło. Maddie otworzyła szklane drzwi prowadzące na rozległy balkon. Kiedy podeszła do bariery, owiało ją ciepłe letnie powietrze, a z dołu dobiegł przyciszony szum małego miasta o nocnej porze. Jej luksusowe, ultranowoczesne mieszkanie znajdowało się w centrum Mission Creek, zaś całe to eleganckie osiedle piętrowych domków, niegdyś stanowiące własność ojca, dziś należało do niej. Co więcej, kochanka ojca mieszkała przed jego rozwodem w jednym z sąsiednich domków, dokąd ojciec wyprowadził się potem z domu, nim on i Renee przenieśli się ostatecznie z Mission Creek do Corpus Christi.

Dopiero w kilka lat po rozwodzie Maddie przebaczyła ojcu zdradę, a po pewnym czasie zdołała nawet polubić swą macochę. Nigdy jednak między nią a ojcem nie doszło do pełnego pojednania, za co główną winę ponosiła Nadine, która wymagała od córki, by jednoznacznie opowiedziała się po jej stronie.

Miejskie światła błyszcząły w mroku nocy jak świece na choince. Maddie lubiła wychodzić nocą na balkon, chłonąć błogi spokój uspiętego miasta, którego mieszkańcy przez kilka krótkich godzin odpoczywali od codziennych trosk. Wyobrażała sobie niezliczone wnętrza domów, w których pędziły życie różne rodziny. Myślała o tych wszystkich mężczyznach, kobietach i dzieciach, pędzących najzwyczajniejszą egzystencję i całkowicie nieświadomych szczęścia, jakie jest ich udziałem.

Nie wolno ci tak myśleć! Przestań się nad sobą rozczulać! - ostrzegł ją wewnętrzny głos rozsądku. Dlaczego nie umie cieszyć się życiem? Powinna być szczęśliwa. Jest bogata, nieprzyzwoicie bogata, dosyć jeszcze młoda, niebrzydka. Praca, której się podjęła, sprawia jej przyjemność. Funkcję organizatora imprez specjalnych w podmiejskim klubie traktowała początkowo trochę jak zabawę, ale dziś nie wyobrażała sobie bez niej życia. W końcu nie da się zapelnąć życia składaniem wizyt i przyjmowaniem gości, uczęszczaniem na charytatywne przyjęcia i odbywaniem zagranicznych podróży.

Zresztą mając na swoje usługi zespół naprawdę kompetentnych ludzi, zajmujących się odziedziczonym po ojcu konsorcjum, ludzi, którym mogła w pełni zaufać, Maddie musiała znaleźć sobie inne, stałe zajęcie. W przeciwnym razie stałaby się ofiarą zaborczej, rozhisteryzowanej matki, która ani przez chwilę nie dawałaby jej spokoju.

Chociaż kto wie, czy mając swoje wymarzone wnuki, które mogłaby kochać i rozpieszczać, Nadine nie przestałaby myśleć wyłącznie o sobie i swoich prawdziwych oraz urojonych nieszczęściach.

Czy to znaczy, że mam wyjść za mąż za pierwszego lepszego łowcę majątku, tylko po to, by matka miała swoje wnuki? Maddie na samą myśl o takim związku poczuła mdłości. Więc może poddać się sztucznemu zapłodnieniu? Pozostaje jeszcze adopcja, jako drugie rozwiązanie pozwalające obyć się bez męża.

W oddali rozległ się jęk karetki pogotowia, wprowadzając w ciszę nocy smutną, ostrzegawczą nutę. Choroba? Śmierć? Maddie zrobiło się wstyd, że pragnie jeszcze więcej od losu, który dał jej tak wiele. O wiele więcej niż innym.

Ale czy zbyt wiele żąda, oczekując, iż znajdzie się mężczyzna, którego mogłaby pokochać i który umiałby jej miłość odwzajemnić? Chyba żyje gdzieś mężczyzna, któremu własny majątek i własne sukcesy pozwolą ujrzeć w niej godną miłości, pociągającą kobietę, a nie tylko dziedziczkę miliardowej fortuny. Który przywróci jej zaufanie do odmiennej płci, pozwoli uwierzyć w szczęście we dwoje - póki śmierć nas nie rozłączy - w trwałość małżeńskiego szczęścia, którego jej rodzicom nie dane było zaznać.

Gdzie jesteś? - wyszeptała. Gdzie jest mężczyzna, który zawróci mi w głowę, porwie w ramiona i poniesie ze sobą?

Gdzie jest ten jedyny, wymarzony mężczyzna podobny do Dylana Bridgesa?

ROZDZIAŁ TRZECI

Trzy dni temu, nazajutrz po przyjeździe Dylana do Mission Creek, sędzia Carl Bridges przekazał koledze prowadzone przez siebie sprawy. Ten niezwykle gest bardziej niż cokolwiek innego uprzytomnił Dylanowi, jak bardzo jest ojcu drogi. Ostatecznie go przekonał, że powinien cieszyć się chwilą obecną, zamiast rozpamiętywać przeszłe zale. Ojcu nie tylko nie ubywało lat, ale pewne poszlaki zdawały się wskazywać, że boryka się z jakimiś niejasnymi, lecz poważnymi problemami. Często, o wiele za często, zażywał środki przeciwko nadkwasocie, a każdy dzwonek telefonu wprawiał go w nerwowe napięcie. Czy czekał na ważną wiadomość od lekarza? Dylan kilkakrotnie próbował ojca wybadać, lecz ten za każdym razem rozpraszał jego obawy i podejrzenia jako bezzasadne.

Z jakiegoś niepojętego powodu Dylan czuł się dzisiaj jak nastolatek

wybierający się na pierwszą w życiu randkę. Na samą myśl o tym, że wieczorem znów zobaczy Maddie, zmieniał się na powrót w podnieconego szesnastolatka. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zdarzyło mu się przeżywać podobne sensacje.

Uważnym spojrzeniem skontrolował swoje odbicie w lustrze na zewnętrznej stronie drzwi od łazienki. Całkiem nieźle, uznał. Na jego polecenie gospodyni przysłała mu pocztą ekspresową smoking od Armaniego wraz z koszulą, spodniami oraz innymi niezbędnymi akcesoriami. Wyglądał w każdym calu na człowieka, jakim był - bogatego, pewnego siebie biznesmena, który umie dobrze się ubrać. W niczym nie przypominał długowłosego, zbuntowanego smarkacza w wyblakłych dzinsach i wystrzępionym T - shircie, który był kiedyś postrachem rodzinnego miasta. Z kolczykiem w uchu pożegnał się ostatecznie, mając dwadzieścia lat; przekłute ucho dawno zdążyło się zrosnąć. Od czasu wyjazdu z miasta trochę urósł i miał dzisiaj dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a jego niegdyś chuda postać wyraźnie zmężniała.

Podejrzewał, że gdyby nie towarzystwo ojca, nikt z dawnych znajomych, nawet sama Maddie, nie zdołałby go rozpoznać. Dopiero pójda w ruch języki! Ciekawe, co ci poczciwcy będą wygadywać za jego plecami? Ale kiedy ojciec zacznie się przechwalać sukcesami swego marnotrawnego syna, pewnie niejeden z jego dawnych krytyków ze zdziwienia otworzy gębę. Dylan mimo woli uśmiechnął się do siebie. Szkoda tylko, że Jock Delarue nie będzie tego świadkiem. Czy nadal by uważał, że Dylan nie jest wart jego córki?

- Nie ma co, synu, świetnie się prezentujesz! - odezwał się Carl,

który właśnie nadszedł prowadzącym do łazienki korytarzem. - Szkoda, że mama nie może cię zobaczyć. Byłaby dumna ze swojego jedynaka.

Carl miał na sobie codzienne ubranie: sportowe spodnie w kolorze khaki i bawełnianą koszulę z krótkim rękawem.

- Cóż to, jeszcze nie jesteś gotowy? - zdziwił się Dylan. - Jeżeli się nie pośpieszysz, spóźnimy się bardziej, niż tego wymagają dobre obyczaje.

- Widzisz, ja... kiepsko się dzisiaj czuję - odparł Carl. - Nic poważnego. Chyba złapałem jakiegoś wirusa.

- Wezwałeś lekarza?

- Nie. Nie trzeba wzywać lekarza. Wystarczy posiedzieć spokojnie w domu i odpocząć. Do jutra wszystko na pewno minie.

Dylan rozwiązał muszkę.

- Zaraz się rozbiorę i razem spędzimy wieczór.

- Nie, nie przebieraj się - zaprotestował ojciec. - Chcę, żebyś pojechał do klubu i dobrze się bawił. Powiedz wszystkim, kogo spotkasz, kim jesteś, wyjaśnij, że między tobą a mną doszło do porozumienia i zgody, i wytłumacz moją nieobecność chwilowym złym samopoczuciem. Za nic nie chcę cię pozbawiać miłej zabawy, A poza tym - ciągnął Carl z lekkim uśmiechem - zwracam ci uwagę, że jeżeli zostaniesz w domu, ominie cię spotkanie z Maddie.

- Skąd ci przyszło do głowy, że mi na tym zależy?

- roześmiał się Dylan.

- Nietrudno było odgadnąć. Podczas naszych rozmów dziwnie często o niej wspominałeś.

- Poddaję się - westchnął Dylan. - Faktycznie bardzo chcę ją

zobaczyć. W końcu była moją pierwszą miłością. I ostatnią, dodał w duchu. Jediną dziewczyną, o której nigdy nie zdołał zapomnieć.

Uwijała się jak w ukropie, wydając polecenia, witając gości, po raz któryś z rzędu sprawdzając, czy wszystkie przygotowania do gali w klubie Lone Star zostały zapięte na ostatni guzik. Wrodzona dokładność i upodobanie do porządku przyczyniały się w dużym stopniu do jej sukcesów jako organizatorki pełnych rozmachu, wystawnych imprez. Dla wcześniej przybyłych gości przewidziana była kolacja w restauracji Empire Room. Natomiast sama gala, podczas której goście mieli uczestniczyć w rozwiązaniu kryminalnej zagadki, miała się odbywać w sali balowej na drugim piętrze, zaś pieczę nad jej przebiegiem Maddie powierzyła swojej nowej asystentce, Alice. Mogła więc swobodnie witać gości i pilnować, by nic nie zakłóciło dobrej atmosfery. Pomyślano też o obficie zaopatrzonej bufecie, przeznaczonym dla gości, którzy nie wezmą udziału w kolacji tudzież dla osób, które w późniejszej porze miałyby ochotę coś przekąsić.

Odziana w prostą, lecz niezwykle elegancką czarną suknię, z połyskującymi w uszach i wokół rąk brylantami, Maddie oczekiwała gości nieopodal wejścia do wspaniałego, wyłożonego różowym granitem, wysokiego na dwa piętra foyer klubu, mając w tle znajdującą się pośrodku holu granitową fontannę. Witała uśmiechem przybywających gości, zamieniając z każdym kilka słów. Ze swego miejsca mogła swobodnie obserwować podjeżdżające pod główne wejście eleganckie auta: jaguary, porsche, bmw. W dzisiejszej gali miała uczestniczyć cała miejscowa śmietanka towarzyska, dochód zaś z wieczoru przeznaczony był dla Czerwonego Krzyża. Maddie najbardziej lubiła organizować takie właśnie

dobroczynne imprezy, dające jej poczucie, iż dostarczając członkom klubu rozrywki, przyczynia się równocześnie do wspomżenia potrzebujących.

Kierowniczka klubowego salonu odnowy biologicznej dla pań, Joan O'Brien, i jej mąż Hart wchodzili właśnie do holu. Jaka z nich urodziwa para, pomyślała Maddie, i co za szczęście, że znowu są razem. Historia ich romansu była jakby wyjęta z bajki albo romantycznej powieści. Maddie od kilku lat miała w Joan serdeczną przyjaciółkę, a do tego przepadała za dziewięcioletnią obecnie córeczką O'Brienów. I choć nie była formalnie matką chrzestną małej Helen, dziewczynka, ku wielkiej uciechy Maddie, mówiła do niej „ciociu”.

Nim jednak Joan zdążyła wymienić z Maddie parę słów, jej mąż porwał żonę, umykając przez wkraczającym do klubu klanem Carsonów. Ojciec rodu Ford Carson, potężnie zbudowany mężczyzna ze strzechą siwych włosów, krzaczastymi brwiami i wylewającym się ponad spodniami brzuchem - szedł na czele pochodu, prowadząc pod rękę swą pulchną, jasnowłosą małżonkę. Za patriarchą postępowali Flynt z Josie, potem Matt z Rose, a za nimi Fiona i Cara.

Siódma godzina szybko minęła, potem kwadrans po siódmej i zbliżało się wpół do ósmej. Maddie szykowała się do opuszczenia posterunku i udania na piętro do sali balowej, gdy zauważyła zajeżdżającego pod drzwi czarnego porsche. Nie było dla niej jasne, czym wysiadający z auta mężczyzna zwrócił jej uwagę. Z daleka nie widziała dokładnie rysów jego twarzy, lecz w postawie i sposobie poruszania się miał budzącą respekt, swobodną pewność siebie. Maddie potrząsnęła głową. Skąd te głupie myśli? Normalnie nie miała zwyczaju snuć

dziwacznych domysłów na temat nieznanym sobie panów.

Nie poświęcając intrygującemu mężczyźnie więcej uwagi, pośpieszyła na górę. Właściwa zabawa miała się rozpocząć dopiero o ósmej, lecz w sali balowej pełno było już gości, wśród których krzątała się obsługa. Do wysokiej na dwa piętra sali przylegał ogromny taras, położony bezpośrednio nad wejściowym portykiem. Zespół jazzowy grał melancholijne, spokojne melodie.

Maddie porozumiała się z Alice, która zapewniła szefową, że jest gotowa do działania, a następnie z niesympatycznym kierownikiem klubu Harveyem Smallem, który również w pełni panował nad sytuacją. Przed w mieszaniem się w tłum gości, odnotowała w pamięci obecność trzech znanych sobie z imienia i nazwiska kelnerek - uprzejmej i delikatnej Daisy Parker, nadzwyczaj sprawnej, ostrej jak brzytwa Ginger Walton oraz irytująco przymilnej Eriki Clawson. Wszystkie trzy nosiły obowiązkowy dla obsługi kelnerskiej strój - czarne spodnie z białą koszulą.

W trakcie sprawdzania zastawionego półmiskami bufetu usłyszała za sobą nagły szmer rozmów, który szybko przeszedł w głośny szum. Kiedy się odwróciła, chcąc poznać przyczynę ogólnego poruszenia, w drzwiach sali balowej ujrzała intrygującego mężczyznę, który przed chwilą wysiadał z czarnego porsche. Przystojny nieznajomy w wytwornym smokingu, którego niefrasobliwy sposób bycia świadczył o poczuciu wartości i pewności siebie, budził powszechne zaciekawienie. Maddie serce skoczyło w piersiach. Facet był po prostu olśniewający. Wysoki i smukły, chociaż dobrze zbudowany, krótko ostrzyżony blondyn o urodziwej, lecz bardzo męskiej twarzy filmowego amanta.

Kto to może być? Sądząc po ogólnym ożywieniu, wszyscy goście zadawali sobie to samo pytanie. Kimkolwiek był, jego pojawienie się wprowadzało zamęt, zakłócając przebieg wieczoru u samego jego początku. Poczuwając się do obowiązku wyjaśnienia sytuacji, Maddie pospieszyła przez salę, kierując się w stronę nieznajomego, który teraz nie odrywał od niej oczu, palącym spojrzeniem omiatając jej postać od stóp do głów. Czowała się, jakby wzrokiem dosłownie rozbierał ją do naga. Maddie jednak nie była osobą nieśmiałą ani płochliwą i odpowiedziała mu śmiałym spojrzeniem. Kiedy do niego podeszła, na twarzy mężczyzny pojawił się szeroki uśmiech.

Czyżby się skądś znali?

- Miło mi powitać w klubie Lone Star. Pozwoli pan, że się przedstawię. - Serce biło jej szybkim, nierównym rytmem, gdy wyciągała do nieznajomego dłoń. - Jestem Maddie Delarue, organizuję imprezy specjalne w naszym klubie i jestem gospodynią dzisiejszego przyjęcia.

W momencie, gdy dotknął jego dłoni, przez ramię Maddie przebiegł silny dreszcz, który błyskawicznie rozszedł się po całym ciele. Co się z nią dzieje? Nigdy dotąd nie reagowała tak gwałtownie na męski dotyk.

- Mnie też jest bardzo miło - odparł nieznajomy. Miał niski i głęboki, lekko schrypnięty głos.

Maddie była świadoma, że sala wciąż huczy od domysłów i czuła skierowane na nich dwoje liczne spojrzenia. Trzeba szybko rozładować sytuację. Zmobilizowawszy całą swą odwagę, zdecydowanym ruchem wsunęła mu rękę pod ramię.

- Jeśli pan pozwoli... Bardzo przepraszam, ale to prywatne przyjęcie. Z kim mam przyjemność, jeśli wolno zapytać... - Zawiesiła

głos, ale gdy mężczyzna nie raczył się przedstawić, ciągnęła: -
Obowiązują zaproszenia. Nie jest pan, mam nadzieję, nieproszonym
gościem?

- Ależ nie, piękna Maddie - odparł na to. - Można o mnie
powiedzieć wiele rzeczy, lecz z pewnością nie to, że wdarłem się bez
zaproszenia na pani przyjęcie.

Maddie aż zaszumiało w głowie. Opamiętaj się, dziewczyno,
szepnęła do siebie w duchu. Nie jesteś pierwszą naiwną, która nie miała
nigdy do czynienia z mężczyzną usiłującym cię omamić miłymi
słówkami. Nasłuchiwałaś się w życiu wielu fałszywych komplementów.
Niemniej nie mogła oprzeć się wrażeniu, że komplement nieznajomego
wyrażał szczery podziw dla jej urody. - Wiem już, czego nie można o
panu powiedzieć - podjęła, prowadząc go na środek sali. - Ale czy byłby
pan łaskaw wymienić te rzeczy, które można o panu powiedzieć?

Górujący nad nią, bo wyższy od Maddie co najmniej o pół głowy,
tajemniczy gość stanął w pół kroku, ujmując jej dłoń w obie ręce. Ku
osłupieniu nie spodziewającej się takiej śmiałości kobiety podniósł jej
dłoń do ust i złożył na niej gorący pocałunek. Maddie spiorunowała go
wzrokiem. Ten bezczelny facet usiłuje wyrzucić na niej wrażenie za
pomocą wyrafinowanych sztuczek. Spotkała w życiu wielu podobnie
układnych uwodzicieli! Niby tak, ale ten wydał się jej jednak jakiś inny.

- Cóż mógłbym o sobie powiedzieć, słodka Maddie? - zaczął z
uśmiechem, a ona znów spiorunowała go wzrokiem. - No cóż, jestem
znawcą dobrych win, dzieł sztuki, które do mnie przemawiają, znawcą
opery i baletu, a także - tu dla większego efektu zawiesił głos -
wielbicielem pięknych kobiet.

- To ciekawe. Tak się dziwnie składa, że znałam paru tego typu znawców. - Nieznajomy podniósł z zaciekawieniem brwi. - I przekonałam się - ciągnęła z uśmiechem - że tego rodzaju znawcy bywają na ogół także łowcami... - ona też dla zwiększenia efektu zawiesiła głos - posagów.

Nieznajomy mężczyzna roześmiał się swobodnie, z całego serca.

- Zapewniam panią, że okazała skądinąd fortuna szanownej pani nie jest mi do niczego potrzebna. - Doprawdy? - Maddie nagle zorientowała się, że ich przedłużająca się rozmowa przyciąga jeszcze więcej spojrzeń niż samo pojawienie się nieznajomego. Pierwsze, co jej przyszło do głowy, to zniknąć ciekawskim z oczu. - Chciałabym panu pokazać widok z tarasu. Jest naprawdę imponujący.

- Chętnie popatrzę.

Ująwszy ją za łokieć, posłusznie pozwolił się prowadzić, lecz dotarłszy na środek sali, nieoczekiwanie skręcił w bok i niemal siłą pociągnął Maddie na parkiet. Byłaby ostro zareagowała na ten bezczelny podstęp, ale nie chciała wywoływać publicznej sceny. Pozwoliła więc, by ją objął i poprowadził do tańca w takt powolnej, uwodzicielskiej muzyki. Czowała, jak jego prawa ręka przesuwana się w dół, sięgając talii. Wstrzymała oddech. Po chwili poczuła na twarzy muśnięcie jego policzka.

- Kim pan właściwie jest, i po co się tutaj zjawił? - zapytała. Fakt, iż głos jej przy tym zadrzał, był dla Maddie wielkim zaskoczeniem, ponieważ działy się z nią bardzo dziwne rzeczy. Piersi miała napięte i stwardniałe, czuła pulsowanie w dole brzucha. Facet jest śmiertelnie niebezpieczny!

- Nareszcie pytanie prosto z mostu! - skomentował. - Uznała pani, że czas porzucić zbędne grzeczności?

- Staram się, najuprzejmiej jak mogę, uzyskać odpowiedź na parę prostych pytań - odcięła się.

Jego ręka zsunęła się jeszcze niżej, poniżej pasa. Maddie sięgnęła prawą ręką do tyłu i chwyciła go za nadgarstek. Kiedy jednak próbowała podciągnąć wyżej jego rozłożoną dłoń, natrafiła na zdecydowany opór, a zaraz potem facet siłą ściągnął obie ich ręce jeszcze niżej, tak że jego dłoń spoczęła na jej pośladku. Maddie zapało dech.

- Proszę się uspokoić! - powiedziała ostro. - Jak pan może! Ludzie patrzą!

Mężczyzna zaśmiał się, lecz posłusznie przesunął rękę z pośladka na plecy.

- Tak lepiej?

- Tak, o wiele lepiej - odparła, kładąc mu z powrotem rękę na ramieniu.

- Pytała pani, kim jestem i czego tu szukam... No cóż, jestem tu, ponieważ zostałem zaproszony i ponieważ miałem nadzieję przyjemnie spędzić czas. Dzięki pani towarzystwu moje nadzieje się spełniły.

Maddie przewróciła oczami.

- Staramy się spełniać wszystkie życzenia naszych gości.

- Serio?

- Oczywiście w określonych granicach - poprawiła się.

- Oczywiście.

Nie waż się rumienić! Jeżeli facet domyśli się, że jego sztuczki robią na tobie choćby najmniejsze wrażenie, kompletnie się rozbestwi i nie wiadomo do czego gotów się posunąć. Skończysz tylko ten taniec i na tym poprzestaniesz! Uwolnisz się od niego i zapomnisz, że ktoś taki w

ogóle istniał. Jednakże jej ciało nie chciało słuchać głosu rozsądku, wtulając się w nie - go, aż stopili się w jedno, niczym dwie idealnie do siebie dopasowane połowy.

- Czy rzeczywiście został pan zaproszony?
- Tak.
- Czy mogę zobaczyć zaproszenie?
- Oddałem je na dole przy wejściu.
- Ach, tak.

Po skończonym tańcu nieznajomy wziął ją za rękę i wyprowadził na taras. Szła za nim wbrew podszeptom zdrowego rozsądku, który radził nie zadawać się dłużej z niebezpiecznym uwodzicielem. Powodowała ją ciekawość i jakieś dziwne, niezrozumiałe oczekiwanie. Jednak gdy znaleźli się na niemal pustym tarasie, stanowczym ruchem uwolniła rękę.

- Co to za gra, którą pan ze mną prowadzi? - zapytała.
- Gra? Wszak to pani, jako organizatorka klubowych imprez, jest specjalistką od gier i zabaw.
- Dzisiejsza gala jest imprezą charytatywną, jej dochód zasili kasę Czerwonego Krzyża. Jeżeli otrzymał pan zaproszenie, to musi pan wiedzieć, że zaszczyt uczestniczenia w przyjęciu zobowiązuje do wpłacenia odpowiedniej sumy.
- Jestem tu jako gość jednego z członków klubu.
- Byłby pan łaskaw podać jego nazwisko? Mężczyzna, zamiast odpowiedzi, porwał ją w ramiona.
- Zawsze ta sama Maddie, w której ciekawość walczy o lepsze z ostrożnością!
- Co pan powiedział? - Naprawdę mnie nie pamiętasz?

- Kim pan jest?

Nachylił się i delikatnie musnął wargami jej usta. Będziesz szalona, jeżeli pozwolisz mu cię pocałować, pomyślała. Ale gdy on wziął jej wargi w posiadanie, nie tylko się nie opierała, lecz odwzajemniła gorący pocałunek.

W jego pocałunku było tyleż samo namiętności, co czulej pieśczości. Niesamowite, lecz jedynym mężczyzną, który jeden jedyny raz tak ją całował, był dawno zapomniany Dylan Bridges. Dylan! Czy możliwe, żeby to był on?

Zdumiona tym nieoczekiwanym domysłem, gwałtownie cofnęła głowę i spojrzała mu w twarz.

- Słodka Maddie, zareagowałaś na mój pocałunek dokładnie tak samo jak siedemnaście lat temu! - Roześmiał się, ukazując olśniewająco białe zęby.

Czy instynktownie go rozpoznała? Fizycznie był tak bardzo odmieniony. Wysoki i postawny, elegancki mężczyzna zachowujący się ze spokojną pewnością siebie, w niczym nie przypominał zadziornego, obdartego hippisa z kolczykiem w uchu.

Niewiele myśląc, Maddie chwyciła go za klapy smokingu i przyciągnęła do siebie. Chciała się przekonać, czy następny pocałunek podziała na nią tak samo jak poprzedni i jak tamten sprzed siedemnastu lat. Czysty dynamit! Ogniste race wybuchały w jej. ciele, gdy zarzuciwszy mu ręce na szyję, wpiła się w jego usta. Dylan nie pozostał bierny. Przyparłszy ją całym ciałem do ściany tarasu, namiętnie pożerał jej usta. Maddie znalazła się we władzy nieopanowanego pożądania.

Czyjeś zbliżające się głosy sprowadziły ją szybko na ziemię.

Odsunęła się gwałtownie, chwytając z trudem oddech.

- Nie wiem, co mnie opętało - wyszeptała.

- Nie wiesz?

Poczuła, że oblewa się rumieńcem. Niech to diabli! Siłąc się na spokój, wzięła długi, głęboki oddech.

- Powiesz wreszcie, co tutaj robisz?

- W Mission Creek czy tutaj, w klubie?

- I tu, i tu.

- Przyjechałem do ojca - odparł Dylan. - On zadzwonił i wyciągnął rękę. Uznał, że czas zapomnieć o przeszłości i na nowo nawiązać stosunki.

- Jak to dobrze. Na pewno bardzo się ucieszył z twojego przyjazdu. Ale nie zauważyłam, żeby wchodził.

- Wybierał się na to przyjęcie, ale w ostatniej chwili źle się poczuł i musiał się położyć. Uparł się jednak, żebym poszedł bez niego. - Dylan przerwał i spojrzał Maddie w oczy. - Wiedział, jak bardzo chcę cię zobaczyć.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- Jesteś jeszcze piękniejsza niż kiedyś - dodał. - Dojrzałość ci służy.

- Tobie też. Zupełnie cię nie poznałam. Bardzo się zmieniłeś.

- Miałem czas, żeby wydorosnąć. W poprawczaku, a zwłaszcza później. - Widzę, że z dobrym skutkiem - zauważyła, zerknąwszy na jego kosztowny smoking.

- Nie narzekam. A ty? Czy to nie dziwne, że najbogatsza kobieta w całym Teksasie, ukochana córeczka tatusia, zajmuje się organizowaniem

impresz w podmiejskim klubie?

- Rozpieszczona jedynaczka, którą znałeś, dawno przestała istnieć. Jestem dziś kobietą pracującą, która lubi swoje zajęcie i dobrze je wykonuje. - Zajrzała przez otwarte drzwi do sali balowej. - A propos pracy, to muszę pójść dopilnować, żeby wszystko przebiegało zgodnie z planem.

- Przyszłaś z kimś?

- Nie, jestem sama.

- Już nie.

Wszedł do środka, prowadząc Maddie pod rękę, i przez następną godzinę nie odstępował jej na krok. W trakcie inscenizowanego wydarzenia, nim jeszcze doszło do popełnienia fikcyjnego morderstwa i rozpoczęcia śledztwa, zdążyła przedstawić Dylana całej rodzinie Carsonów, kilku Wain Wrightom, a także nieznanym mu z dawnych czasów Joan i Hartowi O'Brienom. Musiał wielokrotnie, coraz to innym osobom, składać te same wyjaśnienia. Carl źle się poczuł i musiał zostać w domu. On i ojciec postanowili naprawić wzajemne stosunki. Tak, zostanie w mieście jeszcze przez jakiś czas. Mieszka i pracuje w Dallas. Prowadzi firmę maklerską. I tak w kółko. Wreszcie odciągnął Maddie na bok i szepnął jej do ucha: - Twoja asystentka świetnie daje sobie radę. Czy nie możemy się na chwilę stąd ulotnić?

- Też jestem zdania, że samodzielność to najlepsza szkoła i staram się dawać Alice jak najwięcej swobody. Niemniej wolałabym akurat dziś nie zostawiać jej samej.

- Daj spokój. Nie na długo. Na pół godziny.

- Nie wiem, czy powinnam.

- Chodź! Przecież widzę, że masz ochotę! - Po czym, nie zostawiając jej czasu do namysłu, wyprowadził ją z sali balowej na schody, a potem na podjazd. Czekając, aż chłopiec parkingowy przyprowadzi samochód, obserwował Maddie.

- Nie patrz tak na mnie! - poprosiła.

- Jak?

- Jakbyś nigdy nie widział kobiety.

- Nie widziałem cię od siedemnastu lat. Maddie zrobiło się ciepło na sercu.

- Pół godziny. Ani minuty dłużej - ostrzegła go. - W ogóle nie powinnam wychodzić.

- Widzę, że nadal nie potrafisz się oprzeć moim złym podszeptom.

Kiedy przed drzwiami zajechał czarny porsche, Maddie obrzuciła auto podejrzliwym wzrokiem.

- To twój? - spytała. - Mój.

- Na pewno nie pożyczony?

- Na pewno - odparł ze śmiechem. - Świadcstwo kupna jest w schowku. Możesz sprawdzić.

Usadowiwszy Maddie w fotelu, Dylan zasiadł za kierownicę i opuścił dach samochodu, po czym z piskiem opon ruszył ku bramie. Pęd powietrza momentalnie potargał włosy Maddie, które fryzjerka spięła na dzisiejszy wieczór w kunsztowny kok. Jej jednak było to obojętne. Myślała o tym, że jeszcze niedawno snuła marzenia o mężczyźnie, który na podobieństwo Dylana zawróciłby jej w głowie i porwał w nieznane. Ani podejrzewała, iż oto on sam pojawi się na nowo w jej życiu, oferując upajające, oszalamiające przeżycia. Więc wolno jej chyba oderwać się na

pół godziny od rzeczywistości.

Podniosła ręce, wyjęła z włosów spinki i potrząsnęła głową. Kątem oka dostrzegła aprobujące spojrzenie Dylana i roześmiała się w głos. Rozkoszując się świeżym, rozwiewającym jej włosy powietrzem, uwolniona, przynajmniej na chwilę, od trosk i poczucia odpowiedzialności, pędziła oto w teksańską noc u boku mężczyzny, o którym wiedziała tylko tyle, że kiedyś był zbuntowanym nastolatkiem.

Chyba jeszcze nigdy nie czuła się tak wolna, tak pełna nieokiełznanej radości życia i oczekiwania!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dylanowi trudno było patrzeć na drogę, po której jechali. W ciągu całego życia nie spotkał kobiety mogącej się równać z Maddie Delarue.

Była nie tylko wyjątkowo piękna, ale i niezwykle pociągająca. Zdawał sobie sprawę, iż jego zafascynowanie bierze się częściowo stąd, że była bohaterką jego grzesznych młodzieńczych snów, przedmiotem nieosiągalnych marzeń. Co jednak wiedział o kobiecie, jaką Maddie jest dzisiaj? Kompletnie nic, prócz tego, że miała więcej pieniędzy niż całe Mission Creek razem wzięte, nie wyłączając Wainwrightów oraz Carsonów. I jeszcze jedno - że nadal na sam jej widok dostaje kręćka.

Od pierwszej chwili wiedział, że to ona, gdy tylko ujrzał ją stojącą w holu klubu, wyglądającą jak księżniczka z bajki. A kiedy potem w sali balowej szła w jego stronę, musiał wysiłkiem woli opanować ogarniające go podniecenie.

Odkąd ukończył dwadzieścia lat, nie zdarzyło mu się coś

podobnego.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Maddie.

- Czy to nie wszystko jedno? - Niezupełnie. Chyba pamiętasz, że za pół godziny mamy być z powrotem w klubie.

- No to daleko nie zajedziemy. Jeśli mnie pamięć nie myli, gdzieś w pobliżu była kiedyś wyboista polna droga.

- Chyba żartujesz - roześmiała się Maddie. - Chcesz mnie znowu tam zawieźć?

- Dlaczego nie? Nie chcesz się przekonać, do czego mogło dojść siedemnaście lat temu, gdyby nie interwencja policji?

- Nie bardzo - odparła spokojnie. - Ale kto wie, czy wtedy nie poszłabym na całość. Byłam taka niedoświadczona, że pewnie nie umiałabym ci się oprzeć. Kiedy zacząłeś mnie całować, kompletnie straciłam głowę. Pierwszy raz w życiu przeżywałam coś podobnego.

- No, moja droga, widzę, że wiesz, jak człowieka podkręcić - zauważył z udaną wesołością. - Zdajesz sobie chyba sprawę, że mówiąc takie rzeczy, niesłuchanie pobudzasz moje męskie ego... nie mówiąc już o innej części mojej anatomii.

- Masz na myśli zadzieranie nosa?

- Jesteś bezwstydna. Doskonale wiesz, o czym mówię.

Zachwycił go jej śmiech. Był cudownie naturalny. Dylan często miewał do czynienia ze strojącymi sztuczne miny, pretensjonalnymi kochankami, toteż otwarta, autentyczna reakcja Maddie podziałała na niego jeszcze bardziej podniecająco. Miał wrażenie, że się przed nim odsłania, składa broń, odkłada obronną tar - czę, pozwala mu pod wytworną powierzchownością dostrzec prawdziwą kobietę.

- Z tamtego wzgórza rozciąga się piękny widok - oznajmiła. - W dziesięć minut będziemy na miejscu, a widok jest naprawdę wart zobaczenia. Skręć w Goldenrod Road, a jak ujedziesz trzy kilometry, powiem ci, co dalej.

- Czy to miejsce spotkań zakochanych?

- Nie sędzę. Znajduje się na prywatnym terenie, na który obcy nie mają wstępu.

- Czy znowu chcesz mi napytać kłopotów z organami porządku? - spytał żartobliwie Dylan.

- Nie bój się, to moja własność.

- No jasne, powinienem był się domyślić. Skręcił w Goldenrod Road, sprawdzając stan licznika.

- Dlaczego po śmierci ojca nie zdecydowałaś się na zarządzanie konsorcjum? - zapytał po krótkiej chwili.

- Z początku próbowałam. Jednakże szybko doszłam do wniosku, że brak mi bezwzględności i innych cech potrzebnych do kierowania tak ogromnym imperium. - Maddie patrzyła przed siebie, chłonąc rozciągający się przed nimi krajobraz. - Nadal uczestniczę w podejmowaniu wszystkich ważnych decyzji, lecz nadzór nad prowadzeniem interesów zostawiam fachowcom.

- Dziwię się, że nie znalazłaś męża, który chętnie wzięłby na siebie kierowanie konsorcjum.

- Na najbliższym skrzyżowaniu skręć w lewo! - podpowiedziała mu. - Czy powinnam to rozumieć jako ofertę?

Zatrzymał samochód na skrzyżowaniu, a upewniwszy się, że znikąd nie zbliża się żaden pojazd, wrzucił wolny bieg i zwrócił się do swej

towarzyszki:

- Myślisz, że o to mi chodzi? Że chciałbym zawładnąć wielkim majątkiem pani Delarue?

- Sam mi to wyjaśnij - odparła, spoglądając mu prosto w twarz. - Słyszałam, jak mówiłeś, że prowadzisz w Dallas firmę maklerską. A sądząc po tym, że stać cię na porsche i smokingi od Armaniego, musi ci się dobrze wieść w interesach.

Wyciągnął rękę i delikatnie musnął palcami jej policzek.

- Nie potrzebuję twojego majątku, ani b niego nie zabiegam. Pieniądzy, jakie do tej pory zdobyłem, nie wydaję do końca życia, choćbym nie wiem, jak się starał.

- Więc jesteś człowiekiem bogatym?

- Tak, chociaż rzecz jasna, nie tak bogatym jak ty. - Musnął opuszką kciuka jej rozchylone wargi. - Ale jestem multimilionerem i stale pomnażam swój majątek. Jestem jak Midas: czego się dotknę, zamienia się w złoto.

Ujął z powrotem kierownicę i po włączeniu lewego migacza skręcił w wiejską drogę. Milczeli oboje, podczas gdy auto kręta aleją wspięło się na wznoszące się nad doliną wzgórze. Dotarłszy na skraj skarpy, Dylan zaparkował samochód, nie wyłączając silnika. Włączył natomiast odtwarzacz płyt kompaktowych i w ciszę nocy wdarły się słodkie dźwięki tęsknej muzyki.

- Czego wobec tego szukasz, skoro nie chodzi ci o mój majątek? - spytała Maddie, patrząc wprost przed siebie.

- Czy naprawdę musisz mnie o to pytać?

- Boję się, że tak.

- Wolisz dmuchać na zimne? Zbyt wiele razy się sparzyłaś?
- Coś w tym rodzaju. Pamiętasz Jimmy'ego Dona Newmana?

Byłam z nim zaręczona, kiedy miałam dziewiętnaście lat. Nie trwało to długo. Po dwóch tygodniach przyłapałam go w łóżku z moją współlokatorką z college'u. Wyśmiał mnie i oświadczył, że chodził ze mną tylko z powodu majątku, który miałam odziedziczyć.

- Sukinsyn!

- Masz rację. Plułam sobie w brodę, że w ogóle z nim się nadałam. Ale jeszcze gorszym łajdakiem okazał się mój następny narzeczony, angielski hrabia Nigel Pennington. Przyczepił się do mnie, kiedy po skończeniu studiów pojechałam na lato do Europy. Były to moje pierwsze wakacje bez opieki matki i nie będę ukrywać, że postanowiłam wreszcie się wyszaleć. Nigel nie był wprawdzie szalony, ale potrafił być bardzo zabawny.

- I co było dalej?

- Podczas zaręczynowego przyjęcia, które, nawiasem mówiąc, odbywało się w zamku któregoś z jego przyjaciół, całkiem przypadkiem odkryłam, że Nigel tonie po uszy w długach, a na dodatek ma dziewczynę, która udawała przede mną jego kochającą siostrę.

- Co za łajdak! Faktycznie sto razy gorszy od Newmana.

- Potem było jeszcze paru innych - przyznała. - Nie narzeczonych, ale mężczyzn, z którymi stale się spotykałam. Zawsze jednak wychodziło na to samo: w końcu okazywało się, że patrząc na mnie, każdemu z nich roją się tylko dolary.

- Musieli być obrani z rozumu!

- Nie baw się komplementy! Nie umiem na nie reagować. Tak czy

inaczej, postanowiłam więcej się nie wdawać w męsko - damskie gierki.

- Nie uprawiam żadnych gierek. Albo raczej uprawiam wyłącznie gry polegające na wymianie pocałunków za obopólną zgodą.

- Chyba jesteśmy już zbyt dorośli na tego rodzaju zabawy.

- Ale można ją uprawiać po dorosłemu. - Dylan obrócił się ku niej, po czym niemal jednym ruchem objął ją i posadził sobie na kolanach.

Obraz z przeszłości.

- Coś mi to przypomina - powiedziała, siedząc trochę sztywno na jego udach.

Pocałował ją w szyję.

- A to? - spytał.

- Nie.

Powiodł czubkami palców po jej dekolcie ponad głębokim wycięciem sukni. - A to?

- Też nie.

Zatopił palce w jej włosach, ujął jej głowę w obie ręce i przyciągnął do siebie. Tuż przed złożeniem na jej ustach pocałunku, zapytał:

- Ale to chyba coś ci przypomina?

- To, tak.

Całował ją z zapamiętaniem godnym szesnastolatka, wzbogaconego o doświadczenie dojrzałego mężczyzny. Przygotował się na opór z jej strony, był więc mile zaskoczony, gdy Maddie nagle jakby się wyzwoliła z krepujących ją hamulców i uległa namiętnej pieszczocie. Czując, jak omdlewa w jego ramionach, coraz bardziej się ośmielał, całował ją coraz goręcej, to znów się cofał, drażniąc jej usta delikatnie. Coraz mniej panował nad sobą. W pewnej chwili jął pieścić jej osłonięte jedwabiem

piersi, a gdy jęknęła z rozkoszy, poszukał zamka na tyle sukni, aby go rozsunąć. Maddie znowu jęknęła.

- Nie, Dylan! Błagam cię, nie! - wyszeptała. Opamiętał się.

Podciągnął zamek na plecach sukni

i oderwał się od jej ust. Po długiej chwili podniósł na nią oczy.

- Przepraszam, Maddie. Nie wiem, co mi się stało, ale straciłem nad sobą panowanie.

- Nie przepraszaj - odparła, zsuwając się z jego kolan na fotel.

Zamilkła na chwilę, by spokojnie odetchnąć. - Pragnęłam tego samego co ty - przyznała. - Chciałabym... się z tobą kochać, ale to niemożliwe.

Postanowiłam wyrzec się mężczyzn. A więc i ciebie. Zresztą poza tym, że byłeś przedmiotem moich młodzieńczych erotycznych fantazji, nic o tobie nie wiem. Jesteśmy dla siebie obcymi ludźmi.

Dylan przetarł twarz, potem zadarł głowę do góry i wpatrzył się w niebo.

- Pozostanę w Mission Creek jeszcze parę dni. Spotkajmy się znowu.

- Nie ma sensu zaczynać znajomości, która nie może dobrze się skończyć - odrzekła. - A poza tym, powinieneś cały czas poświęcić ojcu.

- Na pewno nie będzie miał mi za złe, jeżeli raz czy drugi z kimś się umówię. Zresztą zastanawiam się poważnie, czy nie osiąść w Mission Creek na stałe.

- Serio mówisz? - zdumiała się. - Chcesz rzucić Dallas? Dlaczego?

- Bo tu mam ojca - odparł. - Mógł dodać „i ty tu jesteś”, ale się powstrzymał. Maddie wkrótce i tak się przekona, że łatwo się go nie pozbędzie.

- No tak, to zrozumiałe. Po tylu latach rozłąki.

Popatrzyła na niego ze współczuciem. O nie, powiedział sobie w duchu. Wszystko, tylko nie to. Nie życzę sobie z twojej strony współczucia. Chciał zostać jej przyjacielem i kochankiem - zwłaszcza tym drugim - ale za nic nie chciał, by się nad nim litowano. Popatrzył na zegarek.

- Pół godziny minęło - stwierdził. Wymanewrował auto z polany i ruszył krętą drogą w dół wzgórza.

Jechali w milczeniu. Dylan nie bardzo wiedział, co mówić. Jutro pośle Maddie tuzin róż. Nie czerwonych, to by było w złym guście. Herbacianych, delikatnych i subtelnych, jak jej skóra.

Jazda powrotna do klubu zajęła im dziesięć minut. Po odesłaniu samochodu na parking, Dylan podążył za Maddie do foyer.

- Muszę zniknąć na chwilę w łazience, uczesać się i doprowadzić do porządku. Nie czekaj na mnie. Wracaj na przyjęcie. Potem się jeszcze zobaczymy.

Przytrzymał ją za rękę.

- Pozwól zaprosić się jutro wieczorem na kolację! - Po co jej się narzucasz, idioto! Trzeba było z tym poczekać, zezłościł się na siebie. Co się z tobą dzieje? Zdaje się, że kompletnie tracisz przy niej rozsądek.

- Nie, mój drogi. Romanse to nie moja specjalność. Wszyscy o tym wiedzą. Nie wierzę w szczęście we dwoje.

- Nie proponuję ci romansu. Proszę tylko o spotkanie. A być może później, jeżeli będziemy mieli ochotę, spróbujemy...

- Seksu?

- Czemu nie? - Uśmiechnął się szeroko.

- Nic prócz seksu?

- Słowo!

Znów miał wrażenie, iż na moment odsłoniła przed nim ukrytą za fasadą dzielności bezradną, samotną istotę. Biedna bogata dziewczyna, pomyślał. A jednocześnie doznał dziwnego uczucia, że tylko on jeden na całym świecie potrafi uszczęśliwić smutną Maddie Delarue. Pragnął jej jak niczego na ziemi. Nie spocznie, dopóki jej nie zdobędzie. Od pewnego czasu przywykł osiągać wszystko, czego zapragnął. Nabrał przekonania, że nic i nikt mu się nie oprze. Tym razem może być trudno, lecz dla Maddie warto było podjąć największe ryzyko.

- Proszę cię, Dylan, nie zakłócaj mojego spokoju

- odezwała się Maddie. - Nie chcę, żeby niewczesny romans zakłócił moje z trudem zbudowane bezpieczne życie. Nie ma w nim miejsca dla niegdysiejszego buntownika, nawet nawróconego.

- A kto powiedział, że się nawróciłem?

Dylan zrobił w tył zwrot i ruszył przed siebie, zostawiając Maddie samą na środku holu.

W dziesięć minut później Maddie wkroczyła do sali balowej.

Rozczesała włosy, z którymi nic więcej nie mogła zrobić, i poprawiła makijaż, mając nadzieję, iż nikt nie zwróci uwagi na jej lekko spuchnięte wargi. Rozejrzała się po sali, szukając Dylana, lecz go nie dostrzegła. Miejscowy aktor, który w fikcyjnej historii kryminalnej grał rolę inspektora policji, zgromadził właśnie na podium grono „podejrzanych”. Przemykając się pod ścianami, Maddie dotarła do Alice.

- Wszystko idzie jak należy? - spytała.

- Jak z płatką. Goście znakomicie się bawią. Ja też

- odparła Alice z zadowoleniem, lecz na widok fryzury Maddie zrobiła wielkie oczy.

- Musiałam rozpuścić włosy, bo od szpilek rozboleła mnie głowa - wyjaśniła Maddie. - Pewnie nabrałaś ochoty na kolejną dużą imprezę w klubie. Najwyższy czas zacząć planować doroczny piknik z okazji wrześniowego Dnia Pracy.

- O tak. Musimy zaraz się do tego zabrać. Mam parę pomysłów, o których chcę z tobą... masz ci los! Pan Small znowu na mnie kiwa. Przez cały wieczór daje mi się we znaki. Wtrąca się do wszystkiego jakby to on był moim szefem, a nie ty.

Maddie roześmiała się. Mały, przysadzisty Harvey Small sprawował w klubie rządy żelaznej ręki. Biedny Harvey! Jako organizator był człowiekiem niewątpliwie bardzo cennym, lecz sam cenił się ponad wszelką miarę, uważając, że jest mądrzejszy od wszystkich.

- Ty lepiej sobie z nim poradzisz niż ja - stwierdziła Maddie. - Dowiedz się, czego chce, i postaraj się go ugłaskać.

- Tak jest, szefowo! Zrobię, co się da.

Aktor grający inspektora Madisona brylował na podium i z pomocą mikrofonu prowadził przesłuchanie „podejrzanego” Flynta Carsona. Obok niego stał chrzestny syn Archy'ego Wainwrighta, Joe Turner, oczekujący swojej kolejki w śledztwie w sprawie rzekomego morderstwa popełnionego na osobie niejakiego Jeffrey'a Hughesa.

- Gdzie pan się znajdował w momencie, gdy zastrzelono pana Hughesa? - pytał inspektor Madison. - Proszę również dokładnie wyjaśnić, co pana łączyło z panią Hughes. Czy to prawda, co mówią świadkowie, że łączył was potajemny romans? Flynt, który z trudem

powstrzymywał śmiech, odparł:

- Szanowny panie inspektorze, ktoś naopowiadał panu jakichś niestworzonych bajek. Wszyscy wiedzą, że jestem najwierniejszym z mężów. - Flynt rzucił przez salę spojrzenie roześmianej Josie, która siedziała na widowni z jego rodzicami i najwyraźniej świetnie się bawiła.

- A pan? - rzucił nagle inspektor, zwracając się do Joego Turnera. - Gdzie pan się znajdował w dniu dzisiejszym mniej więcej pięć minut po dziewiątej wieczorem? Proszę też powiedzieć, czy to prawda, że w wyniku matactw pana Hughesa poniósł pan poważne straty finansowe?

- Mam niepodważalne alibi - z lekkim uśmiechem rozbawienia odparł Joe. - Byłem w tym czasie z Flyntem, a ponieważ on w tym samym czasie znajdował się tam gdzie ja, więc radzę panu, inspektorze, poszukać sobie innych podejrzanych.

Na widowni rozległy się głośne śmiechy. Inspektor Madison podrapał się w łysinę, lecz nie wypadł z roli. Zmarszczywszy brwi, zmierzył Flynta groźnym spojrzeniem.

- Panie Carson, wiemy, że jest pan bardzo zamożnym człowiekiem. Proszę się przyznać, ile dokładnie zapłacił pan obecnemu tu podejrzanemu Turnerowi za zapewnienie mu fałszywego alibi?

Nie czekając na dalszy ciąg przedstawienia, Maddie zajęła się inspekcją bufetu, porozmawiała z szefem zespołu jazzowego, by się upewnić, czy muzycy pamiętają, jaką melodię mają odegrać po wykryciu „zabójcy”, i wreszcie uratowała Alice z rąk bezlitosnego Harveya Smalla. Spełniając te obowiązki, przez cały czas rozglądała się za Dylanem. Gdzie on się podział? Rozstając się z nim kilkanaście minut temu, przed wizytą w łazience, sądziła, że Dylan wybiera się z powrotem na górę, do sali

balowej. Czyżby zmienił zamiar i postanowił udać się do domu?

- O, wrócił ten przystojniak, który narobił dzisiaj tyle szumu - zauważyła Alice.

Maddie zabiło serce.

- Gdzie go widzisz?

- O, tam - odparła, ruchem głowy wskazując drzwi sali balowej. - Wygląda, jakby kogoś szukał.

Maddie przez chwilę walczyła z pokusą, lecz chęć obejrzenia się była silniejsza od niej. Oczy jej i Dylana spotkały się. Zabiło jej serce. W jaki sposób ma mu się oprzeć, skoro najchętniej pobiegłaby i rzuciła mu się na szyję?

Jesteś idiotką, powiedziała do siebie surowo. Nie wmawiaj sobie, że oto spotkałaś jedyne go mężczyznę na świecie, który obdarzy cię bezinteresowną miłością, bo takie złudzenia zawsze źle się kończą. Przeżyłaś już zbyt wiele zawodów. Chcesz, żeby kolejny raz złamano ci serce? Jeżeli znowu będziesz na tyle niemądra, by dać się omamić słodkim słówkom, tylko siebie będziesz mogła winić za to, co cię spotka.

Czuła, że gdyby Dylan złamał jej serce, byłby to cios, po którym nie potrafiłaby się podźwignąć.

- No proszę! Fiona wreszcie ruszyła do akcji - szepnęła Alice podnieconym tonem. - Byłam ciekawa, jak długo potrwa, nim zaatakuje tajemniczego księcia z bajki.

I rzeczywiście! Śliczna młodzieńca Fiona zbliżyła się do Dylana, kołysząc biodrami, i jęła z nim flirtować. Dylan oderwał oczy od Maddie, zwracając się z czarującym uśmiechem do olśniewającej, obdarzonej niepoohamowanym temperamentem Carsonówny, która mimo młodego

wieku znana była z tego, że zmieniała mężczyzn jak rękawiczki. Maddie mimo woli poczuła ukłucie zazdrości. Bardzo ją to rozgniewało. Dylan Bridges nie powinien jej obchodzić. Nie ma do niego najmniejszego prawa. Może sobie flirtować, z kim mu się podoba.

Przez następną godzinę celowo unikała spotkania z Dylanem, któremu wiele innych wolnych pań okazywało żywe zainteresowanie. Fiona jednak za każdym razem potrafiła sobie z nimi poradzić, skutecznie udaremniając ich zakusy. Maddie kilkakrotnie pochwyciła skierowane w jej stronę spojrzenie Dylana i ilekroć ich wzrok się spotkał, Dylan porozumiewawczo do niej mrugał. Diabeł wcielony! Chyba mu daleko do prawdziwego nawrócenia się! Najwidoczniej wiele w nim zostało z dawnego, rozhukanego rozrabiaki. I dlatego pewnie tak bardzo podoba się Fionie. A skoro tak, to niech go sobie ma! Fiona na pewno nie należy do dziewcząt, którym łatwo jest złamać serce.

Tymczasem kryminalna historia osiągnęła swój punkt kulminacyjny wraz z identyfikacją, pojmaniem i odesłaniem do więzienia „prawdziwego zbrojcy”, którym, zgodnie ze scenariuszem, okazał się podstarzały aktor miejscowego teatru. Po skończonym przedstawieniu goście rozchodzili się po sali; niektórzy zbierali się do wyjścia, inni podjęli tańce, a jeszcze inni skierowali się do bufetu. Maddie doglądała kelnerek, które napełniały na nowo ustawione na długim stole srebrne półmiski.

W pewnej chwili Joan O'Brien podeszła do przyjaciółki i podała jej smukły kieliszek napełniony szampanem.

- Przed przedstawieniem zniknęłaś mi z oczu. Gdzie się podziewałaś? - zapytała figlarnie,

- Wyszłam odetchnąć świeżym powietrzem.

- W towarzystwie Dylana?

Maddie zaśmiała się, próbując ukryć konsternację.

- Chcieliśmy porozmawiać o dawnych sprawach - odparła enigmatycznie.

- Ach tak - mruknęła Joan, zaś wskazując gestem głowy zatopionych w rozmowie Fionę i Dylana, dodała: - A to, jak rozumiem, to całkiem nowa sprawa?

- Nie mam pojęcia. Nic mnie to nie obchodzi.

- Czy to ładnie okłamywać najlepszą przyjaciółkę?

- Wcale cię nie...

Powietrze rozdarł przeraźliwy krzyk. Wszyscy zamarli z przerażenia. Skądś z zewnątrz, przed budynkiem, dochodziły mrozące krew w żyłach, kobiece krzyki.

- Boże, co to? - wyszeptała Joan, kierując na Maddie pytający wzrok. Orkiestra grała nadal, lecz tancerze schodzili z parkietu, przyłączając się do zdezorientowanego tłumu ludzi zadających sobie gorączkowo pytania, skąd padły krzyki i kto wołał. Maddie pospieszyła na podium. Musi szybko opanować sytuację, aby nie doszło do paniki.

Ująwszy mikrofon, oświadczyła zdecydowanym tonem:

- Drodzy państwo, proszę zachować spokój. Zapewniam, że za chwilę wszystko się wyjaśni. Proszę na razie nie wychodzić. Idę na dół sprawdzić, co się wydarzyło.

Jeżeli sprawcami zamieszania są wynajęci do udziału w dzisiejszym przedstawieniu aktorzy, którzy postanowili zaimprovizować nadprogramowe urozmaicenie wieczoru, to powie im nie przebijając w

słowach, co myśli o tej niespodziance.

Zanim jednak zdążyła dotrzeć do drzwi, do sali balowej wbiegł zdyszany Harvey Small, za którym podążał aktor grający rolę inspektora Madisona. Pucułowaty Harvey miał śmiertelnie bladą twarz, a jego małe okrągłe oczka były wybałuszone ze strachu.

- Popełniono morderstwo - powiedział przez zduszone gardło. - Prawdziwe morderstwo. W stawie przed klubem znaleziono zwłoki.

Po sali rozszedł się pomruk zgrozy, rozległy się okrzyki. Maddie zamarła.

- Czyj to był krzyk? - wołali jedni.

- Kogo zamordowano? - pytali inni.

- Jedna z kelnerek, Erica Clawson, wyszła na papierosa - drżącym głosem wyjaśnił Harvey Small. - To ona... odkryła zwłoki.

- Czyje? - zapytał Ford Carson, który przebił się przez tłum gości do pierwszego rzędu.

Harvey z trudem przełknął ślinę, po czym skierowawszy wzrok na Dylana, który z uwieszoną na jego ramieniu Fiona stał parę kroków dalej, obok jej rodziców, odparł:

- Zamordowano sędziego Bridgesa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Maddie w pierwszej chwili nie była zdolną się poruszyć, wymówić słowa ani zebrać myśli. Carl Bridges nie żyje? Został zamordowany? Nie, to niemożliwe. Harvey musiał się omylić. To nie może być Carl. Nie, nie teraz, kiedy Dylan wrócił do Mission Creek, aby pogodzić się z ojcem.

Dylan! To będzie dla niego straszny cios!

Odwróciła się momentalnie, podążając ku Dylanowi, który stał jak skamieniały, z nieprzytomnym wyrazem twarzy. Chyba jest w szoku, pomyślała. Potem nagle, jakby słowa Harveya dopiero teraz do niego dotarły, jakby dopiero teraz zrozumiał ich znaczenie, Dylan wybiegł z sali.

- Czy wezwano policję? - zapytał Harveya Smalla miejscowy szeryf Justin Wainwright, który uczestniczył jako gość w dzisiejszej gali.

- Natychmiast zadzwoniłem po policję - odparł Harvey, po czym dodał, wskazując ręką drzwi, którymi moment wcześniej wybiegł Dylan: - Czy to był ten niepoprawny syn sędziego Bridgesa? Sądzę, szeryfie, że należałoby go zatrzymać, żeby nie uciekł.

- Dylan Bridges na pewno nie zamierza uciekać - oświadczyła Maddie. - Najprawdopodobniej chciał się przekonać na własne oczy, czy jego ojciec nie żyje.

- W świetle tego, co wiemy o ich stosunkach, Dylana Bridgesa należy uznać za głównego podejrzanego - zawyrokował Harvey, wypinając swój okrągły brzuch. - Całe miasto wie, że on i sędzia byli ze sobą od lat pokłóceni, nawet się ze sobą nie kontaktowali.

Maddie spiorunowała Harveya wzrokiem.

- Przestań gadać głupstwa! - rzekła oburzona. - Zabierasz głos w sprawach, o których nie masz pojęcia.

Z tłumu wystąpił Hart O'Brien, który pełnił w policji funkcję inspektora.

- Proszę państwa o spokój. I proszę się nie śpieszyć ze wskazywaniem winnych. Do przyjazdu funkcjonariuszy pozwalam sobie objąć dowodzenie.

Maddie czuła, że musi odnaleźć Dylana i w miarę swoich możliwości starać się go wesprzeć. W trakcie prowadzonych na sali dociekań, kto i dlaczego zamordował Carla, część mężczyzn zaczęła się wymykać na dół. Maddie pobiegła za nimi, nie zważając na histeryczne wołanie matki i głos wzywającej ją po imieniu Joan. Później postara się spacyfikować mamę, a Joan po prostu była o nią niespokojna.

Dotarłszy do foyer, zobaczyła w oddali, że dwóch klubowych ochroniarzy trzyma Dylana za ręce, nie pozwalając mu zbliżyć się do wody. Wzruszenie ścisnęło jej gardło. Och, Dylan! Dylan! Na drżących nogach wybiegła na zewnątrz i okrążywszy podjazd, podążyła w kierunku sporej grupy ludzi, częściowo członków klubu, a częściowo jego pracowników, którzy tłoczyli się wokół stawu.

- Puście mnie! - Dylan próbował uwolnić się z rąk ochroniarzy. - To mój ojciec. Proszę was, na litość boską, pozwólcie mi go zobaczyć!

- Bardzo mi przykro, proszę pana - perswadował mu Curt Dodd, jeden z ochroniarzy - ale kazano nam pilnować, żeby nikt nie zbliżał się do miejsca zbrodni.

Maddie podbiegła do nich.

- Proszę cię, Curt, zostaw pana Bridgesa. Jest wstrząśnięty śmiercią ojca. Możesz sobie wyobrazić, co musi przeżywać.

- Czy przyrzeka pan zachować spokój? - spytał Curt.

Dylan skinął głową i ochroniarze puścili go. Kiedy Maddie podeszła i delikatnie położyła mu rękę na ramieniu, gwałtownie odwrócił głowę. Oczy miał pełne łez.

- Maddie, to on - powiedział. - Mój ojciec leży martwy w stawie, a ci ludzie nie pozwalają mi się do niego zbliżyć.

Maddie dopiero teraz odważyła się popatrzeć na staw. Twarz jej się skurczyła, gdy ujrzała ciało sędziego Bridgesa unoszące się twarzą ku niebu na powierzchni wody. Miał na sobie sportowe spodnie i sportową koszulę z krótkim rękawem, kiedyś zapewne granatową, którą krew zabarwiła ciemną czerwienią. Cała górna część ciała nosiła ślady krwi, zdradzając, którędy uszło zeń życie.

Kto to mógł zrobić? Pomyślała równocześnie, że słowa Dylana zabrzmiały jak skarga małego chłopca i serce wezbrało jej współczuciem. Chciała go objąć i utulić w ramionach. Nim jednak zdążyła posłuchać odruchu serca, przystąpił do nich Hart O'Brien, który stanąwszy nad basenem, oglądał miejsce zbrodni.

- Komendant jest już w drodze - ogłosił. - Muszę państwu oznajmić, że nikomu nie wolno się oddalać, dopóki wszystkie osoby, które spędziły dzisiejszy wieczór w klubie, nie zostaną przesłuchane.

- Powinniście rozpocząć od przesłuchania człowieka, który jest tutaj najbardziej podejrzany - podniesionym głosem oświadczył Harvey Small. - Niech Dylan Bridges wyliczy się kwadrans po kwadransie, co robił w ciągu dzisiejszego wieczoru. Bo że nie było go przez cały czas na przyjęciu, to pewne.

- Harvey, byłbym ci wdzięczny, gdybyś swoje opinie zachował dla siebie - zgromił go Justin Wainwright. - Zapewniam cię, że Hart i ja poradzimy sobie bez twojej pomocy.

- Ja tylko powiedziałem to, co samo się narzuca - obruszył się Harvey. - Wszyscy w Mission Creek i okolicach pamiętają, że Dylan znienawidził ojca, bo sędzia nie ruszył palcem, żeby go uratować od wysłania do zakładu poprawczego. Mógł wrócić do miasta, żeby się

zemścić.

Maddie wysunęła się szybko z grupy, w której stał Dylan, i zdecydowanym krokiem podeszła do Harveya. Z twarzą na pozór łagodną, oświadczyła mu półgłosem: - Powiesz jeszcze jedno słowo przeciw Dylanowi, a osobiście dopilnuję, żebyś wyleciał z posady w klubie. I użyję swoich wpływów, żeby nikt w Teksasie nie przyjął cię do pracy. Czy jasno się wyrażam, panie Small?

Harveyowi drgnęła grdyka. Zmrużył swoje małe ślepka i zacisnął wargi.

- Nie ma pani prawa... Maddie chwyciła go za ramię.

- Lepiej ze mną nie zadzieraj! - syknęła.

Mały człowieczek stęzał. Maddie cofnęła rękę. Harvey zrobił krok do tyłu, ale milczał.

Tymczasem Hart kucnął nad brzegiem stawu, by lepiej przyjrzeć się zwłokom, po czym wyciągnął rękę i dotknął ciała. Wówczas Dylan zrobił krok do przodu, na co Curt Dodd podskoczył, chcąc go powstrzymać, lecz Hart dał ochroniarzowi ręką znać, by zostawił Dylana w spokoju.

- Jest mi niezmiernie przykro - powiedział Hart do Dylana. -

Wygląda na to, że pański ojciec został kilkakrotnie postrzelony w klatkę piersiową. - Potem zwrócił się do Justina, lecz jego głos rozszedł się szeroko w nocnym, wilgotnym powietrzu: - Z powierzchownych oględzin można wnosić, że śmierć nastąpiła stosunkowo niedawno. Stężenie jeszcze nie nastąpiło, a ciało nie jest zimne.

- Słyszę policyjną syrenę - zauważył Justin. - Pewnie to komendant. Jak myślisz, może przed jego pojawieniem się zabiorę ludzi do środka? Ty będziesz miał tutaj pełne ręce roboty. - Dzięki. Doskonała

myśl - powiedział.

- Ale ja stąd nie odejdę. Proszę, żeby pozwolono mi zostać - zaprotestował Dylan.

- W porządku - zgodził się Hart. - Może pan zostać, ale proszę się nie zbliżać do stawu. Czy wie pan o kimś, kto mógłby żywić uraz do pana sędziego?

Dylan bezradnym gestem rozłożył ręce.

- Nic mi o nikim takim nie wiadomo. Nie utrzymywaliśmy z ojcem stosunków od lat. To znaczy, do niedawna.

- A zatem Harvey Small nie minął się z prawdą?

- Jeśli chodzi o moje dawne stosunki z ojcem, to powiedział prawdę - przyznał Dylan. - Ale proszę mi wierzyć, że go nie zabiłem. Nigdy bym tego... - Głos mu się załamał i nie dokończył.

Maddie podbiegła mu na ratunek.

- Kiedy Dylan wyszedł z przyjęcia, byłam z nim - powiedziała, zwracając się do Harta. - Wybraliśmy się na przejażdżkę samochodem. Więc widzisz, że ma alibi... gdyby było mu potrzebne.

- Hm - zafrasował się Hart. Chwilę patrzył w ziemię. - Czy byłaś z panem Bridgesem przez cały czas, kiedy nie było go na przyjęciu?

- Czy ja... tak... - Zawahała się, choć była gotowa skłamać dla jego dobra.

- Nie, proszę pana, nie przez cały czas - wtrącił Dylan. - Przez mniej więcej kwadrans byłem sam. - Jego i Maddie spojrzenia spotkały się. W oczach Dylana wyczytała głęboki smutek. - Po tym, jak Maddie... przepraszam, pani Delarue i ja wróciliśmy z przejażdżki, spacerowałem sam przez kilkanaście minut po terenie klubu, a dopiero potem wróciłem

na przyjęcie.

- Czy podczas spaceru ktoś pana widział?
- O ile wiem, to nikt.

Rdzawoczerwony Chevrolet blazer zatrzymał się z piskiem opon na podjeździe. Z auta wyskoczył komendant miejscowej policji Burl Terry i rzucił się biegiem w kierunku stawu, za nim zaś, niby posłuszne psiaki, podążyli biegiem dwaj funkcjonariusze niższej rangi. Parę miesięcy wcześniej wśród policji w Mission Creek dokonano licznych aresztowań i miejsce zastrzelonego, skorumpowanego komendanta Bena Stone'a zajął właśnie Burl Terry.

Zaczął on niezwłocznie okrążyć staw, wykrzykując polecenia, a policyjny fotograf pstrykał jedno zdjęcie za drugim. Kiedy po paru minutach przyjechał ambulans, Hart powiedział do Maddie:

- Powinnaś chyba zabrać pana Bridgesa na górę i napić go kawą. Dylan jednak zaproponował.

- Muszę się dowiedzieć, kto zamordował mojego ojca.

- Nam też na tym zależy - odparł Hart. - Po zakończeniu oględzin na miejscu zbrodni komendant z pewnością będzie chciał, żebyśmy razem pojechali do komisariatu. Trzeba będzie zadać panu kilka pytań. Może pan wiedzieć o czymś, co mogłoby pomóc w śledztwie.

Dylan wzruszył ramionami. - Nie musi pan zaznaczać, że nie wolno mi opuszczać miasta. Nie ruszę się stąd, dopóki zabójca mojego ojca nie zostanie wykryty i postawiony przed sądem. - Dylan uwolnił się od Maddie, która trzymała go pod ramię. - Jestem ci wdzięczny za pomoc i życzliwość, ale nie powinnaś się zadawać z kimś takim jak ja. Jeden raz wystarczy. Czy to nie ironia losu, że każde nasze spotkanie kończy się

przesłuchaniem?

- Nie mów tak, ja...

- Uciekaj, kochanie. Uciekaj jak najdalej ode mnie, póki jeszcze możesz, zanim znowu cię wplączę w jakąś okropną historię.

Maddie stała bezradnie, nie wiedząc, co mówić i jak reagować, ale kiedy usłyszała wołanie matki, poszła w jej kierunku. Jeżeli nic nie może w tej chwili dla Dylana zrobić, to przynajmniej oszczędzi mu wysłuchiwania histerycznych wynurzeń Nadine. Podziękowawszy wzrokiem Joan O'Brien, która towarzyszyła Nadine, nie pozwalając jej zbliżyć się do stawu, Maddie stawiała czoło matczynemu oburzeniu.

- Co ci przyszło do głowy, żeby bronić tego łobuza? - napadła na nią Nadine. - Tym razem to już nie było kradzież samochodu. Zamordował własnego ojca.

- Uspokój się, mamó. Nie wiemy, kto zabił sędziego Bridgesa, ale Dylan na pewno nie jest zabójcą. - Po czym, biorąc matkę za rękę, dodała ściszym głosem: - Więc bądź łaskawa nie powtarzać tych idiotycznych oskarżeń!

- Idiotyczne oskarżenia! Też coś! - parsknęła Nadine. - Już miałam nadzieję, że zdążyłaś lepiej poznać mężczyzn. A tymczasem widzę, że jesteś tak samo naiwna jak wtedy, kiedy po raz pierwszy zawrócił ci w głowie.

- Musimy tu jeszcze zostać, ale kiedy tylko Hart da nam znać, że nie jesteśmy dłużej potrzebne, odwiozę cię do domu - oznajmiła Maddie. - Rozumiem, to było dla wszystkich bardzo ciężkie przeżycie, ale nie wolno się...

- O mój Boże! - wykrzyknęła Nadine, która stała zwrócona twarzą

do stawu.

- Co? Co takiego? - zaniepokoiła się Maddie, a obejrzawszy się, zobaczyła sanitariuszy dopinających plastikowy worek ze zwłokami sędziego.

Dylan stał obok w towarzystwie Justina Wainwrighta, który coś do niego mówił, trzymając mu rękę na ramieniu. Maddie dobrze знаła Justina, była więc pewna, iż cokolwiek miał Dylanowi do zakomunikowania, zrobił to delikatnie i życzliwie.

Upłynęło jeszcze pół godziny, nim Dylan odjechał własnym samochodem spod klubu, a zaraz potem Hart zbliżył się do oczekujących w foyer Maddie i Joan, które wspólnymi siłami uspokajały rozhisteryzowaną Nadine.

- Maddie, czy będziesz tak miła i odwieziesz Joan do domu? - zapytał Hart. - Ja muszę natychmiast udać się do miasta na posterunek.

- Oczywiście - odparła. Złożyła ręce proszącym gestem i powiedziała: - Posłuchaj, Hart. Może Dylan Bridges był kiedyś najbardziej zbuntowanym łobuziakiem w Mission Creek, ale wierz mi, że nigdy, ani wtedy, ani teraz, nie byłby zdolny posunąć się do zbrodni. Przyjechał do domu pogodzić się z ojcem i naprawić ich stosunki. Zastanawiał się nawet, czy nie wrócić na stałe do Mission Creek.

- Ciekawe, skąd tak dobrze znasz jego plany? - oburzyła się Nadine.

Maddie pominęła jej słowa milczeniem.

- Proszę cię, Hart, zrób to dla mnie i postaraj się, żeby podczas przesłuchania okazywano mu jakie takie względy. Nie zapominajcie, że ofiarą zabójstwa padł jego ojciec.

- Bądź spokojna. - Hart poklepał ją po rękę. - O ile nie znajdą się przeciw niemu dowody, jest wolny. A jak dotąd wydaje się, że jest czysty.

- To się jeszcze okaże - mruknęła Nadine. - To on zabił sędziego.

Wspomnicie moje słowa!

- Przestań, mamó! - Maddie obróciła się ku matce z zaciśniętymi rękami. Opanowała się jednak, wzięła głęboki oddech i policzyła w duchu do dziesięciu.

- Nie ma co zwlekać. Możecie jechać do domu - wtrącił Hart.

Całując żonę w policzek, dodał:

- Nie czekaj na mnie. Pewnie zostanę na posterunku do rana.

W drodze na parking, gdzie stał jej mercedes, Maddie odmówiła w duchu cichą modlitwę za Dylana.

- Czy powinienem wezwać mojego adwokata? - zapytał Dylan, zwracając się do komendanta Terry'ego.

- Nie jest pan o nic oskarżony - zapewnił go komendant. - Na obecnym etapie śledztwa nie jest pan nawet podejrzanym. Ponieważ jednak wiele osób jest zdania, że mógł pan mieć motyw do popełnienia czynu, uznałem za wskazane poprosić pana o wyjaśnienie pewnych kwestii.

- Jakich, jeśli wolno zapytać?

- W głównej mierze dotyczących pana osobistych stosunków z ojcem.

Będzie pan łaskaw udać się z sierżantem White'em i odpowiedzieć na jego pytania.

- Oczywiście.

Dylan podążył korytarzem za wysokim, barczystym policjantem, który wprowadził go do swego gabinetu.

- Proszę usiąść - powiedział sierżant White. Dylan zajął wskazane mu miejsce.

- Jestem sierżantem i nazywam się Jake White - przedstawił się policjant. - Proszę przyjąć moje kondolencje z powodu śmierci ojca. Sędzia Bridges cieszył się powszechną sympatią i szacunkiem.

- Dziękuję za te słowa. Mój ojciec był rzeczywiście bardzo przyzwoitym człowiekiem.

- Postaram się nie trzymać pana zbyt długo. Są jednak pewne sprawy, które musimy wyjaśnić.

Jake White siedział za stołem naprzeciw Dylana.

- Proszę opowiedzieć, jak układały się stosunki między panem i jego ojcem.

Boże, dopomóż mi, westchnął Dylan w głębi ducha. To najstraszniejszy koszmar, jaki kiedykolwiek przeżyłem. Nieporównanie gorszy niż przyłapanie na kradzieży samochodu Flynta, a nawet niż dwuletni pobyt w zakładzie dla nieletnich. Ojciec nie żyje? Jak to możliwe? Kto u diabła mógł mieć powód, żeby zamordować człowieka tak porządnego jak jego ojciec? Dylan tylko częściowo zdawał sobie sprawę z realności tego, co wydarzyło się dziś późnym wieczorem. Jego umysł przyjął do wiadomości fakty. Ktoś strzelał do ojca i zabił go. Dylan widział zwłoki ojca unoszące się na wodzie w stawie przed klubem. Na jego oczach sanitariusze wyłowili ciało i zapakowane w czarny worek zabrali do ambulansu. Aby odwieźć je do kostnicy.

Niby wszystko to wiedział, ale serce Dylana wciąż nie mogło się pogodzić z tym, co widział na własne oczy.

Śmierć ojca wydawała mu się czymś niemożliwym. Miałby zginać

właśnie teraz, kiedy po tylu latach rozłąki nareszcie się odnaleźli? I dano im raptem cztery cholerne dni, by się sobą nacieszyć? To niesprawiedliwe, że ich spotkanie po tylu latach zakończyło się natychmiastowym rozstaniem. Które tym razem było nieodwracalne.

- Czy rozumiał pan moje pytanie? - usłyszał głos Jake'a White'a.

Dylan skinął głową na znak, że rozumie. Mocno zacisnął szczęki, starając się opanować miotające nim emocje. Potem nabrał powietrza w płuca i powoli je wypuścił.

- Przez siedemnaście lat nie widywałem ojca i nie utrzymywaliśmy ze sobą żadnych stosunków. Nawiązaliśmy je dopiero cztery dni temu. Poróżniliśmy się, kiedy miałem szesnaście lat. Odsiedziałem dwa lata w zakładzie dla nieletnich w Amarillo za kradzież samochodu. Wyszedłem z zakładu, mając osiemnaście lat, ale nie wróciłem do Mission Creek. Zrobiłem to dopiero w tym tygodniu.

- Mówi pan, że nie kontaktował się z sędzią Bridgesem przez wszystkie te lata?

- Nie - przyznał Dylan. - Ojciec był człowiekiem dumnym, któremu przyznanie się do popełnienia błędu z trudem przechodziło przez gardło. Pod tym względem wrodziłem się w niego. Jestem tak samo dumny i uparty jak on.

- Co zatem skłoniło pana do przyjazdu do Mission Creek?

- Jakies dziesięć dni temu ojciec zadzwonił do mnie. Odnalazł mnie za pośrednictwem wynajętego detektywa. Zapytał, czy byłbym skłonny go odwiedzić. Przyjechałem, bo chciałem dać mu... dać nam obu szansę nawiązania normalnych stosunków.

Drzwi gabinetu otworzyły się i do środka wszedł Hart O'Brien,

niosąc dwa kubki kawy.

- Skończyliście? - spytał, spoglądając na kolegę.
- Niezupełnie.

Hart postawił przed Dylanem kubek czarnej kawy.

- To wielka tragedia - powiedział. - Sędzia Bridges był człowiekiem zasługującym na najwyższy szacunek.

Wyczuwając w tonie Harta cień sympatii, Dylan rzekł do niego:

- Ja go nie zabiłem. Mimo niesnasek, które nas kiedyś poróżniły, nie miałem po temu najmniejszego powodu. Przyjechałem wyłącznie po to, żeby odnowić z nim kontakt i naprawić wzajemne stosunki. - Wierzę panu - odrzekł Hart. - Niemniej muszę pana prosić o pozostanie w mieście. Przynajmniej na razie.

Dylan przytaknął skinieniem głowy. Upił łyk kawy.

- Jak już panu mówiłem, nie zamierzam nigdzie wyjeżdżać, dopóki morderca ojca nie zostanie odnaleziony i postawiony przed sądem. I mogę panu, inspektorze, obiecać jeszcze jedno. Jeżeli policja w Mission Creek nie zdoła zdemaskować zbrodniarza, sam się tym zajmę.

Maddie zaniknęła za sobą drzwi mieszkania i weszła do salonu. Po odstawieniu Joan O'Brien do jej domu, odwiozła matkę i oddawszy ją pod troskliwą opiekę wiernej Ernesty, pospiesznie się wycofała. Bała się, że jeżeli będzie dłużej zmuszona wysłuchiwać matczynych połajanek z powodu jej skandalicznej komitywy z tym „nicponiem Dylanem”, w końcu nie wytrzyma i wyładuje na matce całą swoją gorycz.

Boże, co za potworny wieczór! Jej nerwy były w strzępach, ręce się jej trzęsły, miała skurcze żołądka i w ogóle czuła się tak, jakby łąda chwila miała dostać ataku hysterii. Musi wziąć się w garść! Maddie

Delarue nigdy się nie załamuje; potrafi sobie poradzić z każdą przeciwnością losu.

Rozpiąwszy suwak sukienki, ruszyła na piętro, odtwarzając w pamięci wydarzenia minionego wieczoru: od momentu, gdy na podjeździe klubu mignął jej przystojny nieznajomy wysiadający z eleganckiego czarnego porsche aż do chwili, gdy Dylan Bridges z tego samego miejsca odjechał tym samym porsche na posterunek.

Zapaliła górne światło w swej ogromnej, luksusowej sypialni, jakby wprost wyjętej ze stron czasopisma „Wytworny Dom”. Był to pokój, jaki mógł stworzyć tylko jeden z najbardziej wziętych dekoratorów wnętrz z San Antonio, dysponujący nieograniczonym budżetem.

Maddie najpierw zsunęła z nóg czarne pantofelki na bardzo wysokim obcasie, a następnie zdjęła atlasową, uszytą specjalnie dla niej suknię. Niosąc w rękach pantofle i suknię, poszła w samej bieliźnie do garderoby, gdzie starannie odstawiła pantofle na miejsce, a suknię powiesiła na watowanym wieszaku. Następnie wystukała na mieszczącej się obok wielkiego lustra tablicy tajny szyfr podręcznego sejf. Lustro było umocowane na drzwiach w głębi garderoby, które po otwarciu odsłaniały ukryty w ścianie schowek. Maddie zdjęła kolczyki oraz bransoletki i umieściła je w wymoszczonych aksamitem przegródkach wewnątrz sejf, a na koniec zamknęła drzwi sejf, a potem drzwi z lustrem, po czym opadła wyczerpana na stojącą pośrodku ubieralni szeroką, beżową otomanę.

Rząd ukrytych za głębokim gzymsem lamp oświetlał wysoki, sklepiiony sufit. Maddie wpatrzyła się weń niewidzącym wzrokiem, rozpamiętując swoje dzisiejsze spotkanie z Dylanem.

Powinna raz na zawsze wyrzucić go z pamięci. Mama ma sporo racji, uważając, że Dylan przynosi jej wyłącznie pecha. Tak było wtedy, i to samo powtórzyło się dzisiaj. A ona w niczym nie może mu pomóc. Nie potrafi jego ojcu przywrócić życia. Ani rozwiązać osaczających go podejrzeń. Może się jedynie modlić, by los okazał się dla niego łaskawy.

Po chwili wstała z otomany i Zdjąwszy bieliznę, wyciągnęła z szuflady komody batystową nocną koszulę na cienkich ramiączkach, ozdobioną na piersi delikatną koronką. Potem udała się do przestronnej łazienki, by odbyć wieczorne zabiegi, zakończone starannym płukaniem i czyszczeniem zębów.

Jednakże jej myśli przez cały czas krążyły wokół Dylana. Czy wciąż trzymają go na posterunku? Jak długo zamierzają go przesłuchiwać? Czy nie mogą zostawić go w spokoju? Nieszczęśnika, który w tragicznych okolicznościach stracił ojca?

Przypomniały jej się wydarzenia związane ze zgonem jej własnego ojca, który kilka lat temu zmarł nagle na atak serca. Czy Dylan przeżywa to samo, co ona wtedy przeżywała? Utrata rodziców jest z pewnością jednym z najtrudniejszych momentów w życiu każdego człowieka. A dla Dylana musi to być moment szczególnie tragiczny, ponieważ przez tyle lat nie utrzymywał kontaktu z ojcem. I nigdy już utraconych lat nie odzyska. Jak to dobrze, że ona zdążyła się pogodzić ze swoim ojcem na długo przed jego śmiercią!

Zebrała z łóżka naręcze ozdobnych poduszek i rzuciła je na stojący obok, obity adamaszkiem wypoczynkowy fotel. Następnie odwinęła puchową kołdrę koloru lawendy, spod której wyłoniła się wytworna pościel barwy starego złota. Łoże z baldachimem, wspartym na czterech

smukłych, misternie rzeźbionych kolumnkach, stanowiło główny akcent jej skądinąd skromnie umeblowanej sypialni. Ułożywszy się w łóżku, nacisnęła przycisk gaszący wszystkie światła i przymknęła oczy. Lecz w jej głowie wciąż kłębiły się niespokojne myśli.

Jutro rano powinna do niego zadzwonić. Złoży mu wyrazy współczucia i zaoferuje pomoc w organizacji pogrzebu. Kiedy zmarł jej ojciec, wszystkie sprawy związane z pochówkiem spadły wyłącznie na jej głowę. Miała wprowadzić na swoje usługi iluś tam prawników i wspólników ojca, gotowych na pierwsze zawołanie spełnić każde jej życzenie, lecz była pozbawiona jakiegokolwiek duchowego wsparcia.

Matka tak się przejęła śmiercią byłego męża, że lekarze przez wiele dni musieli jej aplikować środki uspakajające. Podczas nabożeństwa siedziała w kościele w stanie otepienia. Zaś macocha Maddie popadła w taką rozpacz, iż wszystkie praktyczne sprawy z ochotą scedowała na pasierbicę.

Maddie raz po raz przewracała się na łóżku, usiłując zasnąć. Sen jednak nie przychodził. Poprawiała poduszki, kładła się na lewym, to znów prawym boku, ale nic nie pomagało. Spróbuj liczyć barany! Staraj się o niczym nie myśleć! Akurat!

Mijały bezsenne minuty, kwadransy, potem godziny. Maddie zwinęła się w kłębek, tuląc do łona wielką poduszkę. Ani na chwilę nie opuszczała ją myśl o Dylanie. Nagle wyprostowała się i usiadła, zerkając na stojący na nocnym stoliku zegar świetlny. Wpół do trzeciej nad ranem! Do diabła z godziną! Wstań i zrób to, co dyktuje ci serce! Zapaliwszy boczną lampkę, zerwała się z łóżka i pobiegła do garderoby. W najwyższym pośpiechu, jakby się paliło, wciągnęła dzinsy, żółtą bluzkę i

skórzane mokasyny.

Po dziesięciu minutach jechała samochodem przez uśpione Mission Creek, typowo południowo-zachodnie, historyczne miasto średniej wielkości. Minęła bank, pocztę, bibliotekę, gmach sądu. Tu zwolniła, by po chwili skręcić w Royal Avenue, szukając numeru tysiąc dziesięć. Oto on! Otoczony stuletnimi drzewami ładny stylowy dom z lat dwudziestych ubiegłego wieku, otoczony białym parkanem. Maddie zaparkowała samochód za czarnym porsche i już po chwili wchodziła na schody prowadzące do drzwi wejściowych.

Niech mu się nie wydaje, że pozwolę odesłać się do domu, powiedziała do siebie, energicznym ruchem naciskając guzik dzwonka.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dylan przystanął na podeście schodów, zachodząc w głowę, kto u licha ośmiela się dzwonić o tej porze do drzwi. Z posterunku policji, który opuścił niecałe pół godziny temu, wrócił prosto do domu. Do domu? Dziwne, jak łatwo po tylu latach poczuł się w domu ojca jak u siebie. Może powrócił do stanu dzieciństwa, by tak jak niegdyś, w czterech ścianach rodzinnego domu odzyskać poczucie bezpieczeństwa i znaleźć oparcie przeciwko światu, który nieoczekiwanie stanął na głowie.

Schodząc po schodach, wsuwał na powrót w spodnie poły smokingowej koszuli. Nieoczekiwany gość ma nader dziwne poczucie czasu. A może prowadzący śledztwo inspektor doszedł do wniosku, że dysponuje wystarczającymi poszlakami i kazał go aresztować?

Przez cienką firankę na szybie wejściowych drzwi ujrzał zarys

postaci. Była to niewątpliwie postać kobieca. Dylanowi ścisnął się żołądek. Czy możliwe, żeby to była ona? Czy naprawdę Maddie zdecydowała się złożyć mu wizytę o - Dylan zerknął na zegarek - trzeciej nad ranem?

Otworzył drzwi. Maddie obdarzyła go pełnym troski spojrzeniem. Miał wrażenie, że w jej oczach czai się cień prośby.

- Czy mogę wejść? - zapytała.

Odstąpił w bok, ruchem ręki zapraszając ją do holu. Maddie przestąpiła próg i zatrzymała się, czekając, aż zamknie drzwi.

- Nie ma co, nocny marek z ciebie - zauważył Dylan.

- Pomyślałam sobie, że nie powinieneś być sam - powiedziała. -

Wiem z doświadczenia, że w takiej sytuacji dobrze jest mieć przy sobie przyjazną duszę.

- Jestem przyzwyczajony do samotności - odparł. - Zawsze miałem naturę samotnika. Od najwcześniejszych lat. Powinnaś o tym pamiętać.

Maddie pokiwała głową.

- Nawet samotnikowi przydaje się czasem przyjaciel.

- I po to przyszedłeś? Żeby zaoferować mi swoją przyjaźń?

- Przyjaźń, wyrazy współczucia, herbatę, życzliwość.

Czegokolwiek ci trzeba.

- W tej chwili najbardziej potrzebuję drinka. - Wskazał jej gestem drogę do kuchni. - Przyłączysz się? Tata miał gdzieś schowaną butelkę whisky dla gości. Chyba w kredensie, jeśli dobrze pamiętam. Sam prawie nie pił. Powiedzenie „trzeźwy jak sędzia” pasowało do niego jak ulał. - Przy ostatnich słowach ze wzruszenia załamał mu się głos.

Wyciągnęła do niego rękę, lecz Dylan szybko odsunął się na

bezpieczną odległość i ruszył do kuchni. Podążyła za nim. Nie zwracając na nią uwagi, zabrał się do przeszukiwania kredensu. Znalazł na koniec ledwie napoczętą butelkę Crown Royal, która zapewne liczyła sobie ładnych parę lat. Ojciec używał whisky głównie w celach leczniczych, na przykład na rozgrzewkę w zimny dzień, w odpowiednio małych dawkach. Wyjąwszy z kredensu dwie małe szklanki, Dylan przypomniał sobie o Maddie.

- Siądź, proszę. - Wskazał jej miejsce przy stole. Kiedy usiadła, zajął miejsce po przeciwnej stronie

stołu, otworzył butelkę i napełnił swoją szklankę.

- Wypijesz ze mną? - zapytał.

- Nie, dziękuję.

Odstawił butelkę, lecz zostawił ją otwartą. Podnosząc szklankę do ust, przyjrzał się Maddie. Byle jak ubrana, nie umalowana, z włosami w nieładzie, była piękna jak obrazek. I pomimo swoich trzydziestu trzech lat miała nieskazitelnie gładką twarz młodej dziewczyny.

- Czy mama wie, gdzie się podziewasz? - spytał, połykając solidny haust whisky. Alkohol sparzył mu gardło i przełyk, spływając do żołądka.

- Widzę, że bierzesz mnie wciąż za szesnastolatkę - odparła z lekkim uśmiechem. - A ja tymczasem już od dawno przestałam opowiadać się mamie.

- Aha! Samodzielna i niezależna. Ale pewnie nie jest ci obojętne, co ludzie by sobie pomyśleli, gdyby się dowiedzieli, że sprzyjasz takiemu notorycznemu łajdakowi jak ja?

- Jak przebiegło przesłuchanie? Dylan wypił następny łyk.

- Co cię to obchodzi?

- Rzeczywiście, co mnie to obchodzi? - powtórzyła. - Doprawdy, nie wiem. - Wstała i rozejrzała się po kuchni. - Co byś powiedział, gdybym zaparzyła kawę, zrobiła grzanki i usmażyła jajecznicę? Moglibyśmy zjeść wczesne śniadanie.

Roześmiał się. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Przepraszam, nie z ciebie się śmieję. Po prostu przypomniałaś mi matkę, która też uważała jedzenie za najlepsze lekarstwo na wszystkie kłopoty. Cukierek na złagodzenie bólu rozbitego kolana. Ulubiona potrawa ojca na kolację po szczególnie ciężkim dniu w sądzie. Powiedz mi, czy córki uczą się od matek, żeby przez żołądek niosły dzieciom i mężom pociechę?

- Nie mam zielonego pojęcia. Moja matka nigdy w życiu nie ugotowała nawet jajka.

- A ty umiesz gotować? - spytał z zaczepną miną.

- Gdzie najbogatsza panna w Teksasie nauczyła się smażyć jajecznicę?

- Na to, żeby usmażyć jajecznicę, nie trzeba być kucharką - odparła z uśmiechem. Okrążyła stół i podchodząc do Dylana, zaproponowała: - Ja zrobię śniadanie, a ty pozmywasz naczynia. - Wyciągnęła rękę.

- Umowa stoi?

Podniósł się z krzesła.

- Umowa stoi - powtórzył, ściskając jej dłoń. Kto by pomyślał, iż Maddie Delarue zjawi się w jego kuchni o trzeciej nad ranem, by zrobić mu śniadanie?

Stali naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy. Boże, jak to możliwe, że po wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło, ma tylko jedno w głowie:

chwycić ją w ramiona i nigdy nie wypuścić! Nie zdawał sobie sprawy, jak mocno ściska jej dłoń, dopóki nie spróbowała się uwolnić. Momentalnie zwolnił uścisk. Ręka Maddie była wyraźnie zaczerwieniona.

- Najmocniej przepraszam. Nie miałem pojęcia...

- Nic się nie stało. - Maddie pomachała zwisającą bezwładnie dłonią. - Czuć powoli wraca - zażartowała i ruszyła w stronę lodówki. - Bądź tak łaskaw i znajdź mi miskę do mieszania jaj. A potem mógłbyś nastawić kawę.

- Już się zaczyna rządzić! - mruknął, kręcąc nosem z udanym niezadowoleniem.

Wyjęła z lodówki karton z jajami, mleko i masło.

- Mów do mnie! - rzekła, układając produkty na stole. - Wyrzuć z siebie wszystko, co ci leży na sercu. Nie dław w sobie uczuć, bo one cię zadławiają. Wierz mi, wiem, jak to jest. - Podał jej kuchenną miskę. - Po śmierci ojca udawałam dzielną. Musiałam nie tylko sama zająć się pogrzebem, ale na dodatek zaopiekować się matką, a także macochą. Wszystko to wykonałam, ale w trzy tygodnie po pogrzebie kompletnie się załamalam. Gdyby nie Joan, ta sama Joan O'Brien, którą przedstawiłam ci dziś na przyjęciu, otóż gdyby nie ona, nie wiem, co by ze mną było.

Co ona sobie wyobraża? Że będzie się wypłakiwał na jej ramieniu? Że potrzebuje kogoś, kto głaskałby go po głowie i trzymał za rękę? Bo jeżeli tak, to znaczy, że nie ma pojęcia, z kim ma do czynienia. On nie potrzebuje niczyjej pomocy ani współczucia. Przez siedemnaście lat sam dawał sobie radę i dobrze na tym wyszedł. Wykona wszystko, co do niego należy - zajmie się pogrzebem, uporządkuje ojca sprawy, dopilnuje, by jego morderca został ujęty i osądzony, a potem wróci do Dallas, gdzie

ułożył sobie życie.

- Posłuchaj mnie, Maddie. Doceniam twoją troskę i życzliwość, lecz nie potrzebuję, żebyś dbała o moje odżywianie się, trzymała mnie za rękę i wysłuchiwała moich zwierzeń.

Maddie rozbiła cztery jaja, wlała parę kropli mleka i zaczęła wszystko razem metodycznie ubijać na jednolitą, puszystą masę. W tym samym czasie rzuciła mu przez ramię:

- Mógłbyś nastawić kawę? I podaj mi parę kromek chleba, to włożę je do tosterka. - Z półki zdjęła patelnię, położyła na niej spory kawałek masła i postawiła patelnię na palniku. - No więc czy dowiem się, czego chcieli od ciebie na policji?

Dylan rzucił jej gniewne spojrzenie. Czy ta kobieta jest głucha? Nie słyszała, co powiedział? Dał jej przecież wyraźnie do zrozumienia, że nie jest mu do niczego potrzebna i nie chce jej widzieć. No, niezupełnie. Może nie jest mu potrzebna, ale na pewno nie chce się jej pozbyć. Wręcz przeciwnie. Co nie znaczy, że może na niej polegać. Może polegać wyłącznie na sobie. Jeżeli czegoś się w życiu nauczył, to przede wszystkim tego, że trzeba sobie radzić samodzielnie.

- Zastanawiasz się, dlaczego nie zamknęli mnie w areszcie? - spytał z odcieniem sarkazmu w głosie. Maddie najspokojniej w świecie wylała rozbite jaja na patelnię.

- Dlaczego mieliby cię aresztować, skoro nie mają przeciwko tobie dowodów? - zapytała rzeczowo.

Dylan otworzył puszkę z kawą, wsypał dwie pełne łyżki do filtra, nalał wody i włączył maszynkę.

- Nie mają najmniejszej poszlaki, kto mógł popełnić morderstwo.

Jestem jedyną osobą, co do której istnieje podejrzenie, że miała z sędzią na pieńku, wobec czego śledztwo zapewne skoncentruje się na mnie. Wścieka mnie, że będą tracić czas, zamiast zająć się poszukiwaniem prawdziwego mordercy.

Dylan rozpakował chleb i podał Maddie pokrojone kromki, ona zaś zmniejszyła gaz pod patelnią i włożyła chleb do opiekacza.

- Czy przychodzi ci do głowy, kto mógłby się tego dopuścić? - zapytała. - Czy w trakcie waszych rozmów sędzia Bridges nie wymienił kogoś, kto żywił wobec niego wrogie zamiary?

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Dylan. - Chcesz się zabawić w prywatnego detektywa?

- Tak po prostu głośno myślę.

- Spędziłem z tatą tylko cztery dni, więc niewiele wiem o tym, co się z nim działo przed te wszystkie lata, niemniej zauważyłem, że coś go dręczy. Brał nieustannie leki na nadkwasotę, a każdy telefon wprawiał go w zdenerwowanie.

- Nie pytałeś...

- Oczywiście, że pytałem, i to wielokrotnie, ale za każdym razem zbywał mnie byle czym. Teraz zaczynam podejrzewać, że nie pojechał ze mną do klubu wcale nie z powodu złego samopoczucia, ale z jakiejś innej przyczyny.

- Na przykład jakiej? - Maddie wyjęła z opiekacza gotowe grzanki, posmarowała je masłem, zdjęła patelnię z gazu i jęła wykladać jajecznicę na talerze. - Sędzia był powszechnie znany z kryształowej uczciwości, więc o tym, aby był uwikłany w jakieś nielegalne machinacje, nie może być mowy. Masz inne pomysły?

- Mógł się dowiedzieć o jakiejś aferze, którą zamierzał ujawnić.

Winowajca kazał go zamordować, żeby temu zapobiec.

Maddie postawiła talerze z jajecznicą na stole.

- To brzmi prawdopodobnie. Policja na pewno weźmie pod lupę wszystkie sprawy, jakie aktualnie prowadzi.

Dylan napełnił kubki kawą i postawił je obok talerzy.

- Jeżeli serio zabiorą się do rzeczy, wezmą pod uwagę wszystkie ewentualności. - Przysunął sobie krzesło, usiadł przy stole i nachylił się nad talerzem. - Pachnie smakowicie! - pochwalił. - Więc jednak umiesz gotować.

- Przecież mówiłam. - Maddie zajęła miejsce przy stole. - Jakie jeszcze inne ewentualności przychodzą ci do głowy?

- Ktoś mógł ojca szantażować. Albo był w posiadaniu informacji, na której zdobyciu komuś bardzo zależało. A może skazany przez ojca kryminalista wyszedł z więzienia i poprzysiągł mu zemstę? Kiedy się zastanowić, przy jego zawodzie ilość możliwości jest praktycznie nieograniczona.

- Nie wiem, czy słyszałeś o głośnej sprawie sprzed kilku lat, w której twój ojciec wystąpił w charakterze obrońcy? - zagadnęła Maddie, sięgając po kubek z kawą.

- Nie wydaje mi się. Jeśli sprawa nie trafiła na łamy gazet w Dallas, nie miałbym skąd się dowiedzieć. O kogo chodziło?

- O Haley Mercado, która utonąła w czasie wyprawy jachtem - wyjaśniła Maddie, wyjadając z talerza resztki jajecznicy.

- Mercado? Czytałem gdzieś o Rickym Mercado, podejrzanym facecie z mafijnymi powiązaniem.

- Haley była młodszą siostrą Ricky'ego. W trakcie hucznej zabawy w towarzystwie paru zuchów z piechoty morskiej wypadła za burtę i utonęła. Ciało wyłowiono, zostało zidentyfikowane, a o spowodowanie śmierci rodzina dziewczyny oskarżyła Luke'a Callaghana, Flynta Carsona, Spence'a Harrisona i Tylera Murdocha.'

- No, no! Sami synkowie zamożnych i wpływowych rodzin!

- Ich obrony podjął się twój ojciec i wszyscy zostali uniewinnieni.

Mówiło się wtedy, że rodzina Mercadów, a zwłaszcza narzeczoną Haley, głośno wyrażali swoje niezadowolenie.

- Ale mówisz, że to było ładnych parę lat temu, czy tak?

Maddie przytaknęła.

- Gdyby chcieli się zemścić, nie czekaliby tyle lat. - Dylan podrapał się w głowę. - Czuję się jak bydlę. Mordują mi ojca, prawie na moich oczach, a ja nie mam pojęcia, kto mógł to zrobić, bo nie znam podstawowych faktów z jego życia!

- Nie trać czasu na rozpamiętywanie tego, co się nie odwróci.

Najważniejsze, że zdążyliście się pogodzić i spędziłeś z ojcem ostatnie dni.

- Marne cztery dni! - Dylan gwałtownie odsunął się od stołu, wstał i podszedł do drzwi. - Gdybym parę lat, ba! parę miesięcy wcześniej schował dumę do kieszeni i przyjechał, może potrafiłbym go uratować. Może ojciec w końcu by mi zaufał na tyle, żeby zwierzyć się ze swoich kłopotów!

Maddie też się podniosła, obeszła stół i stanęła za plecami Dylana, który wyglądał przez szybę kuchennych drzwi na ogród.

- Pewnie zamierzał zwierzyć ci się ze swoich obaw, tylko zwlekał z

tym, nie chcąc psuć waszych pierwszych wspólnych dni.

Dylan otworzył drzwi i wyszedł na tylną werandę. Z mroku dobywał się cichy szept pory tuż przed brzaskiem. Maddie też wyszła i stanęła obok, ujmując jego rękę. Długo tak stali, nic nie mówiąc, nieruchomo wpatrzeni w niebo.

- Jeżeli masz choć trochę rozumu, trzymaj się ode mnie z daleka - odezwał się Dylan. W jego spokojnym na pozór głosie tajało się rozgoryczenie. - Nie umiem utrzymywać więzi z ludźmi, ani nawet przyjaźni. Każdego, kto jest mi bliski, prędzej czy później spotyka nieszczęście.

- Mogłabym to samo powiedzieć o sobie. Ja też nie potrafiłam z nikim się związać - odparła Maddie.

- Nie możesz być teraz sam. Najbliższe dni będą trudniejsze, niż ci się wydaje. Mam na myśli nie tylko przygotowania do pogrzebu i sam pogrzeb, ale i konieczność rozmawiania z ludźmi, którzy będą do ciebie przychodzić z wyrazami współczucia.

- Nie sądzę, żeby obywatele Mission Creek tłumnie składali mi kondolencje. Połowa tych, którzy byli na przyjęciu, jest pewnie przekonana, że to ja go zabiłem.

- Dylan uwolnił rękę z jej dłoni i zszedł do ogrodu.

Co ona tu jeszcze robi? Dlaczego nie zostawi go własnemu losowi, tak jak to zrobiła siedemnaście lat temu, kiedy pierwszy raz napisał im biedy? Po co zadaje się z facetem, który przynosi jej same kłopoty?

Poczuwszy na ramieniu lekki dotyk jej ręki, gwałtownie się obejrzał i wszystko się w nim zagotowało. Do diabła z tym! Czy musi go częstować tym litościwym spojrzeniem, jakby chciała utulić go w

ramionach i ukoić?

Zostaw ją w spokoju! Nie waż się przyjmować tego, co ci ofiarowuje! Nie wolno ci wykorzystać Maddie dla przebrnięcia przez najbliższe dni! Zasłużyła sobie na lepszy los.

Nie był zdolny zapanować nad najprymitywniejszymi odruchami. Brutalnie przyciągnął Maddie do siebie i zaczął ją całować z dzikim zapamiętaniem, które wstrząsnęło nią do samych trzewi. Chciał ją pochłonąć całą, wziąć w siebie, otulić się jej czułością i oddaniem, niczym oddzielającym od okrutnej rzeczywistości kokonem. Maddie zaś poddała mu się bez reszty, gotowa ulec najgwałtowniejszej żądzy. Musi ją mieć. Tu, natychmiast. W ciemnym ogrodzie na trawie. Kończąc pocałunek, chwycił ją obiema rękami za pośladki, poderwał z ziemi i posadził sobie na biodrach.

- Nie widzisz, jaki jestem? - wyszeptał jej do ucha. - Nie uznaję żadnych zasad. Dlatego odnoszę sukcesy w interesach. Uciekaj ode mnie, moja piękna, bo pożałujesz, że kiedykolwiek mnie znałaś!

- Dylan, proszę cię...

Cofnął głowę i wpatrzył się w jej słodką twarz, delikatnie oświetloną chłodnymi promieniami księżyca.

- Uciekaj, gdzie pieprz rośnie! Ratuuj się! - To mówiąc, wypuścił ją z objęć.

Maddie zachwiała się, lądując na nogi, lecz zdołała utrzymać równowagę.

- W życiu nie spotkałam równie nieznośnego człowieka! Czemu nie potrafisz przyjąć odrobiny życzliwości ze strony innej osoby? Co w tym złego?

- A niby dlaczego miałabyś mi pomagać? Co ci z tego przyjdzie?

- No nie! - wykrzyknęła, podnosząc oczy do nieba. - Ty głupku!

Nie przyszło ci do tej twojej tępej głowy, że mogę cię lubić? Otóż dowiedz się, że czułam zawsze i nadal czuję do ciebie sympatię. A ponadto darzyłam sędziego Bridgesa wielkim szacunkiem. Czy to ci wystarczy? - Umilkła, a gdy się nie odzywał, podjęła: - No to może inaczej cię przekonam. Ostatecznie do zabójstwa doszło na terenie klubu, podczas przyjęcia, które zorganizowałam i któremu patronowałam. Można więc powiedzieć, że rzecz odbyła się na moim terenie, pod moim okiem i dlatego czuję się za to, co się stało, w pewnym sensie odpowiedzialna. Więc chcę ci pomóc. Nawet w poszukiwaniu mordercy.

- Chcesz się zabawić w prywatnego detektywa? - prychnął. -

Rozpieszczona, wydelikaccona Maddie Delarue miałaby sobie pobrudzić rączki, bawiąc się śledzeniem przestępcy?

- Jeśli ci się wydaje, że mnie zniechęcisz swoimi impertynencjami, to się łudzisz - odrzekła spokojnym głosem. - Dobrze wiem, do czego zmierzasz.

- Niby do czego?

- Chcesz doprowadzić do tego, żebym się obraziła i poszła sobie, zostawiając cię własnemu losowi. W przeszłości wszyscy bliscy ci ludzie odchodzili albo porzucali cię, kiedy najbardziej ich potrzebowałeś. Najpierw w wieku dorastania straciłeś matkę, potem ja nie stałam po twojej stronie, kiedy zostałeś aresztowany za kradzież samochodu, i wreszcie ojciec nic nie zrobił, żeby cię uchronić od niewspółmiernie ciężkiej kary za szczeniackie przewinienie. Czy i potem spotykały cię podobne zawody?

Stał, nic nie mówiąc, nie odrywając od Maddie oczu. Zapadło długie milczenie, które trwało i trwało.

- Tym razem nie opuszczę cię w potrzebie - odezwała się Maddie. - Jeżeli mi na to pozwolisz.

Dylan odchrząknął.

- W porządku. Niech ci będzie. Jeżeli koniecznie chcesz odegrać rolę dobrej samarytanki, spotkajmy się jutro... właściwie dzisiaj... po południu. Zastanowimy się, od czego zacząć.

- Dziękuję! - Wspięła się na palce i delikatnie pocałowała go w policzek. - Nie masz pojęcia, jak mi przykro z powodu tego, co się stało.

Odwróciła się, skierowała przez ogród do tylnej furtki, a następnie okrążyła dom. Dylan patrzył na nią, dopóki nie odjechała. Potem odetchnął głęboko i stał jeszcze długą chwilę, usiłując bezskutecznie rozeznąć się w swoich uczuciach.

„Tym razem nie opuszczę cię w potrzebie”, raz po raz powtarzał w myślach jej słowa. Gotów był w nie wierzyć, lecz czy słusznie? Czy nie opuści go, kiedy sprawy przybiorą nieprzyjemny obrót? Czy wytrwa przy nim, jeżeli ludzie zaczną go wytykać palcami, nazywając mordercą?

Jakkolwiek będzie, jedno nie ulega wątpliwości: z pomocą albo bez pomocy Maddie, musi dowieść swej niewinności. A jeśli policja okaże się bezradna, sam wykryje mordercę ojca.

Kiedy Molly French Gates zjawiała się punktualnie na ranny dyżur, Hart O'Brien niezwłocznie wprowadził ją w szczegóły tragedii, jaka miała wczoraj miejsce w podmiejskim klubie. Hart bardzo cenił Molly, która wchodząc w skład oddziału specjalnego policji, parę miesięcy wcześniej walczyła się przyczyniła do zdemaskowania skorumpowanych policjantów.

- Wszystkie gazety o niczym innym nie piszą - powiedziała. - W lokalnym „Clarionie” masz artykuł na pierwszej stronie, w telewizji też bez przerwy o tym mówią. Podają, że Dylan Bridges był przesłuchiwany. Czy to prawda? Naprawdę uznaliście syna sędziego za podejrzanego?

Hart przetarł twarz ręką, podniósł kubek i łyknął stygnącej już mocnej kawy.

- Ja osobiście myślę, że jest niewinny - odparł. - Wydawał się autentycznie wstrząśnięty tym, co się stało. Faktu, że przez wiele lat był z ojcem poróżniony, nie można uznać za wystarczający motyw zbrodni. Zresztą pewne okoliczności mogą nasuwać przypuszczenie, że mamy do czynienia z mało fachowym, lokalnym bandziorem, a nie wyrachowanym, zawodowym mordercą spoza stanu.

- Stawiasz na jakiegoś łobuza, któremu sędzia zalał sadła za skórę? Hart ziewnął szeroko.

- Coś w tym guście - mruknął. Molly popatrzyła na niego spod oka.

- Może byś pojechał do domu i trochę się przespał? Wyglądasz, jakbyś miał za chwilę wyzionąć ducha. Nie mam ochoty dzwonić do Joan, że została wdową.

Hart parsknął śmiechem.

- Jednego nie mogę zrozumieć. Zakładając, że było to morderstwo z premedytacją, dlaczego zabójca, nawet najbardziej nieudolny, był aż tak głupi, żeby wrzucić narzędzie zbrodni do tego samego stawu, w którym znaleźliśmy zwłoki?

- Macie pewność, że zbrodni dokonano za pomocą znalezionej broni? - Jeszcze nie mamy wyniku badań balistycznych, ale wszystko na to wskazuje.

- Zachowały się jakieś odciski palców?
- Oby się znalazły.

Legitymując się sfalszowanym dowodem tożsamości, zameldował się wczoraj późnym wieczorem w podmiejskim motelu. Spał do rana spokojnym snem dziecka. Zaciukanie faceta zawsze tak na niego działało. Tak samo jak zerżnięcie baby. Albo jeszcze lepiej.

Wszystko dokładnie zaplanował, w najdrobniejszych szczegółach. Zapoznał się z topografią klubu golfowego, posprawdzał, gdzie kto z obsługi powinien w danym momencie przebywać. Wiedział, że chłopcy przyprowadzający gościom samochody będą siedzieć na strzeżonym parkingu, fraternizując się z prywatnymi kierowcami. Sędzia Bridges sprawił mu wprawdzie psikusa, nie pojawiając się na przyjęciu, lecz wystarczył telefon z pogróżką, że zastrzeli synalka, żeby natychmiast się zjawił.

Dał sędziemu ostatnią szansę ujawnienia potrzebnej szefowi informacji, ale ten stary głupiec nie chciał gadać. Nie wiedział, idiota, z kim ma do czynienia, czy co? Szef nie toleruje odmowy. Dał mu jasne polecenie: albo stary powie, co wie, albo raz na zawsze zamkniesz mu gębę.

Robota szła bez zmyłki aż do chwili, kiedy tej przeklętej rudej kelnerce zachciało się wyleźć na dwór na papierosa. Skąd mógł przypuścić, że cholernej babie wpadnie do łba paradować z fajką od frontu, a nie pod tylnym wyjściem, gdzie, jak mu powiedziano, służbie wolno palić? I po jakiego diabła lazła podjazdem taki kawał drogi? Jeszcze moment, a byłaby go zobaczyła. Dał nogę dosłownie w ostatniej chwili.

Niestety, z tego wszystkiego niechcący upuścił swą dziewięćmilimetrową spluwę do stawu. Robił, co mógł, żeby wydostać broń z wody, szybko jednak stało się jasne, że albo porzuci rewolwer, albo zostanie przyłapany. Z dwojga złego wybrał to pierwsze. Ale gliny mogą się udławić; na rewolwerze nie znajdą żadnych śladów. Przed każdą robotą dokładnie smarował sobie palce klejem, dzięki czemu nigdy nie zostawiał odcisków.

Zadzwoił już do szefa i nagrał się na sekretarkę. Komunikat brzmiał: „Sprawiedliwość została wymierzona”.

Zaburczało mu w żołądku. Był cholernie głodny. Zjadłby na śniadanie konia z kopytami. Pojedzie do Mission Creek Cafe, zamówi sobie największą porcję jajek na bekonie i przejrzy dzisiejszą gazetę. Ciekawe, co piszą w „Clarionie” na temat zastrzelenia sędziego Bridgesa podczas wieczornego przyjęcia w klubie...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Maddie zjawiała się w swoim gabinecie w Lone Star z dwugodzinnym opóźnieniem, ukrywając zapuchnięte i przekrwione oczy za ciemnymi okularami. Powróciwszy do domu z nocnej wizyty u Dylana, padła w ubraniu na łóżku i momentalnie zasnęła. Spała krótko, lecz wiele jej się śniło. Sny były dziwne, poplątane, bez początku i bez końca. Niemniej po obudzeniu pamiętała główny motyw łączący nocne majaki; ten mianowicie, że od dziś jej los jest nierozzerwalnie i nieodwracalnie związany z losem Dylana.

Dylan był samotnikiem, nie miał nikogo bliskiego, na kim mógłby

się oprzeć. Maddie, z niejasnych dla niej samej powodów, chciała zająć przy nim miejsce życzliwej, oddanej, godnej zaufania bliskiej osoby. Jednakże Dylan był człowiekiem trudnym i nieufnym, niechętnie przyjmującym pomoc. Przebicie się przez ten ochronny pancerz będzie ciężkim zadaniem, kto wie, czy nie najtrudniejszym w całym jej dotychczasowym życiu. I jakkolwiek Maddie od najwcześniejszych lat unikała rzeczy trudnych i ryzykownych, to nowe wyzwanie bardziej ją pobudzało niż przerażało.

Co ją skłoniło do tego, by nie bacząc na ewentualne przykrości, a nawet rozczarowanie, ofiarować pomoc mężczyźnie, który w dodatku starał się ją do tego zniechęcić? Może to, że wyczuwała w nim bratnią duszę. Był tak samo nieufny jak ona, podobnie jak ona przeżył niejedną zawód, i był tak samo jak ona człowiekiem rozpaczliwie samotnym.

- Dzień dobry, Maddie - powitała ją Alice, podając szefowej filiżankę herbaty. - Było do ciebie mnóstwo telefonów. Wszystkie zanotowałam, a kartki położyłam na biurku. W sumie masz ze dwadzieścia wiadomości. Mówiłam, że nie możesz podejść do telefonu, bo jesteś na zebraniu. Czy dobrze zrobiłam?

Alice weszła za nią do gabinetu.

- Bardzo dobrze, dziękuję ci, moja droga. - Maddie odłożyła torebkę na biurko, kawę umieściła na tacce po prawej stronie komputera i zerknęła na stos żółtych karteczek, starannie poukładanych w służącym specjalnie do tego celu płaskim plastikowym pojemniku. Maddie bardzo dbała o porządek i była dumna, że umie sobie dobrze zorganizować pracę.

- Twoja matka dzwoni od dziewiątej rano mniej więcej co pół godziny - oznajmiła Alicja z odcieniem współczucia w głosie. - Mówię o

tym, bo z jej telefonów nie robiłam notatek.

Maddie ciężko westchnęła.

- Połącz mnie, jak znowu zadzwoni. Jeżeli się z nią nie rozmówię, gotowa tu przyjechać, a na to nie mam siły.

- Rozumiem - przytaknęła Alice. - Poza tym pytał o ciebie pan Small. Chce koniecznie z tobą rozmawiać. Ale wiem z góry, co będzie miał do powiedzenia. - Dobrze. Powiedz, o co mu chodzi, to szybciej się go pozbędę. Nigdy nie miałam sympatii do tej małej ropuchy, a od wczoraj jest u mnie na czarnej liście.

- Na pewno zauważyłaś, że po terenie kręcą się funkcjonariusze w cywilu - zaczęła Alice, a gdy Maddie skinęła głową, mówiła dalej: - Z powodu wczorajszego wydarzenia klub jest dzisiaj zamknięty. Działa tylko mały barek dla pracowników. To jedna z rzeczy, o których Harvey chciał cię poinformować. A druga, że mamy współpracować z zespołem śledczym. O ile wiem, szeryf Wainwright i komendant Terry biorą bezpośredni udział w dochodzeniu. Zabicie sędziego okręgowego to sprawa równie poważna, jak zamordowanie policjanta.

Maddie usiadła w fotelu, podniosła do ust filiżankę i wypła łyk aromatycznej herbaty. Brak snu połączony z nerwowym napięciem przyprawił ją o silny ból głowy, który nie ustępował, mimo że przed wyjściem z domu wzięła dwie aspiryny.

- Lunch zjem dzisiaj w biurze, ale sama zadzwonię i powiem, co mają mi przynieść. A ty nadal przyjmuj za mnie telefony. Nie chcę dziś z nikim rozmawiać, chyba że będzie to absolutnie konieczne. Łącz mnie tylko z dwoma osobami, z moją matką i... z Dylanem.

- Z Dylanem Bridgesem? - Alice zrobiła wielkie oczy. - Podobno

on jest podejrzany o zabicie sędziego.

Maddie z ciężkim westchnieniem zdjęła ciemne okulary i popatrzyła na swoją asystentkę.

- To nieprawda. Pan Dylan Bridges nie jest o nic podejrzany. - Ale Harvey Small mówił...

- Harvey Small jest kretynem!

Ktoś odchrząknął. Nie Maddie, i nie Alice. Maddie zwróciła oczy ku uchylonym drzwiom gabinetu - stał w nich Harvey Small. No ładnie! Tego jej tylko brakowało.

- Dzień dobry pani. - Mały grubas wkroczył do gabinetu. - Cieszę się, że nareszcie raczyła pani zjawić się w biurze. Wczorajszy wieczór był dla wszystkich ciężkim przeżyciem, niemniej niektórzy potrafili punktualnie stawić się w pracy.

- Wiesz co, Harvey? Wypchaj się pan! - prychnęła.

- Nie podoba mi się pani zachowanie - oświadczył grubas.

- A mnie pan się nie podoba. Więc jesteśmy kwita. Harvey ściągnął usta. Jego krągła twarz spurpurowiała.

- Gdyby nie pani pozycja towarzyska, już by pani tu nie pracowała - oświadczył.

Maddie parsknęła śmiechem. Harvey do złudzenia przypominał nadętą ropuchę.

- Za to, co powiem, każe mnie pani pewnie wyrzucić z pracy, ale dla wszystkich jest oczywiste, że to Dylan Bridges najpewniej zastrzelił sędziego. Tylko pani tego nie widzi, z powodu swojego uczuciowego zaangażowania.

Maddie zmierzyła małego człowieka zimnym spojrzeniem.

- Powiem panu jedno. Jeżeli dotąd nie domagałam się pańskiego zwolnienia, to wyłącznie dlatego, że wywiązuje się pan wzorowo ze swoich obowiązków. Nie ma jednak ludzi niezastąpionych, proszę o tym pamiętać!

Harvey Small parsknął jak rozłoszczony kocur, odwrócił się i wymaszerował z gabinetu.

- Myślałam, że zaraz pęknie ze złości - zaśmiała się Alice.

- To by dopiero był widok!

- Czy mogę coś powiedzieć? - zapytała Alice, wyraźnie czymś skrepowana.

- Mów śmiało!

- Policjanci wypytywali mnie o przebieg wczorajszego przyjęcia, zwłaszcza o panią i pana Dylana Bridgesa. Powiedziałam im, o której wróciła pani na salę balową. Mam nadzieję, że nie powiedziałam czegoś...

- Bardzo dobrze zrobiłaś - uspokoiła ją Maddie. - Wszyscy musimy mówić prawdę i tylko prawdę. Towarzyszyłam panu Bridgesowi przez cały czas jego nieobecności, prócz ostatniego kwadransa, i tak właśnie wczoraj zeznałam.

- Dziękuję pani.

Dźwięk telefonu zmusił Alice do opuszczenia gabinetu. Maddie oparła głowę na rękach i przymknęła oczy. Zapowiadał się ciężki dzień.

Alice uchyliła drzwi i wsunęła głowę.

- Dzwoni pani matka.

- Łącz! - powiedziała z głębokim westchnieniem. Mundurowy policjant zastąpił Dylanowi drogę u wejścia do klubu.

- Przepraszam, ale dziś jest zamknięte. Wczoraj wieczorem

dokonano zbrodni na terenie...

- Wiem. Jestem synem zamordowanego.

- Ach, to pan... Najmocniej przepraszam... - jękał się skonfundowany funkcjonariusz. - To straszne! Sędzia Bridges był takim porządnym człowiekiem!

- To prawda. Dziękuję za dobre słowo. - Dylan rozejrzał się po terenie klubu, po którym krzżeli się ludzie najwidoczniej prowadzący czynności śledcze. - Przychodzę nie jako członek klubu, ale ponieważ muszę się zobaczyć z panią Delarue.

- Czy pani Delarue oczekuje pana?

- Tak, oczywiście.

Funkcjonariusz otworzył przed nim furtkę.

Wszedłszy do budynku, Dylan stanął niezdecydowany, zastanawiając się, gdzie może się znajdować gabinet Maddie. Po foyer kręciło się paru członków personelu, którzy najwyraźniej go rozpoznali, bo zaczęli mu się przypatrywać, wymieniając szeptem jakieś uwagi. O czym mówią? Czy rozważają prawdopodobieństwo jego udziału w zbrodni? Zdał sobie sprawę z okropności swego położenia: oplakując śmierć ojca, będzie musiał bronić się równocześnie przed krzywdzącymi podejrzeniami. Nie zwracaj na nich uwagi, powiedział sobie. Musisz przywyknąć do tego, że będą wytykać cię palcami i szeptać za plecami.

Ale tymczasem przypomnij sobie, gdzie mieściły się biura siedemnaście lat temu, kiedy pracowałeś tu jako chłopiec. Pamięć ożyła i już po chwili jechał windą na pierwsze piętro, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mieściły się zarówno biura, jak i gościnne pokoje. Na piętrze odnalazł drzwi opatrzone tabliczką oznajmiającą, iż znalazł się

u progu prywatnej domeny pani Delarue, dyrektora do spraw imprez specjalnych. Kiedy otworzył drzwi, siedząca za biurkiem młoda osoba zrobiła wielkie oczy i nerwowo poderwała się na nogi.

- Dż...dzień dobry panu - wybąkała.
- Dzień dobry pani. Czy mógłbym się widzieć z panią Delarue?
- Tak... oczywiście. Proszę sekundę poczekać, zaraz ją uprzedzę.

Dziewczyna zniknęła za drzwiami w głębi, najwidoczniej prowadzącymi go gabinetu Maddie. Niemal natychmiast pojawiła się znowu, zostawiając drzwi otwarte.

- Bardzo proszę - rzekła.
- Dziękuję.

Dylan wszedł do środka i zamknął drzwi. Maddie wstała i zbliżyła się z wyciągniętymi rękami. Widząc jej zmęczoną twarz i podpuchnięte, podkrążone oczy, domyślił się, że spała ostatniej nocy równie krótko jak on. Niemniej było jej w tym zmęczeniu wyjątkowo do twarzy, a skromne uczesanie i prosty, ale wytworny jasnobezowy kostium podkreślały jej urodę.

- Usiądź, proszę! - powiedziała, wskazując fotel.
- Nie, dziękuję, wpadłem tylko na chwilę. Przede wszystkim żeby ci podziękować za wyborną jajecznicę. I powiedzieć, że dokonałem wstępnych przygotowań do pogrzebu. Wstępnych, bo na razie nie można wyznaczyć daty. Trzeba poczekać, aż koroner pozwoli zabrać ciało. Muszą najpierw przeprowadzić sekcję.

Na myśl o ciele ojca poddawanych brutalnym zabiegom twarz mu się skurczyła, a Maddie, widząc to, położyła mu rękę na ramieniu i mocno je ścisnęła. Kochana Maddie! Autentycznie wzruszona, prawdziwie

zatroskana!

Dylan opanował się.

- Powiedz mi, moja droga, czy się opamiętałaś? Czy po przebudzeniu zaczęłaś myśleć rozsądniej niż w środku nocy?

- Chodzi ci o to, czy uznałam, że nie powinnam mieć z tobą do czynienia? - zapytała, cofając rękę.

Sam nie rozumiał, dlaczego w takim napięciu czeka na jej odpowiedź. Przecież sam nalegał, żeby nie mieszała się w jego sprawy. Chciał ją uchronić od przykrości, jakie mogą ją spotkać, jeżeli będzie się z nim zadawać. Zarazem jednak wszystkie te zdroworozsądkowe argumenty nie zmieniały jednego podstawowego faktu, tego mianowicie, iż tkwiący w jego podświadomości szesnastolatek pragnął rozpaczliwie, by Maddie Delarue stanęła tym razem po jego stronie.

Oparła się tyłem o biurko i z uwagą mu się przypatrywała. Dylan wziął co prawda prysznic, ogolił się i włożył czyste rzeczy, niemniej podejrzewał, że przeżycia ostatniej nocy muszą się malować na jego twarzy.

- Nie mogę cię rozgryźć - odezwała się po dłuższej chwili. - Przez cały czas mam uczucie, jakbyś jedną ręką przyciągał mnie do siebie, a drugą odpychał.

- Hm. Moje zachowanie może faktycznie wprawiać w zmieszanie. Ale ja sam czuję się zdezorientowany.

Maddie splotła ręce na piersiach.

- Więc spróbujmy pewne rzeczy uporządkować - rzekła. - Jeżeli o mnie chodzi, nic się nie zmieniło. Nadal chciałabym ci pomagać, wspierać cię i z tobą współdziałać. Byłoby mi jednak nieporównanie

łatwiej, gdybyś przestał się przede mną bronić.

- Uważasz, że się przed tobą bronię?

- Może byś jednak usiadł, dobrze? - zaproponowała, ponownie wskazując fotel. - Właśnie miałam zamówić sobie coś do jedzenia.

Zjedźmy razem lunch. Podejrzewam, że od porannej jajecznicy oboje nie mieliśmy nic w ustach. Co wolisz, sandwicza czy sałatkę z frytkami?

Dylan usiadł na wskazanym fotelu i założył nogę na nogę.

- Poproszę o sandwicza z szynką i serem - powiedział.

Parę dni temu ojciec zrobił mu na powitanie kanapkę z szynką i serem. Wzruszenie ścisnęło Dylanowi gardło. Był wtedy tak uszczęśliwiony, że tata zapamiętał jego ulubioną potrawę.

Maddie pochyliła się nad biurkiem, podniosła słuchawkę i wybrała numer małego baru.

- Mówi Maddie Delarue. Chciałam zamówić lunch z przyniesieniem do gabinetu.

Podczas gdy omawiała szczegóły zamówienia, Dylan obserwował ją z upodobaniem, odnotowując charakterystyczne dla niej drobne gesty: sposób, w jaki skłaniała w bok głowę, mrużyła oczy w chwilach koncentracji albo przygryzała dolną wargę, gdy coś ją zniecierpliwiło.

W końcu skrzywiła się i odłożyła słuchawkę.

- Ta biedna dziewczyna musi być nowa. Była mocno rozkojarzona. No ale mam nadzieję, że nie pomyli zamówienia.

Dylan nagle coś sobie przypomniał.

- Powinienem ci od razu powiedzieć. Wstąpiłem z rana na posterunek.

- No i co? - zainteresowała się.

- Rozmawiałem z komendantem Terrym. Złapałem go, kiedy wychodził do domu. Powiedział mi, że znaleziono broń, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa posłużyła do popełnienia zbrodni. Morderca, jak się wydaje, wrzucił albo upuścił rewolwer do stawu, w którym znaleziono ciało ojca.

Maddie podniosła brwi.

- Dziwna lekkomyślność, nie uważasz?

- Może lekkomyślność, a może broń została celowo podrzucona - zauważył Dylan. - Albo zabójca upuścił broń, bo coś go spłoszyło i nie miał czasu jej wyławiać. Różnie mogło być.

- Nie powiedział ci, czy zgłosili się jacyś ludzie, którzy widzieli albo słyszeli coś, co by mogło...

- Pomóc w śledztwie? Nie, żadni świadkowie się nie zjawili. Jedyna nadzieja, że ta kelnerka, Erica Clawson, przypomni sobie o czymś, co w pierwszej chwili nie dotarło do jej świadomości. Prowadzący śledztwo uważają, że ojciec został zastrzelony tuż przed jej nadejściem.

- Hm. Pewnie teraz zdejmują z rewolweru odciski palców, przeprowadzają badania balistyczne, i nie wiem, co tam jeszcze.

- Oczywiście, chociaż na odkrycie odcisków raczej nie mają nadziei. Gdyby jednak je znaleźli, to by znacznie ułatwiło sprawę. - Pochylił się i opuścił złożone palcami ręce między kolana. - Byłby to niepodważalny dowód, że nie ja strzelałem.

- Przecież tak naprawdę nie jesteś podejrzany. Gdyby było inaczej, już wczoraj by cię aresztowali.

- Niemniej dostałem zakaz opuszczania miasta. - Skrzywił się i wzruszył ramionami. - Jakby nie słyszeli, że nie ruszę się stąd, dopóki

zabójcy mojego ojca nie zostanie wymierzona sprawiedliwość.

- Czy skontaktowałeś się z prawnikiem? Bo gdybyś potrzebował adwokata, chętnie mogę cię polecić...

- Z samego rana porozumiałem się z moim prawnikiem z Dallas. A także ze współnikami z firmy, którzy na czas mojej nieobecności przejmą wszystkie moje sprawy.

- Czyli można powiedzieć, że masz w pewnym sensie wolną rękę.

- Tak jakby. - Dylan zawahał się, a potem rzekł: - Domyślam się, że prowadzący śledztwo już to zrobili, albo wkrótce zrobią, niemniej ja też chciałbym obejrzeć listę uczestników wczorajszej gali. Czy to możliwe? Twarz Maddie spoważniała. W układzie jej ust dostrzegł wyraz napięcia.

- Nie, nikt jeszcze się listy nie domagał. Ale masz rację, z pewnością o nią poproszą.

- Czy myślisz, że miałabyś kłopoty, gdybyś pozwoliła mi do niej zajrzeć?

- Nie mam pojęcia. - Maddie zakręciła się, siadła za biurkiem i zaczęła szybko stukać w klawisze komputera. - Oto ona. Chodź i popatrz!

Odetchnął z ulgą. Nie był pewien, czy Maddie zgodzi się udostępnić mu listę gości. Stał za jej plecami i zaczęli wspólnie odczytywać nazwiska uczestników wczorajszej gali.

Dylan cicho gwizdnął.

- Wszystkie miejscowe szuchy! - mruknął. - Jak myślisz, czy ktokolwiek z nich mógł mieć powód, żeby życzyć memu ojcu śmierci?

Maddie zaczęła odczytywać nazwisko po nazwisku, kojarząc je z osobami, które poznał na wczorajszym przyjęciu, i dodając krótkie

charakterystyki. Byli to ludzie, których dobrze znała. Z niektórymi łączyły ją przyjacielskie stosunki.

- Wszyscy ci ludzie znali twego ojca, a część z nich zaliczała się do grona jego bliskich przyjaciół. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek z nich był zdolny do popełnienia zbrodni. Prawdę mówiąc, poza skazanymi przez niego przestępcami i ewentualnie rodziną Mercadów, nie przychodzi mi głowy nikt, kto mógłby żywić do twojego ojca aż tak wielką urazę. - A właśnie, czegoś tu nie rozumiem. Kiedy powiedziałaś mi rano, że ojciec wystąpił w roli obrońcy, byłem zbyt skołowany, żeby cię o to zapytać, ale jak to możliwe, żeby sędzia okręgowy był równocześnie obrońcą?

- Nie powiedział ci, że parę lat temu postanowił zrobić sobie przerwę i nie ubiegać się o reelekcję? Przez jakiś czas wykładał w college'u, zaczął też, o ile wiem, pisać książkę. Dopiero broniąc oskarżonych w sprawie o spowodowanie śmierci Haley Mercado, zgodził się ponownie kandydować na stanowiska sędziego. No a po wygraniu sprawy miał wybór w kieszeni. Mając poparcie Carsonów i Wainwrightów, nie mógł przegrać.

- Ilu jeszcze rzeczy o nim nie wiem? Rzeczy ważnych, o których powinienem wiedzieć... - westchnął Dylan.

W tym momencie rozległo się pukanie.

- Przyniesiono lunch. Czy mam wpuścić kelnerkę? - spytała Alice, zerkając do środka.

- Och, wspaniale! - ucieszyła się Maddie. - Tak, oczywiście, niech wejdzie! - Dylan odsunął się na bok, by nie przeszkadzać Maddie, która robiła miejsce na biurku.

- Gdzie mam to postawić? - zapytała kelnerka, która weszła tymczasem do pokoju, niosąc zastawioną talerzami tacę.

- Tutaj proszę! - odparła Maddie, wskazując biurko.

Kelnerka odstawiła tacę i zwróciła się do Dylana:

- Czy to pan jest synem sędziego Bridgesa? Skinął głową.

Przemknęło mu przez myśl pytanie, czy młoda dziewczyna nie zacznie mu urągać. Jednakże jej miły uśmiech natychmiast go uspokoił.

- Proszę przyjąć ode mnie serdeczne kondolencje - powiedziała. - Pański ojciec był niezwykle miłym człowiekiem, jednym z najsympatyczniejszych członków klubu, jakich miałam okazję obsługiwać. Zawsze odnosił się do nas życzliwie. I dawał hojne napiwki.

- Jestem pani wdzięczny za te słowa, panno...

- Parker. Nazywam się Daisy Parker. - Kelnerka uśmiechnęła się nieśmiało i skinąwszy im głową, pospiesznie opuściła gabinet.

Maddie zamknęła za nią drzwi.

- Zabierajmy się do jedzenia - powiedziała.

Dylan przysunął sobie bliżej krzesło. Długi czas jedli w milczeniu. Dopiero popijając colę i skubiąc czekoladowe herbatniki, które Maddie zamówiła na deser wrócili do kwestii ewentualnych podejrzanych. Po przedyskutowaniu różnych za i przeciw zawężili krąg podejrzanych do członków rodziny osławionego mafijnego bossa Carmine'a Mercado, tudzież byłego narzeczonego Haley Mercado, Franka Del Brio, który uchodził za głównego kandydata do przejęcia schedy po swym niedoszłym teściu.

- Dopóki się nie dowiemy, że jakiś skazaniec nosił się z zamiarem wywarcia zemsty na ojcu, nikt inny nie wchodzi w grę - oświadczył

Dylan. - Można wysunąć hipotezę, że Mercado i Del Brio, bądź jeden z nich, postanowili ukarać ojca za to, że skutecznie obronił ludzi, których uważali za sprawców śmierci Haley.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że to, co powiedziałaś, oznacza wmieszanie się w mafijne porachunki - ostrzegła go Maddie. - To są bardzo niebezpieczni ludzie.

- A jak oceniasz miejscowe władze? Czy sądzisz, że byliby skłonni dobrać się członkom mafii do skóry?

- Do niedawna mafia miała swoich ludzi w policji. Na szczęście parę miesięcy temu zrobiono z nimi porządek - wyjaśniła Maddie. - Burl Terry uchodzi za człowieka kryształowej uczciwości. A, jeśli chodzi o Justina Wainwrighta, to znam go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie przestraszy się żadnej mafii.

- Gdyby się okazało, że sprawcą morderstwa jest rzeczywiście płatny zabójca, działający na zlecenie, może się zrobić bardzo niebezpiecznie - zauważył Dylan. - Zastanów się, czy naprawdę jesteś...

- Będę stać przy tobie, cokolwiek się stanie.

- Czemu?

- Czemu? Nie jestem pewna. Powiedzmy, że tym razem chcę być wierniejsza w przyjaźni, niż kiedy miałam szesnaście lat.

- Chodzi tylko o przyjaźń? - zapytał. Maddie zawahała się.

- O przyjaźń, a także... - Dylan objął ją i podniósł z fotela.

- A także o co?

- Widzisz, ja i ty jesteśmy do siebie bardzo podobni. Wydaje mi się, że dobrze cię rozumiem. A poza tym zadurzyłam się w tobie, kiedy byłam nastolatką, i tak już zostało. - Ostatnie wyznanie wyrzuciła z siebie

jednym tchem. - Wiem, że nie jest to zbyt mądre z mojej strony, ale nic na to nie poradzę.

O cholera! Różnych rzeczy mógł się spodziewać, ale nie tego! Powiedziała mu wprost, że się w nim kocha! Co ona wyprawia! Czy nie zdaje sobie sprawy, jak strasznie jej pożąda i gotów jest dopuścić się nie wiadomo czego, byle się z nią przespaci?

- Jestem pewien, że byłbym z tobą bardzo szczęśliwy - zauważył, biorąc ją w ramiona. - Kłopot polega na tym, że w tej chwili nic nie mogę ci dać. Moje życie legło w gruzach. Wziąłem na nieokreślony czas urlop z pracy i pożegnałem się nie wiem na jak długo z egzystencją, która dawała mi wiele radości, chociaż niedawno odkryłem, jak bardzo była ona niepełna. Teraz zaś, po tym, jak zamordowano mi ojca, wyruszam na prywatną krucjatę, która będzie trwała dopóty, dopóki nie dopadnę drania, który to zrobił i nie dopilnuję, żeby spotkała go zasłużona kara. Nie możesz mi w tej drodze towarzyszyć.

Maddie zarzuciła mu rękę na szyję.

- Owszem, mogę.
- Jesteś szalona. Wiesz o tym?
- Wiem, że musisz mieć teraz przy sobie przynajmniej jedną przyjazną duszę - odparła. - Przynajmniej jednego sprzymierzeńca.
- I ty miałabyś nim być?
- Jeżeli mi na to pozwolisz.
- Wiem, że nie powinienem. - Dylan pochylił głowę tak nisko, że ich wargi prawie się stykały. - Ale w tej chwili rzeczywiście potrzebuję sprzymierzeńca i przyjaciela.

Pocałował ją, gorąco i namiętnie, i zapewne ten pocałunek

doprowadziły do zbliżenia, gdyby ktoś nie zapukał do drzwi.

- Cholera jasna! - zaklął Dylan pod nosem. Odskoczyli od siebie jak para winowajców.

- Tak, proszę! - zawołała Maddie. Alice weszła do gabinetu i oznajmiła:

- Przyszedł inspektor O'Brien. Chciałby przejrzeć listę uczestników wczorajszego przyjęcia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Na nabożeństwo żałobne za duszę sędziego Carla Bridgesa, które odbyło się w pięć dni po jego śmierci przybyła chyba połowa mieszkańców Mission Creek. Tłum zapełniał kościół do ostatniego miejsca i wylewał się na ulicę. Wnętrze świątyni tonęło w kwiatkach. Gdyby Dylan nie zdążył do tej pory zdać sobie sprawy, jak wielkim szacunkiem cieszył się jego ojciec wśród mieszkańców miasta, upewniłaby go o tym tak liczna obecność ludzi pragnących mu złożyć ostatni hołd.

Nie wyobrażał sobie, jak zdołałby przeżyć ostatnie dni bez Maddie. Ostatecznie poniechał prób zniechęcenia jej. Maddie w sobie tylko właściwy sposób potrafiła przeniknąć jego maskę faceta, który sam sobie ze wszystkim poradzi i nie potrzebuje niczyjej pomocy, a ponadto czuł, że coraz bardziej się do niej przywiązuje. Tylko czasami wpojona głęboko nieufność kazała mu przypominać sobie, że nie powinien się do jej towarzystwa zbyt przyzwyczajać, bo ich tymczasowe przymierze nie będzie trwało wiecznie.

Spotykali się co wieczór w jej mieszkaniu, razem jedli kolację, poznawali się, omawiali nowe informacje związane ze zbrodnią, a przy okazji Dylan wypytywał Maddie o nieznane mu szczegóły życia ojca. Policja niewiele zdołała wykryć poza ustaleniem, że śmiertelne kule rzeczywiście oddano ze znalezionej w stawie siedmiostrzałowego rewolweru o kalibrze dziewięciu milimetrów. Trzy kule utkwiły w piersi ofiary. Linii papilarnych nie znaleziono, co zresztą nikogo nie zdziwiło. Po zbadaniu pochodzenia broni okazało się, iż rewolwer był własnością niejakiego Toma Smitha z Laredo, który dwa tygodnie wcześniej zgłosił na policji, że z zaparkowanego na ulicy jeepa skradziono mu tenże rewolwer.

Dylan stał sam przy trumnie ojca w wypełnionym żałobnikami kościele, starając się opanowywać wzruszenie, podczas gdy kolejni ludzie podchodzili do niego, wypowiadając słowa współczucia i wyrażając się z szacunkiem o tragicznie zmarłym ojcu. Jednakże w oczach niektórych dostrzegał skrywaną podejrzliwość. Ludzie ci zastanawiali się zapewne, czy nie mają do czynienia z mordercą, chociaż nikt oczywiście nie dał mu tego wprost do zrozumienia. Dylan czuł się przeraźliwie samotny. Oprócz dalekich kuzynów, których nawet nie znał, nie miał żadnej rodziny. Ojciec był jedynakiem, a matka miała tylko starszego brata, który pod koniec lat sześćdziesiątych zginął na wojnie w Wietnamie.

W pewnej chwili poczuł dobrze mu już znany zapach kosztownych perfum Maddie. Ściskając dłoń jednego z zaprzyjaźnionych z ojcem prawników, podniósł na chwilę wzrok i dostrzegł ją tuż za składającym mu kondolencje mężczyzną. W czarnym eleganckim kostiumie, małym czarnym kapelusiku, z połyskującymi w uszach czarnymi perłami

prezentowała się iście po królewsku. Wyminąwszy oczekujących w kolejce ludzi, stanęła u jego boku.

- Przepraszam za spóźnienie - szepnęła mu do ucha. - Miałam drobny problem z mamą.

- Czy to coś poważnego?

- Ach, nie - odparła Maddie z bezradnym westchnieniem. - Nie ma się czym przejmować.

- Uważała, że nie powinnaś tutaj przychodzić, czy tak? - domyślił się Dylan.

- Już ci mówiłam, że sama o sobie decyduję. Matka nie kieruje moim życiem. Jestem panią siebie.

Dylan uścisnął dłoń kilku osobom, które zmierzyły Maddie zdziwionymi spojrzeniami, a odchodząc, coś do siebie szeptały. Ciekawe, co ci poczciwcy gadają za jej plecami?

- Masz pojęcie, co oni sobie pomyślą, jeżeli będziesz przy mnie stała?

- Wiesz co? - wyszeptała. - Mam ich wszystkich w nosie!

Dylana ogarnęła niewypowiedziana wdzięczność. Za to, co dziś dla niego zrobiła, nigdy nie zdoła się zrewanżować. Jeżeli nawet siedemnaście lat temu zawiodła go i opuściła w potrzebie, to dziś odkupiła z nawiązką swe dawne winy. Jej wielkoduszność przeszła najśmielsze oczekiwania.

Podeszły do niego dwie dziewczyny. W jednej z nich rozpoznał blond kelnerkę, która przyniosła lunch do gabinetu Maddie nazajutrz po śmierci ojca. Nie pamiętał jak się nazywa, ale pamiętał jej miłe słowa o zmarłym ojcu. Blondynce towarzyszyła młodziutka, najwyżej

dwudziestoletnia dziewczyna o kasztanowych włosach.

Maddie uścisnęła ręce obu dziewcząt.

- Dziękuję, że przyszłyście - rzekła. Przedstawiła je Dylanowi: -
Poznaj Daisy Parker i Ginger Walton, które pracują w naszym klubie.

- Chciałyśmy wyrazić żal z powodu śmierci pana sędziego -
powiedziała Ginger. - Wszyscy pracownicy klubu bardzo go lubili.

Czas mijał, a kolejka składających kondolencje nie malała. Ludzie podchodzili i odchodzili, ale Maddie wiernie trwała u boku Dylana. Wreszcie kościelny dzwon wybił godzinę. Druga po południu - pora rozpoczęcia nabożeństwa. Maddie usiadła obok Dylana, trzymając go za rękę - jawnie, wobec całego zgromadzenia. Pastor wygłosił pochwałę sędziego jako mężczyzny, jako sędziego, jako człowieka i chrześcijanina. Złożył Dylanowi wyrazy współczucia, a następnie poprosił wiernych o odmówienie modlitwy za zmarłego. Dylan, którego dławiło wzruszenie, czynił heroiczne wysiłki, by nie dać po sobie poznać, co się z nim dzieje -

Kolejnym mówcą był Ford Carson. Kiedy powiedział: „Wiem, że Carl darzył swego syna głęboką miłością i pragnął gorąco pojednać się z Dylanem”, ten z największym trudem powstrzymał łzy, które cisnęły mu się do oczu.

Przez kościół przeszedł niespokojny szmer głosów. Maddie mocniej ścisnęła dłoń Dylana. Zrozumiał jej milczące posłanie. Ufam ci. Będę przy tobie do końca w tym trudnym dniu. Tak w każdym razie odczytał jej gest. A nawet więcej: pragnął go tak odczytać. Jak na człowieka, który od wielu, wielu lat przywykł polegać wyłącznie na sobie, dziwnie zaczynał się uzależniać od jej wsparcia. Boże, ratuj!

Podczas krótkiej ceremonii na cmentarzu oddział rezerwistów

uhonorował sędziego dwudziestoma dwoma salwami karabinowymi, a dowódca wręczył Dylanowi amerykańską flagę. Na zakończenie ceremonii sprowadzony specjalnym samolotem z San Antonio zespół kobziarzy odegrał żałobną pieśń. Na niebie jasno świeciło chylące się ku zachodowi słońce. Nawet pogoda składała hołd odchodzącemu sędziemu.

Po skończonym obrzędzie Dylan poprowadził Maddie w kierunku czekającej limuzyny. Hart O'Brien, szepnąwszy coś do żony, pospieszył za nimi. Kiedy zawołał Dylana po imieniu, ten stanął i obejrzał się za siebie. Niewielka grupa żałobników zdążyła się już rozproszyć.

- Musimy pogadać - powiedział Hart.

- Tutaj? - zdziwił się Dylan.

- Może wsiądźmy do limuzyny. W środku będzie można spokojnie porozmawiać.

- O co chodzi? - zagadnęła Maddie.

Hart wskazał otwarte drzwi auta. Dylan przepuścił Maddie, nim sam wsiadł do limuzyny, a na końcu wsunął się Hart, który zamknąwszy drzwi, zajął miejsce naprzeciw nich.

- Postanowiłem zawierzyć co do ciebie własnemu instynktowi - odezwał się Hart. - Oraz mojej żonie, która powiada, że skoro Maddie obdarzyła cię zaufaniem, to musisz być w porządku. - Na wargach Harta igrał lekki uśmiech. - Dowiedziałem się, że próbujesz węszyć na własną rękę. Lepiej będzie, jeżeli zostawisz to policji. Bo możesz się w coś wpakować, a na dodatek narazić Maddie na niebezpieczeństwo.

- Znajdźcie zabójcę, a ja chętnie się wycofam - odrzekł Dylan. - Ale na razie...

- A gdybym obiecał, że będziesz informowany o postępach

śledztwa? - wtrącił O'Brien. - Że będziemy ci mówić o wszystkim, co odkryjemy? Czy wtedy przestaniesz się bawić w prywatnego detektywa?

- Mam to rozumieć jako konkretną propozycję?
- Mam oficjalną zgodę komendanta Terry'ego - zapewnił Dylana

Hart.

- Czyli już nie jestem podejrzanym?
- Nie, zresztą nigdy nie byłeś. W każdym razie jeśli chodzi o policję.

Było oczywiste, co ma na myśli. Policja nie ma przeciwko niemu żadnych dowodów, tym niemniej w oczach wielu mieszkańców Mission Creek jest nadal pierwszym podejrzanym.

- Powiedz, co wiecie, a ja się zastanowię - oświadczył.

Hart skinął głową.

- Dwie rzeczy. Po pierwsze, Erica Clawson przypomniała sobie, że zaraz po tym, jak wyszła na papierosa, zanim jeszcze odkryła zwłoki, na bliższym parkingu widziała człowieka wsiadającego do samochodu. A po drugie, z policyjnego laboratorium zginęło narzędzie zbrodni.

- Ciekawe - skomentował Dylan. - Ale czy zniknięcie rewolweru coś naprawdę zmienia? Skoro został zidentyfikowany jako narzędzie zbrodni, ale nie znaleziono na nim odcisków palców, to po co ktoś miałby go wykradać? A zeznanie Eriki nic nie da, dopóki dziewczyna nie rozpozna człowieka, którego rzekomo widziała.

- Może coś sobie jeszcze przypomni. W trakcie składania zeznań była bardzo zdenerwowana - zauważył Hart. - Ale w tej chwili zajmuje nas głównie zniknięcie rewolweru. O tym, że na broni nie stwierdzono odcisków, wiedzieli tylko ludzie z wewnątrz; nie podaliśmy tego do

publicznej wiadomości. Jak również tego, że Terry zarządził zdjęcie odcisków dłoni, które są co prawda mniej precyzyjne, niemniej pomagają często zidentyfikować przestępcę.

- Czy podejrzewacie, że broń wykradł któryś z funkcjonariuszy? - spytała Maddie.

- Na to wygląda. Albo jakiś szczur zachował się z ostatniego pogromu, albo skorumpowali kogoś nowego. Tak czy inaczej nie spocznę, dopóki go nie zdemaskuję - zapewnił ich Hart.

- A wracając do odcisku dłoni. Czy udało się go zdjąć? - spytał Dylan.

- Tak. Ale dopiero mając podejrzanego, będzie można dokonać porównania odcisków.

- Dylan - wtrąciła Maddie. - Myślę, że Hart po - winien wiedzieć, kto naszym zdaniem mógł za tyra stać.

Dylan wahał się przez chwilę. Uznał jednak, że skoro Hart mu zaufał, to należy mu odplacić tym samym.

- Masz rację - odparł. Po czym zwrócił się do Harta: - Według nas nie można wykluczyć, że zbrodni dokonano na zlecenie Carmine'a Mercado albo Franka Del Brio.

Hart wytrzeszczył oczy.

- Uważacie, że to mafijna robota?

- Raczej osobista wendetta - uściślił Dylan. - Ponieważ ojciec bronił czterech oskarżonych o spowodowanie śmierci Haley Mercado.

- Przyznaję, że braliśmy taką możliwość pod uwagę. Ale to tylko przypuszczenie, na którego poparcie nie ma najmniejszego dowodu.

- Więc go szukajcie. Albo was w tym wyręcę - zareplikował

Dylan.

- Na razie trzeba zbadać inne ewentualności. Zabójstwa mógł się dopuścić któryś ze skazanych przez sędziego przestępców. Mamy już ich listę, ale trzeba dopiero nad nią popracować, przede wszystkim sprawdzić, czy któryś nie wyszedł ostatnio z więzienia i nie groził sędziemu zemstą. A to musi potrwać.

- Nie macie innych koncepcji? - nie ustępował Dylan.

- Hm - mruknął Hart. - Parę miesięcy temu na polu golfowym znaleziono porzucone niemowlę. Małą Lenę, którą zaopiekowali się Flynt i Josie Carsonowie.

- Co to ma wspólnego z moim ojcem? - Może nic - przyznał Hart.

- Ale dowiedzieliśmy się, że sędzia żywo się jej losem interesował.

- I co?

- Nie wiem, może to czysty zbieg okoliczności, ale dziewczynkę znalazło trzech spośród czterech byłych oskarżonych w procesie Haley. Czwarty w ostatniej chwili zrezygnował z gry, bo musiał nagle wyjechać z miasta.

- Trochę to wszystko jest ciągnięte za uszy - skrzywił się Dylan.

- Może, ale od tego jestem, żeby rozważyć każdą ewentualność - odrzekł Hart.

Po wejściu do domu sędziego Bridgesa, Maddie niezwłocznie sprawdziła, czy wszystko jest przygotowane na przyjęcie gości. Dylan całkowicie zdał się w tej kwestii na nią, a Maddie nie tylko wynajęła firmę, która miała dostarczyć jedzenie, drinki i kelnerów, zadbała o kwiaty i odpowiednią muzykę, ale ponadto obdzwoniła bliższych i dalszych znajomych, nakazując im pod groźbą zerwania stosunków

przyjść na stypę.

Niemniej energicznie spacyfikować Nadine. Zagroziła mianowicie, że jeżeli matka nie przestanie opowiadać o rzekomej zbrodni Dylana, ona przestanie łożyć na utrzymanie jej luksusowego domu. Matka długo będzie się na nią boczyć, ale przynajmniej na pewien czas da jej spokój.

Na stypie zjawilo się całe liczące się towarzystwo Mission Creek. Niektórzy wpadali tylko na kwadrans czy pół godziny, inni na trochę dłużej. Maddie pamiętała, jak na przyjęciu po pogrzebie jej ojca, mimo otepiającego żalu i rozpacz, słuchała z wdzięcznością wspominków o nim, które niejako na nowo przywoływały go do życia. Miała więc nadzieję, że rozmowy z ludźmi, którzy dobrze znali sędziego i będą mieli o nim wiele do powiedzenia, pomogą Dylanowi pogodzić się ze śmiercią ojca. Ktoś mądry powiedział wszak, że nikt naprawdę nie umiera, dopóki inni o nim pamiętają.

Jednakże po paru godzinach zauważyła, że Dylan jest wyraźnie zmęczony, ramiona mu obwisły, powieki chwilami opadają i często spogląda na zegarek. Domyślała się, że od śmierci ojca niewiele sypia, a dzień dzisiejszy był nie tylko długi i wyczerpujący, ale i stanowił dla niego wielkie obciążenie psychiczne. Zaczęła więc sprawnie, choć dyskretnie, pozbywać się zasiedziały ch gości.

W kwadrans później dom opustoszał, tylko kelnerzy kończyli sprzątanie ze stołów. Maddie gorąco podziękowała szefowi firmy, która obsługiwała przyjęcie.

- Spisaliście się na piątkę! - zapewniła go. - Ale mam do pana jeszcze jedną prośbę. A mianowicie, o przyniesienie do gabinetu dzbanka świeżej kawy bez kofeiny. Jeszcze raz dziękuję.

Znalazła Dylana w jadalni. Właśnie zdejmował marynarkę.

- Kelnerzy kończą porządki i niedługo odjadą. Tymczasem moglibyśmy posiedzieć w gabinecie. Poprosiłam pana Bordena, żeby podano nam kawę bez kofeiny. - Świetna myśl! - ucieszył się Dylan, zdejmując krawat i rozpinając kołnierzyk koszuli. - Dosłownie padam z nóg.

Maddie wzięła go pod rękę i poprowadziła do gabinetu.

- Miałeś ciężki dzień - powiedziała. - Usiądź wygodnie i spróbuj się odprężyć.

Dylan padł na kanapę, odchylił głowę do tyłu i przymknął oczy.

- Jestem wykończony - mruknął.

- Źle sypiasz?

Podniósłszy powieki, spojrzał na nią z ukosa.

- Nie potrafię ci powiedzieć, ile razy śniło mi się ciało ojca pływające w stawie. Noc w noc prześladują mnie dziwaczne, surrealistyczne koszmary. Śni mi się czyjś śmiech. Ludzie wytykają mnie palcami. A dwa razy miałem sen, w którym mieszkańcy miasteczka rzucili się na mnie i zlinczowali.

- Och, Dylan, nie możesz dopuszczać do siebie takich myśli! Nikt rozsądnie myślący nie wierzy, że zabiłeś ojca! - zaprotestowała Maddie, biorąc go czule za rękę.

Uścisnął jej dłoń, potem puścił ją i bezradnie potarł skronie palcami. W chwilę później wyprostował się i trzasnął pięścią w kolano.

- Wiem, że go nie zabiłem, ale może mogłem coś zrobić, żeby nie dopuścić do tego, co się stało!

- W jaki sposób? - Odgadła, że najbardziej dręczy go poczucie

winy. Po śmierci ojca też czuła się winna, dopóki nie zrozumiała, że jest to uczucie, jakiego doznaje każdy człowiek po śmierci bliskiej osoby. Rozmyślały o wszystkim, czego nie zdążyliśmy zmarłemu powiedzieć albo dla niego zrobić.

- Gdybym nie zwlekał tyle lat z powrotem, byłbym przy nim, kiedy mnie potrzebował. Zdążyłbym nawiązać z nim normalne, bliskie stosunki i domyślił się, że coś mu grozi. Może sam by się zwierzył ze swoich kłopotów.

- To normalne, że robimy sobie wyrzuty z powodu tego, czego zaniedbaliśmy zrobić.

- Normalne? - powtórzył, mierząc ją surowym spojrzeniem. - Nie możesz sobie wyobrazić, co przeżywam. Wciąż sobie powtarzam, że to moja wina, że gdybym był lepszym synem... - Głos mu się załamał. Gwałtownie odwrócił się do niej plecami.

Oj, niedobrze, pomyślała. Dylan męczy się jeszcze bardziej, niż przypuszczała. Kiedy spróbowała pogłaskać go po ramieniu, otrząsnął się i odsunął.

- Po co tu ze mną siedzisz, zamiast wracać do domu? Też musisz być zmęczona - mruknął.

- Nie chcę zostawiać cię samego.

- A bo co? Myślisz, że bez ciebie nie dam sobie rady?

- Ależ nie. Ja tylko...

- Słuchaj, kochana! - wykrzyknął, obracając się ku niej na kanapie.

- Dostyc mam tego uzalania się nade mną i twoich czułości. Mam tego powyżej uszu!

Poczuła się, jakby wymierzył jej policzek. Patrzyła na niego, nie

mogąc uwierzyć własnym uszom. Zapukano do drzwi i do gabinetu wszedł pan Borden, niosąc srebrną tacę z nakryciem do kawy, którą umieścił na biurku pod oknem.

- Oto kawa, o którą pani prosiła - powiedział. - Za chwilę skończymy sprzątanie i odjedziemy.

Maddie serdecznie mu podziękowała, a gdy pan Borden znikł za drzwiami, podeszła do biurka i nalała sobie filiżankę kawy.

- Napijesz się? - spytała.

- Nie, nie chce mi się pić. Chcę zostać sam.

- Pozwolisz mi skończyć? - spytała.

- Na litość boską, Maddie! Ile razy mam ci powtarzać, żebyś zostawiła mnie w spokoju? Nie możesz napić się kawy u siebie w domu?

Co się z nim dzieje? Dlaczego nagle napadł na nią, wyładowując na niej całą złość, żal i oburzenie? Zastanów się! Pięć minut temu o mało nie rozplakał się na twoich oczach. Zanadto się odsłonił, ujawnił swoją słabość. Mężczyźni strasznie tego nie lubią. Chce się ciebie pozbyć, bo boi się, żebyś nie była świadkiem jego załamania. Dylan Bridges jest jednym z tych mężczyzn, którzy wolą nie wiadomo co, byle nie zdradzić się z własną słabością.

- Już sobie idę - powiedziała, odstawiając kawę. - Chyba rzeczywiście nie jestem ci do niczego potrzebna. - Trzeba odwrócić sytuację. Dać mu do zrozumienia, że to on jest potrzebny tobie. Pozwolić mu odegrać rolę silniejszej strony. - Chociaż nie jestem pewna, jak poradzę sobie bez ciebie.

Podeszła do drzwi, ale tu zawahała się, spoglądając na niego przez ramię. - Myślę, że chciałam zostać z tobą dłużej przez czysty egoizm.

Ponieważ bałam się wracać sama do wielkiego, pustego mieszkania. Nie jestem taka silna jak ty. Nie znoszę być sama, a dziś jest mi smutno, źle i...

- Zostań przynajmniej i wypij kawę - zaproponował. Mówił teraz o wiele łagodniejszym tonem.

- Nie, lepiej nie. Jakoś dam sobie radę. Właściwie to jestem przyzwyczajona do samotności. Tylko że dzisiaj, no wiesz, miałam nadzieję...

Maddie nie wierzyła własnym oczom. Dylan podniósł się i szybkim krokiem przemierzył pokój. Potem objął ją i mocno przytulił. Z cichym westchnieniem ulgi złożyła mu głowę na ramieniu.

- Przepraszam cię, kochanie. To ja zachowałem się jak egoista. Myślałem tylko o sobie. - Objął ją jeszcze mocniej i uspokajającym gestem pogłaskał po plecach.

Kochany Dylan! Teraz on ją pocieszał. Był znowu silnym, opiekuńczym, władcym mężczyzną.

- Chodź, wróć! - Doprowadził Maddie z powrotem do kanapy, posadził, a następnie przyniósł jej filiżankę z kawą. - Proszę, napij się. - Wrócił do biurka i sobie też nalał kawy. - Widziałaś, ilu ludzi przyszło na przyjęcie? - odezwał się po chwili. - Byłem zdumiony. Sądziłem, że prawie nikt się nie zjawi. Widać nie wszyscy uważają mnie za mordercę.

- Nikt tak nie uważa - zapewniła go. Trochę minęła się z prawdą, lecz zrobiła to w dobrym celu, żeby poprawić Dylanowi samopoczucie.

Siedzieli potem długo, pili kawę i rozmawiali, pilnując się jednak, tak on jak i ona, żeby rozmowa nie zesłała na zbyt osobiste tory, a przede wszystkim nie dotknęła przeżyć Dylana. Nim nadeszła północ, zasnęli

oboje ze zmęczenia, na siedząco, na kanapie.

Była druga, kiedy Maddie ocknęła się i stwierdziła, że pół leży, pół siedzi, przytulona do Dylana, z głową wspartą na jego ramieniu. Wstała i przeciągnęła się. Dylan poruszył się przez sen i osunął na kanapę. Maddie podniosła jego zwisające na podłogę nogi, ułożyła je kanapie, a kiedy zdejmowała mu buty, wymamrotał jakieś niezrozumiałe słowa. Na koniec okryła go leżącym na oparciu kanapy miękkim, puszystym afganem.

- Jestem ci wdzięczna za to, że mnie potrzebujesz - wyszeptała, pochylając się, by pocałować go leciutko w policzek. - I za to, że nie przejrzałeś mego małego podstępu.

Ciepła sierpniowa noc dobiegała kresu, kiedy zostawiwszy Dylana pogrążonego w głębokim śnie, wsiadła w samochód i pojechała do domu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zebrała leżące na stole w jej domowym gabinecie papiery do teczki. Do dorocznego pikniku z okazji Święta Pracy zostały już tylko dwa tygodnie. Przygotowania były w pełnym toku. Na szczęście Alice okazała się prawdziwym skarbem. Posiadanie sprawnej i samodzielnej asystentki było dla Maddie szczególnie cenne w obecnej chwili, kiedy poza pracą w klubie wiele czasu poświęcała Dylanowi, odbywając z nim częste wypadki w poszukiwaniu informacji mogących doprowadzić do ujęcia zabójcy jego ojca.

Jednakże dotąd niewiele zdołali się dowiedzieć. Hart dotrzymał słowa i regularnie informował Dylana i Maddie o przebiegu śledztwa, które niestety też nie posuwało się naprzód. Dylana ogarniała narastająca

frustracja, która jednak nie zmniejszała jego determinacji. Mimo ostrzeżeń Harta był zdecydowany prowadzić dalej własne dochodzenie.

Maddie zeszła na dół i postawiwszy teczkę na krześle przy wyjściu z mieszkania, ruszyła w kierunku kuchni, skąd rozchodził się miły aromat świeżo upieczonych bułeczek z cynamonem. Otworzyła drzwi kuchni w momencie, gdy Thelma wysypywała wyjęte przed chwilą z pieca bułki na talerz.

- Dzień dobry - rzekła, wciągając nosem smakowity zapach i siadając przy stole. - Z jakiej okazji postanowiłaś mnie uraczyć na śniadanie świeżymi bułeczkami z cynamonem?

Odstawiwszy opróżnioną blachę do pieczenia do zlewu, Thelma sięgnęła po dzbanek z kawą, po czym postawiła przed Maddie kubek z parującym płynem.

- Mówisz tak, jakbym nigdy nie piekła na śniadanie bułek.

- Bo tak jest - odrzekła Maddie bez ogródek. - I bardzo dobrze. Sama cię prosiłam, żebyś mi zbyt nie dogadzała. Twoje przysmaki są bardzo kuszące, ale niestety lubią się odkładać w niewłaściwych miejscach. - Maddie poklepała się po biodrach. - I bez tego mam wystarczająco zaokrąglone kształty.

- Hm - mruknęła Thelma, mierząc swą chlebodawczynię taksującym wzrokiem. - Na moje oko kształtów mogą ci pozazdrościć gwiazdy filmowe, i sama dobrze o tym wiesz.

Maddie rozpromieniła się. Thelma umie po matczynemu podbijać jej bębenka, prawiąc komplementy, których skąpiła Maddie własna matka. Nadine nigdy nie omieszkała zauważyć i wytknąć córce, jeśli ta przybrała na wadze.

- Co słyhać u Dylana? - zagadnęła Thelma.
- Wszystko w porządku. Dlaczego pytasz?
- Z ciekawości. Liczyłam, że któregoś dnia zastanę go tutaj rano.

Maddie rozdziawiła usta.

- A więc to tak? To dla niego te bułeczki? - Myślałaś, że nie zauważyłam, jak się do siebie czulicie? Od pogrzebu sędziego nic tylko rozbijasz się z nim po mieście i okolicach. Więc sobie kombinowałam, że prędzej czy później zostanie na noc u mojej Maddie.

- Nie mam zwyczaju iść z mężczyzną do łóżka po dwóch tygodniach znajomości - wyniośle zauważyła Maddie.

Napiwszy się kawy, ułamała i włożyła sobie do ust kawałek cynamonowej bułki.

- Z tego, co wiem, nie masz zwyczaju iść z mężczyzną do łóżka nawet po dwóch latach znajomości - zrewanżowała się Thelma. - Ale tym razem, to co innego. Dylan nie przypomina facetów, którzy do tej pory przewijali się przez twoje życie.

- Masz rację, z nim jest inaczej. Łączy nas przyjaźń.

- I jeszcze coś.

- Nieprawda! To nie żaden romans - prychnęła Maddie.

- Na razie. Ale to tylko kwestia czasu. Zakochujesz się w nim coraz bardziej. Nie wypieraj się!

- Wcale nie. Owszem, bardzo Dylana lubię, ale nie zamierzam wdawać się z nim w romans ani, tym bardziej, zakochiwać się w nim. Oboje nie jesteśmy stworzeni do stałych związków. Po prostu na razie jesteśmy sobie potrzebni. Wyłącznie jako przyjaciele.

- Tak czy inaczej, pamiętaj, żeby się zabezpieczyć, kiedy będziecie

się kochać, - Thelma położyła bułeczkę na talerzyku i podsunęła go Maddie. - Żebyś nie skończyła z dzieckiem, ale bez męża. Co pewnie zdarzyło się matce małej Leny.

- Thelma, na litość boską, jestem dorosła, nie mam szesnastu lat! Wiem, jak się zabezpieczyć przed niechcianą ciążą!

- A wracając do małej Leny...

- Tu cię mam! - przerwała jej Maddie. - Język cię świerzbi, żeby mi opowiedzieć jakąś pikantną ploteczkę, rozpowszechnianą przez niezmordowaną agencję gospodyń domowych, która zdaje się dysponować lepszymi informacjami niż wszystkie redakcje lokalnych gazet razem wzięte.

- Mamy po prostu dociekliwe umysły i interesujemy się naszymi bliźnimi, jak na dobre chrześcijanki przystało - wyniośle odparła Thelma.

Maddie uśmiechnęła się wesoło. Ploteczki potrzebne były Thelmie jak powietrze; bez nich nie mogłaby żyć.

- Więc chcesz usłyszeć, co mam do powiedzenia, czy nie?

Maddie skinęła głową.

- Otóż prywatny detektyw wynajęty przez czterech panów, którzy na polu golfowym znaleźli porzucone niemowlę, otóż ten detektyw odkrył na podstawie wyników badania krwi małej, że dziewczynka cierpi na tak zwaną talasemię.

- Mmm - mruknęła Maddie, mając usta zapchane kolejnym kawałkiem smakowitego ciasta.

- Na wypadek, gdybyś nie wiedziała, co to takiego, mogę ci powiedzieć, iż jest to szczególnie rodzaj anemii, występujący u osób pochodzących z krajów śródziemnomorskich. Co oznacza, że któreś z

rodziców Leny jest śródziemnomorskiego pochodzenia. Może włoskiego.
No i co ty na to?

- Interesująca wiadomość.

- Jeżeli Lena jest dzieckiem któregoś z Mercadów albo tego drania Franka Del Brio, to lepiej żeby została na zawsze u Flynta i Josie Carsonów. - Thelma naląła sobie kawy i zasiadła przy stole naprzeciw Maddie. - A jeśli Dylan nie przestanie wścibiać nosa w sprawy włoskiej mafii, może sobie napytać poważnych kłopotów, albo i skończyć jak jego ojciec.

- Skąd wiesz, że Dylan... - zaczęła Maddie. - Głupie pytanie! Jak byś mogła o czymś nie wiedzieć! Dziwię się doprawdy, dlaczego policja nie zwróci się do was z prośbą o pomoc w śledztwie, skoro macie najlepszą siatkę szpiegowską w mieście.

Thelma wybuchnęła tubalnym śmiechem.

- Mam jeszcze jedną ciekawą wiadomość, ale wolę się nie narażać na kolejne złośliwości.

- No nie gniewaj się, to miał być komplement. Powiedz, o co chodzi. Chyba nie chcesz, żeby wszyscy prócz mnie znali najnowsze plotki.

- No dobrze - udobruchała się Thelma. - Otóż badania DNA wykluczyły kolejnego podejrzanego o ojcostwo.

- Kogo?

- Doktora Michaela O'Daya. Następnym w kolejce jest Tyler Murdoch, ale nie sądzę, żeby to on zrobił dziecko. - Chcesz powiedzieć, że domyślasz się, kto jest ojcem Leny?

- Z tego, co słyszałam, inni potencjalni kandydaci skłonni są

uważać, że dumnym tatusiem może być Luke Callaghan. A Luke Callaghan, jak pewnie wiesz, zniknął bez wieści.

- No, no - westchnęła Maddie, w zadziwieniu kręcąc głową. - Zaczynam podejrzewać, że mnie i Dylanowi łatwiej będzie wykryć sprawcę zabójstwa sędziego, niż policji rozwiązać zagadkę pochodzenia małej Leny.

- Kto wie, czy te dwie sprawy jakoś się z sobą nie wiążą - oświadczyła Thelma, wiele mówiącym gestem rozkładając ręce i podnosząc wysoko brwi.

- Jesteś już drugą osobą, która sugeruje, że zabójstwo sędziego może mieć jakiś związek z porzuconym dzieckiem. - Maddie przechyliła się przez stół i spojrzała Thelmie prosto w oczy. - Ale na czym ten związek miałby polegać?

- Tego nie wiem. - Thelma dopiła kawę i wstała. - Może i nie ma żadnego związku. Ale z drugiej strony, kto wie?

Maddie szykowała się, żeby coś powiedzieć, kiedy zadzwonił telefon.

- Tu rezydencja pani Delarue - powiedziała Thelma, podnosząc słuchawkę umieszczonego na ścianie telefonu. - Tak, jest. Już ją proszę. - Zasłaniając ręką słuchawkę, szepnęła: - To Dylan.

Maddie poderwała się z krzesła, otrzepała palce z okruszyn i złapała słuchawkę, robiąc jednocześnie minę do nagle rozpromienionej Thelmy. - Halo?

- Cześć, Ruda! Mogłabyś wyrwać się z biura w porze lunchu i poświęcić mi parę godzin?

- Jasne. Mogę dzisiaj zrobić sobie dłuższą przerwę na lunch. - Była

to jawna nieprawda, Maddie miała mnóstwo zaległej roboty, ale skoro Dylan prosi, skoro jej potrzebuje, nie może go zawieść.

Kolejny raz poprosi Alice, by się wszystkim zajęła. Zanotowała sobie w pamięci, aby niezawodnej asystentce wypłacić premię z własnej kieszeni.

- A co się dzieje?

~ Porozumiałem się z prawnikiem ojca Dennisem Barberem i umówiliśmy się na spotkanie w celu odczytania testamentu.

- Jeżeli chcesz, żebym była przy tym obecna, to umówmy się na miejscu, powiedzmy o...

- Nie, wolałbym przyjechać po ciebie, a potem moglibyśmy zjeść razem późny lunch. Odpowiada ci?

- Znakomicie.

Maddie wiedziała, że Dennis Barber od dawna chciał się z Dylanem umówić dla odczytania i uwierzytelnienia testamentu, lecz Dylan stale odkładał sprawę na później. Mówił, że nie czuje się na siłach. Maddie dobrze go rozumiała. Pamiętała, jakim ciężkim przeżyciem było dla niej otwarcie testamentu ojca, mimo iż dowiedziała się z niego, że Jock Delarue zapisał jej swój niemal cały wielomiliardowy majątek. Odczytanie testamentu niejako przypieczętowało jego śmierć.

- Więc przyjadę po ciebie o pierwszej - oświadczył Dylan. - Bardzo ci dziękuję. Maddie odwiesiła słuchawkę. .

- Wybieramy się na długi lunch z Dylanem, no nie? - zagadnęła ją Thelma.

- Słuchaj, Thelma, nie posuwaj się za daleko! Nie jesteś osobą niezastąpioną!

- Ha, ha! Właśnie że jestem, i dobrze o tym wiesz! - zaśmiała się rubaszna służąca.

- Jesteś niemożliwa! Ale chcę, żebyś wiedziała, że wybieramy się z Dylanem do kancelarii Dennisa Barbera, który ma otworzyć testament sędziego Bridgesa.

- To dla Dylana i dobrze, i niedobrze.

- Co masz na myśli? Co może być w tym niedobrego?

- Sędzia zostawił mu pewnie cały swój majątek, i w tym sensie mówię, że to dla niego dobrze. Ale z drugiej strony fakt, iż jest jedynym spadkobiercą, podsyca wysuwane przeciw niemu podejrzenia.

- Co za głupstwa! Nikt nie uwierzy, że Dylan, który jest milionerem, zabił ojca dla pieniędzy, którego majątek jest o wiele skromniejszy.

- Ach, więc Dylan jest milionerem! - zaciekawiła się Thelma. - Słyszałam, że jest cholernie bogaty, ale teraz wiem już na pewno.

- Spryciara z ciebie. Wiedziałaś, jak mnie podejść, żeby wyciągnąć potrzebną ci wiadomość - zaśmiała się Maddie.

- Niczego z paniusi nie wyciągałam - zaprotestowała Thelma, robiąc minę niewiniątka. - Czy to moja wina, że broniąc Dylana jak lwica, panienka wspomniała mimochodem, ile jest wart? - Chodzi mi o to, że nawet jeżeli sędzia wszystko mu zapisał, policja nie może tego potraktować jako motywu zbrodni.

- Pewnie, że nie. Ale ludzie i tak będą gadać. Wspomnisz moje słowa. - Dostrzegłszy jednak niepokój na twarzy Maddie, dobra kobieta szybko dodała:

- No i trudno, nic na to nie poradzisz. Więc nie zamartwiaj się po

próżnicy. Niech sobie gadają, najlepiej nie zwracać na to uwagi.

- Mam nadzieję, że nie dotrą do niego nowe plotki. Jest mu wystarczająco ciężko po tym, co spotkało sędziego, żeby jeszcze musiał wysłuchiwać idiotycznych spekulacji.

- I ty mówisz, że Dylan Bridges nie jest dla ciebie niczym więcej jak przyjacielem? Posłuchaj samej siebie! Bronisz go, jakby chodziło o twoje własne życie. Mów sobie, co chcesz, a ja wiem swoje. Zakochałaś się w nim po uszy.

Dennis Barber zakończył odczytywanie testamentu Carla Bridgesa, lecz Dylan siedział nadal nieruchomo ze wzrokiem wbitym w podłogę. Dennis odchrząknął, lecz Dylan nie zareagował. Maddie miała nadzieję, że Dennis da Dylanowi czas na oswojenie się z wiadomością, iż ojciec zapisał mu cały majątek

- który tylko nieznacznie przewyższał przewidywania Maddie, lecz mieścił się w granicach możliwości dobrze zarabiającego sędziego, umiejętnie lokującego pieniądze.

- Czy ma pan jakieś pytania? - odezwał się Dennis. Dylan podniósł na niego wzrok i zrobił przeczący ruch głową.

- Wobec tego - rzekł prawnik, otwierając szufladę - przekazuję panu klucze do depozytowej skrytki bankowej pańskiego ojca. Przesłałem już do naszego oddziału Banku Federalnego wiadomość, że zgodnie z wyrażoną w testamencie wolą zmarłego przekazuję panu jej zawartość.

Dylan wziął klucze z rąk prawnika.

- Jest pan konsygnatariuszem skrytki? - zapytał.

- Zgadza się.

- Czy po śmierci ojca sprawdzał pan jej zawartość?

- Nigdy do niej nie zaglądałem. Zostałem konsygnatariuszem tylko w jednym celu: żeby przekazać panu jej zawartość.

- Policja nie pytała pana, co się w niej znajduje?

- Owszem, zadano mi takie pytanie. Odparłem, że o ile mi wiadomo, oprócz papierów wartościowych oraz osobistych dokumentów, skrytka nie zawiera nic szczególnego prócz kopii testamentu i... osobistych pamiątek po nieżyjącej żonie sędziego, takich jak pierścionek zaręczynowy, obrączka ślubna i jej fotografie.

Dylan był cały spięty. Miał zaciśnięte wargi, kamienny wyraz twarzy, nieobecne spojrzenie. Maddie największym wysiłkiem woli powstrzymała się od pogłaskania go po ramieniu.

- Inspektor O'Brien prosił, żebym panu przekazał, że gdyby znalazł pan w skrytce coś, co...

- Najwidoczniej policja nie spodziewa się znaleźć w skrytce istotnych dla śledztwa wskazówek - przerwał mecenasowi Dylan. - W przeciwnym razie wystąpiliby do sądu o pozwolenie na zbadanie zawartości.

- Całkowicie się z panem zgadzam. - Dennis podał Dylanowi dłoń.

- Pozwolę sobie zadzwonić za parę dni. Ale gdyby wcześniej miał pan jakieś pytania, proszę bez wahania dać mi znać.

- Dziękuję panu - powiedział Dylan, ściskając dłoń prawnika. Potem spojrzał spod oka na Maddie i ruchem głowy wskazał drzwi.

Wziąwszy ją pod rękę, wyprowadził z gabinetu i skierował się korytarzem ku windzie. Winda była pełna ludzi, toteż ani on, ani ona nie odzywali się podczas jazdy na parter. Kiedy na koniec wsiedli do samochodu, Maddie spojrzała na Dylana wyczekująco, przekonana, że

teraz się odezwie. On jednak milczał uparcie, siedział nieruchomo za kierownicą i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Dylan? - odezwała się po chwili, nie mogąc dłużej znieść jego milczenia.

- Przepraszam, kochanie. Nie przejmuj się mną. Ja tylko opóźniam to, co i tak muszę zrobić.

Współczucie ścisnęło jej serce. Dylan uzbroił się w maskę twardego, odpornego na wszelkie emocje mężczyzny, której pewnie nikt prócz Maddie nie umiałby przeniknąć. Ona jednak widziała go na wylot. Bał się śmiertelnie własnej reakcji na widok osobistych pamiątek - zdjęć matki, która odumarła go, gdy miał dwanaście lat, i innych drobiazgów, jakie za chwilę miał zobaczyć.

- Będę przy tobie - zapewniła go. - Jeżeli chcesz, mogę przejrzeć za ciebie skrytkę i...

- Dobra, słodka Maddie - powiedział, pochylając się nad nią i końcami palców dotykając jej policzka.

- Jesteś urodzoną pocieszycielką strapionych. A na dodatek robisz wrażenie, jakbyś znała mnie lepiej niż ja sam.

- Już ci mówiłam, że jesteśmy do siebie podobni. Łatwo mi się domyślić, co w danej chwili czujesz, bo na ogół na twoim miejscu czułabym to samo.

- Dam sobie radę z przejrzaniem skrytki. Ale nie pogniewam się, jeżeli będziesz mi w tym towarzyszyła - odparł.

W kwadrans później stali obok siebie w osłoniętej wnęce podziemnych pomieszczeń banku, spoglądając na rozłożone na stole przedmioty wyjęte ze skrytki.

- Mniej więcej to, o czym mówił Dennis - stwierdził Dylan, przeglądając zawartość skrytki, na którą składały się przede wszystkim papiery wartościowe na ponad sto tysięcy dolarów, kopie świadectwa ślubu Le - dy i Carla Bridgesów oraz metryki urodzenia Dylana, tudzież niewielkie pudełko ze zdjęciami.

Dylan rozwiązał mały aksamitny woreczek i wysypał sobie jego zawartość na otwartą dłoń. Maddie ujrzała prostą, skromną obrączkę oraz pierścionek z pięknym jednokaratowym brylantem.

- Mama mówiła mi, że obrugała ojca za to, że się wykosztował na tak drogi pierścionek zaręczynowy - powiedział Dylan. - Pochodziła z ubogiej rodziny i kupno jednokaratowego brylantu uważała za szczyt ekstrawagancji. - Włożył sobie pierścionek na czubek wskazującego palca. - Obiecała, że jak dorosnę i znajdę sobie odpowiednią dziewczynę, da mi dla niej ten pierścionek.

- Jakie to wzruszające! - westchnęła Maddie. Umieściwszy pierścionek i obrączkę na powrót

w aksamitnym woreczku, odłożył go do skrytki, a następnie wysypał z pudełka fotografie, rozkładając je na dokumentach i papierach. Były to głównie czarno - białe zdjęcia rodziców Dylana, lecz uwagę Maddie zwróciło kilka wykonanych profesjonalnie, kolorowych fotografii małego dziecka.

- Mogę się im przyjrzeć? - zapytała, wskazując zdjęcia małej dziewczynki o wielkich niebieskich oczach i ciemnych, kręconych włoskach.

- Też je zauważyłem, ale nie poznaję, co to za dziecko.

Maddie przyjrzała się uważnie fotografiom dziewczynki.

- Jest bardzo podobna do Leny - rzekła po chwili.
- Tej małej, którą parę miesięcy temu porzucono na polu golfowym i którą opiekują się teraz Flynt i Josie Carsonowie.

- Jesteś pewna? - Dylan wyjął jej z rąk zdjęcia.
- Po co ojciec miałby trzymać w skrytce fotografie porzuconej dziewczynki?

- Mnie też to zaciekawiło.
- Jeśli sobie dobrze przypominam, Hart wspomniał kiedyś, że ojciec interesował się losem porzuconej dziewczynki. A znalazło ją trzech spośród czterech mężczyzn, których bronił, gdy byli oskarżeni o spowodowanie śmierci Haley Mercado. No i teraz zdjęcia tego samego dziecka znajdujemy w skrytce bankowej ojca. Kto wie, może między nią i śmiercią ojca rzeczywiście istnieje jakiś związek?

- Może tak, a może to tylko zbieg okoliczności. Sądzę, że nie warto się na tym koncentrować, bo może to być fałszywy trop.

Dylan westchnął i opuścił głowę.

- Na razie zostawię to wszystko w banku - zdecydował.

Powkladał papiery i inne przedmioty z powrotem do bankowej szuflady, jednak z wyjątkiem zdjęć tajemniczej dziewczynki, które włożył do kieszeni marynarki.

W parę minut po opuszczeniu banku wyjął zdjęcia i znów uważnie je obejrzał, marszcząc w zamyśleniu czoło.

- O czym myślisz? - zainteresowała się Maddie.
- Przyszło mi coś dziwnego do głowy. Jednakże nie widzę najmniejszego podobieństwa do ojca. A ty?
- No wiesz, chyba nie podejrzewasz, że twój ojciec był ojcem

Leny?

- Nie, oczywiście, że nie. Tak mi tylko przemknęło przez głowę.
- Chwytasz się byle jakiej poszlaki. To nie ma sensu. Chodź -
powiedziała, biorąc go energicznie pod ramię. - Pojedziemy do restauracji
na późny lunch.

- Hm... No dobrze.

- Co ci się znowu nie podoba? - Nie, nic. Przyszło mi nagle do
głowy jeszcze jedno potencjalne źródło informacji.

- Jakież to źródło?

- Sejf u ojca w domu. Taki typowy staroświecki sejf wpuszczony w
ścianę i ukryty za obrazem. W gabinecie.

- To dlaczego jeszcze do niego nie zajrzałeś?

- Bo nie znam kombinacji cyfr - wyjaśnił. - A zresztą
podejrzewam, że trzymał w nim co najwyżej trochę gotówki i
odziedziczony po wuju stary rewolwer.

- To trzeba zawołać dobrego ślusarza - doradziła Maddie.

- Pomyślę o tym - odparł, biorąc ją pod ramię i prowadząc do auta.

- Ale w tej chwili wolę zjeść lunch z najpiękniejszą dziewczyną w
Mission Creek.

Maddie z zadowoleniem wsunęła się na siedzenie.

- Zabierzesz ją po drodze, czy będzie czekała na miejscu? - spytała
zalognie.

Dylan nachylił się ku niej.

- Wyobraź sobie, że ani to, ani tamto. Siedzi koło mnie i jest tak
blisko, że mogę ją pocałować. - Tu nachylił się jeszcze niżej i lekko
musnął jej wargi.

Miała uczucie, jakby przeszedł ją prąd. Jeżeli nie jest w swoich komplementach szczery, to wolałaby nigdy nie poznać prawdy. Nie ma rady, musi mu zaufać. Bo jeżeli Dylan ją zawiedzie, to już nigdy nikomu nie będzie w stanie zaufać.

Gorące i wilgotne sierpniowe powietrze nie chłodziło nawet podczas szybkiej jazdy. Kiedy jechali w kierunku klubu podmiejską drogą, tuż za nimi pojawił się czarny samochód osobowy z przyciemnionymi szybami.

- Dlaczego ten idiota nie wyprzedza, tylko siedzi mi na ogonie? - zirytował się Dylan, spoglądając w tylne lusterko.

- Ten samochód jedzie za nami od samego banku - oznajmiła Maddie.

- Ja zauważyłem go dopiero parę minut temu. - Dylan zamachał ręką, dając kierowcy z tyłu znak, by go wyprzedził. - Z przeciwka nikt nie nadjeżdża, nie rozumiem, dlaczego...

Czarny samochód gwałtownie przyspieszył i zmienił pas, tak że zrównał się z porsche Dylana, lecz go nie wyprzedził.

- Co on u diabła wyprawia? - złościł się Dylan. Jadący równolegle samochód nagle skręcił w prawo i uderzył w porsche. Dylan głośno zaklął.

Maddie uchwyciła się krawędzi siedzenia. Czy tamten kierowca stracił panowanie nad samochodem? Czy grozi im wypadek?

Dylan nacisnął na gaz i wystrzelił do przodu, zostawiając za sobą czarny pojazd. Ale nie na długo. Już po paru chwilach dziwny wehikuł znów się z nimi zrównał, ponownie uderzył ich w bok, a potem jeszcze raz.

Dylan starał się rozpaczliwie utrzymać samochód na szosie, lecz

kiedy obłąkany kierowca zadał im czwarty, potężny cios, porsche runął w bok przez pobocze, lądując nosem w głębokim rowie.

Pędzący porsche stanął tak gwałtownie, że gdyby nie mieli zapiętych pasów, oboje niechybnie wylądowaliby na przedniej szybie. Nim Dylan zdążył odpiąć pas i spojrzeć, co dzieje się z Maddie, czarny samochód był już daleko, a za chwilę całkowicie zniknął z oczu.

- Kochanie, czy nic ci się nie stało?! - wykrzyknął Dylan, odpinając jej pas i gorączkowo wodząc rękami po ciele Maddie, aby się upewnić czy jest cała i zdrowa.

- Nie... nic nie... chyba nic mi nie jest - wybąkała. - Co to było?

Dylan ujął jej twarz w obie dłonie.

- Bogu dzięki! - wyszeptał. - Na pewno nic ci nie jest?

Ręce mu się trzęsły, a głos drżał z przejęcia, tak był przerażony, czy coś jej się nie stało.

- Na pewno - powtórzyła.

Nieco uspokojony, wypuścił ją z objęć.

- Ten bydlak o mało nas nie zabił - wysapał.

- To nie mógł być wypadek, prawda?

- Nie. Ten facet celowo starał się zepchnąć nas z drogi.

- Ale dlaczego miałby...

Zadzwoił telefon komórkowy Dylana. Zakławszy pod nosem, odpiął go od paska i otworzył.

- Bridges, słucham!

- Jeśli się nie mylę, przed chwilą zdarzył ci się wypadek.

Siedzieli tak blisko siebie, że Maddie słyszała głos mówiącego.

Kiedy Dylan chciał przyłożyć telefon do drugiego ucha, chwyciła go za

rękę i przytrzymała, a sama przysunęła się bliżej, by lepiej słyszeć.

- Kto mówi?
- Ktoś, kto chce ci udzielić dobrej rady.
- Jakiej rady?
- Jak będziesz dalej wtykał nos w nie swoje sprawy i następował

rodzinie na pięty, gorzko tego pożałujesz. I ty, i ta twoja lalunia. Dziś dostałeś tylko małe ostrzeżenie. Następnym razem spotka was coś znacznie gorszego.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Maddie postanowiła zostać w biurze do późna, żeby dopiąć na ostatni guzik przygotowania do wielkiego dorocznego pikniku, który miał się odbyć w najbliższy weekend. Ponadto nie miała ochoty wracać sama do swego wielkiego, pustego mieszkania.

Ostatnie dwa tygodnie nieznośnie się jej dłużyły, a to przez ośli upór Dylana, który po pamiętnym „wypadku”, z którego cudem wyszli cało, i telefonie z pogrózkami uznał, że nie pozwoli jej bawić się dłużej w prywatnego detektywa.

- Nie chcę sprowadzić na ciebie nieszczęścia - oświadczył. - Od dziś działam na własną rękę.

- Ale ja i tak jestem w to wplątana - oponowała.
- I wystarczy.

Przy czym nie tylko wyłączył ją z udziału w ich prywatnym śledztwie, ale całkowicie przestał się z nią widywać. Wszelkie próby odwiedzenia go od tej decyzji natrafiały na zdecydowany opór. Na

początku wpadała do niego do domu, lecz Dylan odmawiał rozmowy i bez pardonu wyrzucał ją za drzwi. Nie odpowiadał nawet na jej telefony, albo rzucał słuchawkę.

Uważał oczywiście, że robi to wszystko dla jej bezpieczeństwa. Ona wszelako, zamiast być mu wdzięczna za troskliwość, czuła się nieszczęśliwa i porzucona. Brakowało jej Dylana jak powietrza.

Nie ma się co oszukiwać! Thelma ma rację, jesteś zakochana! No, może jeszcze nie zakochana, ale na najlepszej drodze do tego, żeby się zakochać. Ale co w takim razie się z nią stanie, jeżeli Dylan nie odwzajemni jej uczucia? Czy potrafi o nim zapomnieć? Nie, będzie zdruzgotana. Musi więc zdobyć jego miłość. Ale jak ma tego dokonać, jak ma go przekonać, że nie jest mu obojętna, skoro się nie widują?

Jedyna nadzieja w tym, że policja wykryje zabójcę sędziego. Niestety, śledztwo najwyraźniej utknęło w martwym punkcie. A Hart powiedział Maddie, iż Dylan nadal sam poszukuje mordercy, nie zważając na ostrzeżenie ze strony mafijnej „rodziny”. Żeby chociaż pozwolił jej w tym uczestniczyć! Czy nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest mu potrzebna?

Maddie głośno ziewnęła. Od długiego czasu źle sypiała, a do tego była przepracowana. Chyba czas wracać do domu. O Dylanie również dobrze może rozmyślać w domu, jak w biurze.

Nagle zza drzwi, z pokoju sekretarki dobiegł ją dziwny hałas, jakby przesuwanego krzesła. Było wpół do jedenastej wieczorem. Oprócz niej w budynku nie było nikogo. Nawet restauracje już zamknięto.

Szmer kroków. A może się przesłyszała? Znow cisza. Może tylko sobie wyobraziła, że coś słyszy?

W nocy klubu strzegło dwóch ochroniarzy. Jeden pilnował wejścia, a drugi siedział w recepcji na dole, obserwując ekran telewizora monitorującego klubowe korytarze. Lepiej dla świętego spokoju zadzwonić i poprosić, by sprawdzili, czy na górze nie dzieje się coś podejrzanego.

Podniosła słuchawkę i nacisnęła numer recepcji. Cisza. Dziwne. Ponowiła próbę. Znowu nic. Nacisnęła dziesiątkę łączącą z miastem, lecz w telefonie nadal panowała martwa cisza. Tylko nie panikuj! Podejdź szybko do drzwi i przekręć klucz w zamku! Potem zadzwonisz do miasta z komórkowego telefonu.

Zerwała się na nogi i z bijącym sercem ruszyła ku uchylonym drzwiom. Zdażyła je zatrzasnąć i już miała przekręcić klucz, kiedy potężna siła otworzyła drzwi, zza których wyłoniła się wielka czarna łapa, a za nią przerażająca twarz w czarnej pończosze. Napastnik błyskawicznym ruchem chwycił ją, obrócił plecami do siebie i unieruchomił jedną ręką, drugą zaś zamknął jej usta, zanim zdołała krzyknąć. Poczowała na szyi gorący oddech.

- Powiedz Bridgesowi, żeby wsiadł w najbliższy samolot do Dallas i więcej tu nie wracał. Bo jak nie, to złożymy ci następną wizytę. Ale wtedy nie skończy się na ostrzeżeniu. Poderżnę ci gardło.

Dylan jechał do klubu, nie zdejmując nogi z gazu. Parę minut temu groźny, stłumiony głos w słuchawce powiedział mu, że jego przyjaciółka, czeka na niego w klubie z ważną wiadomością. Telefon zadzwonił, kiedy Dylan jadł w restauracji późną kolację.

- Coście jej zrobili? - zapytał.
- Sam się przekonaj! - zaśmiał się tamten. Zadzwonił do niej do

biura, ale telefon milczał. Strach podnosił mu włosy na głowie, a usta szeptały gorączkową modlitwę. Boże, nie dopuść do tego, żeby ją skrzywdzili! Słodka, niewinna Maddie wplątana w brudne, ohydne sprawy! Z jego winy. Kolejny raz przynosi jej nieszczęście.

Wyskoczywszy z samochodu przed klubem, pchnął wejściowe drzwi. Zamknięte. Zaczął się dobijać. Po chwili za szybą pojawił się ochroniarz.

- Proszę mnie wpuścić. Maddie... pani Delarue jest w niebezpieczeństwie! Ktoś wdarł się do jej gabinetu. Na litość boską, otwieraj!

Curt Dodd otworzył drzwi. Dylan wpadł do holu. Biegąc w kierunku windy, zawołał do ochroniarza:

- Po drodze wezwałem policję. Poczekaj na nich, a ja jadę zobaczyć, co z nią!

- Niech pan poczeka, nie ma pan broni! - zawołał za nim Dodd, lecz Dylan był już w windzie.

Szybciej, szybciej! Dlaczego nie pobiegł schodami? Wreszcie winda zatrzymała się. Dylan pognał przed siebie korytarzem. Drzwi do gabinetu Maddie stały otworem, a z wnętrza dobywało się przyćmione światło i czyjś stłumiony głos.

Dylanowi krew zawrzała w żyłach na myśl o tym, co może dziać się za drzwiami. Nagle z cywilizowanego człowieka przemienił się w dzikiego samca, gotowego bronić swej partnerki do upadłego. Cichym krokiem czającego się zwierzęcia przeszedł przez pokój sekretarki i zajrzał przez uchylone drzwi do gabinetu.

W mrocznym pokoju, w którym paliła się tylko jedna lampa

osłonięta ciemnym abażurem, ujrzał napastnika w czarnej pończosze na głowie, który jedną ręką trzymał Maddie przed sobą w żelaznym uścisku, a drugą brutalnie ją obmacywał.

- Zobaczmy, jakie smakowite kąski chowasz dla Bridgesa poza tym, co widać gołym okiem - mruczał lubieżnie.

Dylanowi zrobiło się ciemno przed oczami. Nie zważając na to, że nie ma przy sobie broni, wpadł do środka i rzucił się zniechęca na napastnika, który ogłuszony niespodziewanym napadem wypuścił Maddie. Zachwiała się i upadła na podłogę. Bandyta zamierzył się tymczasem na Dylana, który zrobił unik i zadał mu potężny cios, po którym napastnik zgiął się wpół. W chwili jednak, gdy Dylan zamierzał ponowić atak, ktoś z tyłu zdzielił go w głowę. Dylanowi pociemniało w oczach, stracił przytomność i osunął się na ziemię.

Maddie podniosła się z trudem z podłogi.

- Dylan? - wyszeptała.

- Maddie? - odpowiedział jej, z wolna odzyskując przytomność.

Pomogła mu wstać. Przytrzymując go jedną ręką w pasie, drugą delikatnie obmacała jego głowę.

- Ten drugi uderzył cię z tyłu kolbą rewolweru - wyjaśniła.

- Kochanie, jesteś pewna, że nic ci się nie stało? - pytał zaniepokojony. - Kiedy zobaczyłem, jak on cię obmacuje, myślałem, że... Przepraszam cię, kochanie! To wszystko moja wina. - Ale skąd wiedziałeś?

- Dostałem telefon. Myślę, że facet, który wynajął tych dwóch zbirów, zadzwonił do mnie za wcześnie; nie przewidział, że bydlakowi przyjdzie ochota na amory. Nie spodziewał się, że jeszcze ich tutaj

zastanę. Boże, jak ja się o ciebie bałem! - Dylan objął ją ramionami. - W co ja cię wplątałem!

Ktoś zakasłał. Odwrócili się spłoszeni. W drzwiach stał Hart O'Brien.

- No właśnie! - odezwał się Hart. - Sam widzisz, do czego doprowadziłeś, wtrącając się w to, co należy do policji.

- Złapaliście ich? - zapytał Dylan, zamiast się tłumaczyć.

- Jeszcze nie, ale pościg trwa - odparł Hart.

- Jak ich złapiecie, to ja... Maddie zamknęła mu usta ręką.

- Zanim cokolwiek zrobisz, pojedziemy do szpitala, żeby lekarz cię zbadał - oświadczyła.

- Co mu się stało? - zapytał Hart.

- Nic - mruknął Dylan.

- Jeden z bandytów walnął go w głowę kolbą rewolweru - odparła Maddie.

- Czy moglibyście mi wyjaśnić, co właściwie tutaj zaszło? - zapytał Hart. - Powiedziano mi, że zadzwonił Dylan Bridges z wiadomością, iż ktoś zamierza napaść na Maddie Delarue w jej biurze w klubie.

- A czy nie można odłożyć wyjaśnień do czasu, aż Dylan zostanie zbadany przez lekarza? - zaprotestowała Maddie. - Nie ma po co. Nie potrzebuję żadnego lekarza

- bronił się Dylan.

- Masz na ciemieniu gułę wielkości golfowej piłki

- odrzekła Maddie, ponownie obmacując mu głowę. A zwracając się do Harta, dodała: - Zabieram go do szpitala. Pojedziesz za nami?

- Daj spokój, Maddie. Nic mi nie jest.

- Lepiej się nie sprzeciwiaj - poradził Dylanowi O'Brien. - Jeżeli Maddie jest choć trochę podobna do Joan, a myślę, że jest, to i tak postawi na swoim.

Dylan popatrzył na Maddie bezradnym wzrokiem.

- No jeżeli to ci ma sprawić przyjemność, to jedźmy! - rzekł zrezygnowany.

Cztery godziny później Maddie i Dylan weszli razem do dawnego domu sędziego Bridgesa. Hart przydzielił im policjanta w cywilu, który miał jechać za nimi i przez całą noc pilnować domu z ulicy. Hart chciał wyznaczyć Maddie osobną ochronę, ona jednak oświadczyła, że zostanie na noc u Dylana, u którego stwierdzono lekkie wstrząśnienie mózgu.

- Ile razy mam ci powtarzać, że nic mi nie jest

- zniecierpliwił się Dylan. - Przestań mnie traktować jak obłożnie chorego.

- Przepraszam, już nie będę - zreflektowała się Maddie.

Musi pamiętać, że Dylan nie znosi jawnej opiekuńczości. Nie może pokazywać, iż wie o istnieniu złańkionego czułości, małego chłopca, jakiego nosi w sobie każdy, nawet najbardziej „męski” mężczyzna. - Nie, kochanie, to ja cię przepraszam. - Dylan czułym gestem zmierzwił jej włosy. Potem rozpostartymi palcami objął tył głowy Maddie i spojrzał jej w oczy. - Nie potrafię powiedzieć, jak jest mi przykro, że cię wciągnąłem w swoje osobiste problemy.

- Sama tego chciałam - odparła. - Do niczego mnie nie zmuszałeś. Sama się napraszałam.

- No i widzisz, na co się narażasz przez swoją dobroć. Na straszne niebezpieczeństwo. - Zbliżył do niej twarz. - Gdyby dzisiaj spotkało cię

coś złego, to...

Przytknęła mu palec do ust.

- Już dobrze. Nic mi się nie stało. Ty naprawdę ucierpiałeś. Ja tylko najadłam się strachu.

- Najbardziej cierpiałem widząc, co cię spotyka z mojego powodu. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Dylan patrzył jej w oczy z taką tęsknotą, że Maddie zadrżała.

- Niepotrzebnie robisz sobie wyrzuty - szepnęła.

- Och, Maddie, jak ja strasznie za tobą tęskniłem! Pocałował ją.

Namiętnie, zaborczo.

Czuła, że omdlewa i rozpływa się, a w najskrytszej części jej ciała rodzi się pożądanie. Nigdy z żadnym mężczyzną nie przeżywała czegoś podobnego. To, co ją ogarnęło, było czystą nieopanowaną chucią. Chciała, by Dylan wziął ją natychmiast, tak jak stała. Bez żadnych wstępów. Jak prymitywny samiec.

Pocałował ją jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze. Jego usta na zmianę przywierały do jej ust albo się odrywały. Okrywały jej szyję i dekolt pocałunkami, potem znów całowały jej usta. Język okręzał jej wargi i sięgał w głąb. Kiedy zaczęła drżeć, Dylan przyciągnął ją jeszcze bliżej i obdarzył pocałunkiem, który pozbawił ją tchu.

W jej trzewiach wybuchła płomienna żądza domagająca się natychmiastowego zaspokojenia. Gwałtownym ruchem rozerwała na Dylanie koszulę, aż guziki rozprysły się na wszystkie strony. Pieściła jego pokryty lekkim zarostem tors, szyję, mocowała się z paskiem u spodni. Kiedy Dylan, nie pozostając jej dłużny, zaczął z niej ściągać bluzkę z bawełnianego trykotu, podniosła do góry ręce, aby ułatwić mu zadanie.

Nim zdążyła sobie poradzić z jego spodniami, on tymczasem rozpiął jej stanik. Zrywali z siebie w szaleńczym pośpiechu i ciskali gdzie popadło kolejne części ubrania; slipy Dylana wylądowały na stoliku do kawy, majtki Maddie przefrunęły w drugi kąt pokoju i opadły na dywan koło kanapy. Nareszcie nadzy, w stanie obłąkanego podniecenia, wyzbyci wszelkiej racjonalnej myśli, całowali się, pieścili, dyszeli. Dylan poderwał Maddie z ziemi, by mogła nogami opasać jego biodra. Maddie krzyknęła z niewysłowionej rozkoszy. Gwałtownymi, rytmicznymi ruchami podnosił ją i opuszczał, ciężko dysząc. Maddie zawisała na nim z rękami ciasno oplatającymi jego szyję, ocierając się piersiami o jego tors. Nagle poczuła, że opiera się plecami o ścianę i zdała sobie sprawę, że Dylan przeniósł ich przez pół pokoju. Oparłszy się plecami o chłodny mur, chwyciła Dylana za ramiona i odrzuciła głowę do tyłu, a on zaczął całować jej szyję i zlizywać spływające w dół piersi strużki potu. Czowała nieopisaną rozkosz.

- Maddie... Maddie... - powtarzał nieswoim głosem, mamrocząc erotyczne wyznania, opisujące dosadnie, bez ogródek, co chce z nią zrobić, i co czuje.

Doprowadzona do stanu najwyższego podniecenia, w bliskim bólu oczekiwaniu na spełnienie, jęczała resztkami tchu. Biodra Dylana pracowały coraz szybciej, gwałtownymi ruchami prowadząc ją na sam szczyt. Jeszcze raz, i jeszcze raz, i oto przez jej ciało przebiegł straszliwy dreszcz rozkoszy, niepodobny do niczego, co kiedykolwiek w życiu zaznała. Z jękiem wpiła mu się paznokciami w skórę, czując w sobie gorący, wyzwalający wytrysk. Dylan zadrżał, a potem z cichym jękiem opuścił głowę na jej ramię.

Maddie osunęła się z jego bioder, stając na własnych nogach. On jednak nadal przyciskał ją do siebie, tak że stali dotykając się całym ciałem, połączeni. Kiedy Maddie podniosła ku niemu oczy, Dylan pochylił się nad nią.

- Jesteś cudowna! - szepnął, całując ją kolejny raz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Obudził ją przed świtem. Pragnął jej znowu. Pragnął jej tak rozpaczliwie, że aż go to przerażało. Wczoraj wieczorem stracił nad sobą wszelką kontrolę, kochając się z nią w salonie na dole w nieprzytomnym zapamiętaniu. Po raz pierwszy w swym dorosłym życiu zapomniał o jakimkolwiek zabezpieczeniu. Ale chociaż od tamtej pory upłynęło kilka godzin, zdawał sobie sprawę, że gdyby tamta chwila mogła się powtórzyć, nadal nie umiałby postąpić inaczej.

Pożądał Maddie z nieodpartą siłą, która zmieniała go w prymitywnego samca, całkowicie owładniętego pragnieniem zaspokojenia najpierwotniejszego z instynktów. Leżąc obok niej w łóżku, w tym samym pokoju, w którym mieszkał jako dziecko, a potem dorastający chłopak, spoglądał na tulącą się do niego we śnie kobietę. Spała tak spokojnie. Tak ufnie. Nigdy jeszcze nie odczuwał podobnego pragnienia posiadania kobiety i chronienia jej. W jego stosunku do Maddie nie było nic letniego, dwuznacznego, niepewnego.

Pochylił się i ucałował jej nagie ramię. Maddie westchnęła przez sen. Wpadające przez okno światło pobliskiej latarni i promieni księżyca pozwalało mu ją widzieć. Odsunął kołdrę, odsłaniając jej piersi. Musnął jej szyję czubkami palców. Maddie poruszyła się i westchnęła. Zerwał z niej kołdrę. Leżała teraz przed nim całkowicie naga, piękna jak bogini, a on tymczasem osiągnął stan pełnego pobudzenia. Tym razem jednak zachował się jak dorosły mężczyzna. Szybko wstał z łóżka i pospieszył do łazienki, gdzie w pokrowcu z przyborami do golenia znalazł paczuszkę z trzema prezerwatywami, którą zabierał w każdą podróż. Musiała mieć co najmniej dwa lata.

Kiedy wrócił do pokoju, zobaczył, że Maddie skuliła się w kłębek na środku łóżka. Zapewne było jej zimno. Położywszy się za jej plecami, przyciągnął ją do siebie.

- Maddie?
- Hm.
- Pragnę cię.
- Mmm.

Sięgnąwszy jedną ręką do jej piersi, począł je delikatnie drażnić.

- Dylan? - mruknęła.

Ręka Dylana osunęła się w dół po jej brzuchu, aż po łonowy wzgórek, by następnie wsunąć się między nogi.

- Obudź się, kochanie! - szepnął.

Była już wystarczająco obudzona. Kiedy jednak chciała się ku niemu obrócić, przytrzymał ją.

- Nie, poczekaj - powiedział i rozsunąwszy jej nogi, wziął ją od tyłu. - Jesteś cudowna w środku - westchnął. - Wilgotna i gorąca. - Drżąc

na całym ciele, znów poruszył biodrami, a Maddie odpowiedziała tym samym.

- Kochaj mnie, Dylan! Kochaj!

Nie potrzebował dalszej zachęty. Znów porwało ich namiętne zapamiętanie. Jednak w pewnej chwili Maddie zajęczała, wyraźnie się czegoś domagając.

- Co mam zrobić? - zapytał.

- Wiesz co - odrzekła.

- Tak, wiem.

Wsunął jedną rękę pod jej ciało, by móc pieścić piersi, drugą zaś sięgnął ponownie do łonowego wzgórką. Ciało Maddie wyprężyło się w łuk. Dylan przyśpieszył rytm, a jednocześnie, odsunawszy ustami włosy z jej szyi, czubkiem języka wodził po zwilgotniałej, słonawej skórze. Aż wreszcie Maddie z głuchym westchnieniem wygięła się do tyłu, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz rozkoszy, po którym nastąpiły kolejne. Długo jeszcze leżeli tak w półśnie, aż wreszcie Maddie odwróciła się ku niemu i oświadczyła:

- Uwielbiam kochać się z tobą.

- Ja też - odparł, całując ją w czubek nosa.

Wtuliła się w niego i położyła głowę na jego ramieniu. Parę minut później pogrążyli się oboje w głębokim śnie.

Kochali się jeszcze raz, kiedy nastał dzień, a potem jeszcze raz, biorąc wspólnie prysznic. Teraz Dylan naciągał na siebie zdjęte z półki w garderobie dzinsy i przypatrywał się Maddie, która stała obok, owinięta kąpielowym ręcznikiem. - Moje ubranie zostało na dole - przypomniała mu. Dylan zerwał z wieszaka i rzucił jej cienką, batystową koszulę.

- Łap, kochanie! Musisz się nią zadowolić, dopóki nie pozbieramy twoich rzeczy.

Chwyciła koszulę w locie.

- Czuję się rozkosznie zmęczona i obolała - oświadczyła z filuternym uśmiechem.

Zlustrował ją spojrzeniem od góry do dołu.

- Czyżbyś była wyczerpana?

Zdjęła z siebie kąpielowy ręcznik. Dylan rzucił jej pożądlive spojrzenie. Maddie zachichotała.

- Przypominasz sobie, kiedy ostatni raz kochałeś się cztery razy w ciągu ośmiu godzin? - zapytała.

- Jeżeli natychmiast nie włożysz czegoś na siebie, z czterech zrobi się pięć razy - oświadczył.

Maddie leniwym ruchem wciągnęła na siebie męską koszulę, której kraj sięgał do połowy ud, a rękawy zakrywały ręce. Zapięła guziki i zawinęła rękawy.

- Gotowa. Tak lepiej?

- Może nie lepiej, ale na pewno znacznie mniej prowokacyjnie. -

Przyciągnął ją do siebie. Patrząc jej z bliska w oczy, powiedział:

- Odkąd skończyłem dwadzieścia lat, jeszcze nigdy nie byłem tak napalony jak teraz. I jeszcze nigdy żadnej kobiety nie pożądałem tak jak ciebie.

Maddie z westchnieniem opuściła powieki.

- Ja też - odparła.

Pocałował ją w czoło, ucałował jej zamknięte powieki, na koniec usta. - Nigdy nie pożądałaś żadnej kobiety tak jak mnie? - zażartował.

- Wariat! - Roześmiała się. - Dobrze wiesz, co chciałam powiedzieć. - Objęła go za szyję. - Nigdy dotąd z żadnym mężczyzną nie było mi tak dobrze jak z tobą.

- Pasujemy do siebie.

- Dylan?

- Tak?

- Chciałam ci...

Zadzwoniono do drzwi. Dlaczego akurat teraz? W chwili, gdy była zdecydowana wyznać Dylanowi miłość? Bo niezależnie od tego, że w łóżku było z nim cudownie, czuła do Dylana o wiele więcej niż fizyczny pociąg. Kochała go z całej duszy, jak jeszcze nigdy żadnego mężczyznę.

- Pójdę sprawdzić, kto to - rzekł.

- A ja tymczasem pobieram swoje rzeczy - zaproponowała.

- Dobra myśl. A przy okazji bądź łaskawa pobierać moje ubrania.

Maddie skinęła głową. Kiedy Dylan znikł za drzwiami, poszła do łazienki, znalezionym na półce grzebieniem rozczesła wilgotne, zmierzwione włosy, po czym przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Miała opuchnięte wargi, mały siniak na szyi i podrapany wskutek kontaktu z podbródkiem Dylana, mocno zaczerwieniony policzek. Podobne zadrapania zauważyła już wcześniej na biuście i po wewnętrznej stronie ud.

Z przyjemnością oglądała widome ślady przeżytej rozkoszy. Nie wiedziała dotąd, że coś tak cudownego jest możliwe. Zakreśliła się z radości przed lustrem. Jestem zakochana! Jestem zakochana! Jestem zakochana!

Napawając się nadal buzującym w sercu szczęściem, wyszła boso z

łazienki i zeszła na parter, do holu. Tu zatrzymała się, słysząc odgłosy rozmowy. Dylan rozmawiał z Hartem. Cholera! Nie była pewna, gdzie są. Miała nadzieję, że Dylan nie wprowadził Harta do salonu, gdzie leżały ich ubrania. Podeszedłszy na palcach do drzwi salonu, zdała sobie sprawę, że głosy mężczyzn dochodzą z gabinetu.

Odetchnęła z ulgą. Gdyby Hart domyślił się, że Maddie i Dylan zostali kochankami, nie omieszkałby podzielić się tą nowiną z Joan i Maddie musiałaby się przed swoją najlepszą przyjaciółką z wszystkiego wypowiadać. Oczywiście nie zamierzała przed nią niczego ukrywać. Powie jej, ale jeszcze nie teraz. Na razie wołała swoje niespodziewane szczęście zachować tylko dla siebie.

Zakradła się cicho do salonu. Odszukanie wszystkich części ich garderoby zajęło niemało czasu. Stwierdziwszy, że odnalazła wprawdzie oba buty Dylana, ale tylko jeden swój pantofel, odłożyła naręcze ubrań i innych akcesoriów na kanapę. Długo trwało, nim czołgając się po dywanie na czworakach, odkryła brakujący pantofel na stojaku z gazetami. Zdumiewające, jakim cudem zdołał tam trafić!

W chwili, gdy obładowana stosem ubrań, na czubku którego umieściła obie pary butów, weszła na schody, z drzwi gabinetu wyłonił się Hart. Tuż za nim wybiegł Dylan, wołając:

- Hart, poczekaj!

Było już jednak za późno.

- Dzień dobry, Maddie! - wesoło powitał ją Hart. - Ładnie ci w tym stroju. Czy to najnowsza moda?

Przytrzymując podbródkiem i obiema rękami piętrzący się w jej ramionach stos odzienia, Maddie ostrożnie obróciła się na schodach, by

stawić czoło mężowi swej najlepszej przyjaciółki.

- Jesteś bardzo dowcipny.

Hart uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem.

- Wpadłem, żeby powiedzieć, że obaj bandyci, którzy na was wczoraj napadli, zostali zatrzymani - powiedział. A zwracając się do Dylana, dodał: - Podczas ucieczki rozbili samochód. Obecnie obaj znajdują się w szpitalu. Ich stan jest poważny.

- Och! - powiedziała Maddie, która nie bardzo wiedziała, jak na tę wiadomość zareagować.

- Przykro mi to mówić, ale jeżeli zleceniodawcami są ludzie, których o to podejrzewamy, obaj bandyci raczej dadzą się zamknąć, niż puszczą parę z gęby.

- Hart uważa, że powinnaś mieć osobistego ochroniarza - uzupełnił Dylan. - Całkowicie się z nim zgadzam.

- Co takiego? - Robią sobie żarty czy co? Ale nie. Mieli obaj poważne twarze. Na pewno nie żartują. - Myślałam, że policja zapewniła nam ochronę.

- Nie stać nas na oddelegowanie odpowiedniej liczby funkcjonariuszy dla całodobowej ochrony ciebie i Dylana. A jeżeli Dylan nie zniknie natychmiast z Mission Creek, groźby powtórzą się, nie mówiąc już o czymś znacznie gorszym.

- Wracasz do Dallas? - spytała Maddie, zwracając się do Dylana.

- Nie, ale...

- Słusznie. Nie możemy dać się zastraszyć.

- My nie możemy? - z lekkim uśmieszkiem powtórzył Dylan.

- Tak, ja i ty.

- Nie kłóć się z nią - wtrącił się Hart. - Po prostu znajdź jej ochroniarza.

- Daj nam znać, jak coś się wyjaśni w sprawie zatrzymanych - poprosił Dylan, odprowadzając Harta do drzwi. - Maddie będzie przeciw nim zeznawać. Mam nadzieję, że staną przed sądem. Byłoby dla nich lepiej, gdyby nie dostali się w moje ręce.

- Rozumiem, co czujesz - odparł Hart. - Czułbym to samo, gdyby ktoś zagroził bezpieczeństwu Joan.

Zamknawszy za nim drzwi, Dylan odwrócił się i ujrzał Maddie nadal stojącą w holu.

- Ubiorę się i zrobię śniadanie - powiedziała.

- Powinienem odwiedzić cię do domu i być przy tobie, dopóki nie będziesz miała własnego ochroniarza.

- A ty?

- Poradzę sobie bez ochroniarza.

- A ja sobie nie poradzę? - oburzyła się.

- Po tym, co się wczoraj stało? Chyba żartujesz?

- Jeśli dobrze pamiętam, to nie ja dostałam wczoraj po głowie.

Dylan skrzywił się niezadowolony.

- Nie sprzeczasz się, tylko idź się ubrać! - mruknął.

- A ty? - spytała, spoglądając znacząco na jego nagi tors i białe nogi. - Zamierzasz jechać w tym stroju?

- Widzę, że z rana lubisz być kłótniwa.

- Tylko kiedy mi się ktoś sprzeciwi.

- Tylko kiedy jej się ktoś sprzeciwi! - parsknął Dylan. - Jesteś nieoceniona.

- To niezupełnie tak - zaprzeczyła. - Oceniają mnie na trzy i pół miliarda dolarów.

Dylan wyjął jej z rąk stos ubrań i rzucił na podłogę. Potem chwyciwszy ją w ramiona, przytknął nos do jej noska.

- Mogą cię oceniać, jak chcą, ale dla mnie jesteś bezcenna.

Łzy wzruszenia napłynęły Maddie do oczu. Oby nie łudził jej miłymi słówkami. Tak bardzo chciała mu wierzyć.

- Mówisz tak, bo chcesz dobrać mi się do majtek - powiedziała kapryśnie.

Dylan zadarł jej koszulę i powiodł ręką po nagich pośladkach.

- Nie masz na sobie majtek.

- Ach tak? - mruknęła, zaglądając mu w oczy. - Tym lepiej dla ciebie.

Na twarzy Dylana pojawił się szelmowski uśmiech. Popychając ją przed sobą, dotarł z posuwającą się tyłem Maddie do salonu i przewrócił ją na kanapę. Kiedy zrzucił dzinsy, Maddie wyciągnęła do niego ręce. Nie wróciła z Dylanem do swego mieszkania ani nie pojechała do biura. Spędziła dzień w ramionach kochanka.

O jedenastej zjedli na zimno późne śniadanie, a o trzeciej po południu pożywili się posmarowanymi pastą z fistaszków krakersami. Wreszcie około czwartej Dylan wziął prysznic, włożył sportowe spodnie i takąż koszulę. Podczas gdy Maddie prasowała zmiętą wskutek wczorajszych przeżyć spódnicę, usiadł przy telefonie z zamiarem zidentyfikowania najsolidniejszej agencji ochroniarskiej w Teksasie i zapewnieniu Maddie najlepszego ochroniarza.

Nie zamierzał uciekać do Dallas z podwiniętym ogonem. Ale nie

mógł też narażać życia Maddie na niebezpieczeństwo. Spoglądając na podany mu przez dallaskiego prawnika numer telefonu, zdał sobie ze smutkiem sprawę, że dziedziczka największej fortuny w Teksasie, która od lat obywatela się bez osobistej ochrony, wyłącznie z jego winy znalazła się oto w sytuacji zagrożenia i potrzebuje profesjonalnego opiekuna. Ale zanim zadzwoni, powinien z nią to omówić. Może będzie miała jakieś specjalne wymagania. Swoje preferencje znał. Wolałby, by ochroniarz Maddie był kobietą.

Seks rzucił ci się na głowę, powiedział sobie w duchu. Nie możesz znieść myśli, że jakiś obcy facet będzie się koło niej kręcił.

W chwili gdy miał pójść poszukać Maddie, w gabinecie zadzwonił telefon. Wrócił więc, usiadł przy biurku i podniósł słuchawkę. - Dylan Bridges, słucham!

- Cześć, Bridges - odezwał się stłumiony głos. Mięśnie mu stężały. Kolejna pogroźka?

- Czego chcesz? - spytał ostro.

- Powiem szybko, na wypadek gdyby telefon był na podsłuchu.

- Mój telefon na podsłuchu? Kto mówi?

- Nieważne. Mogę spowodować, że narzędzie zbrodni, które znikło z policyjnego laboratorium, wróci na swoje miejsce.

- To ty wykradłeś rewolwer?

- Nie gadaj, tylko słuchaj. Jeżeli chcesz odzyskać broń i dowiedzieć się, kto zabił sędziego, możemy zawrzeć układ. Jesteś zainteresowany?

Cholera! Kim jest facet, z którym miałby się układać? Członkiem mafii? Skorumpowanym gliniarzem?

- Tak, jestem zainteresowany - odparł.
- To będzie kosztować.
- Ile?
- Najpierw broń. Chcę za nią pięćdziesiąt tysięcy. Jak wszystko pójdzie bez zmyłki, ułożymy się o cenę za informacje.
- Dobrze. Pięćdziesiąt tysięcy za broń. Gdzie się spotkamy i kiedy?
- Nigdzie. Zadzwoń za pół godziny i powiem, gdzie masz dostarczyć pieniądze. Dziś wieczorem. Jak odbiorę pieniądze, broń wróci na swoje miejsce.
- Jaką mam gwarancję?

Usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Szlag by to trafił! W drzwiach stanęła Maddie.

- Co się stało? Jakaś zła wiadomość? Dylan odłożył słuchawkę.
- Zadzwoił jakiś facet i powiedział, że broń, z której strzelano do ojca wróci do policyjnego laboratorium, jeżeli zapłacę okup.
- Dzwon natychmiast do Harta!
- Nie. Nie chcę faceta spłoszyć. Jeżeli jest tym, za kogo się podaje, to albo sam pracuje w policji, albo ma w policji informatora i zostanie ostrzeżony.
- Co w takim razie chcesz zrobić?
- Poczekać na telefon. Facet ma zadzwonić za pół godziny, żeby wskazać miejsce, gdzie mam zostawić pieniądze. A tymczasem... ale chodź tutaj... a ja tymczasem zadzwonię do... - sięgnął po kartkę, na której miał zapisane nazwę i numer agencji - do agencji Leightona w Houston i poproszę o przysłanie ochroniarza dla ciebie. - Zajrzał Maddie głęboko w oczy. - Może wołałabyś kobietę?

- Kobieta? Nie zastanawiałam się nad tym. Ale chyba tak...

Rzeczywiście lepiej, żeby to była kobieta. Jeżeli ma mnie nie odstępować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, to z kobietą będę mniej skrepowana.

- Też tak myślałem - przytaknął Dylan, wyraźnie zadowolony. - No to do dzieła! Musimy ją mieć od zaraz. Jeżeli ten facet naprawdę się zgłosi i zażąda pieniędzy jeszcze dziś wieczorem, nie możesz zostać bez opieki.

- Ile zażądał?

- Pięćdziesięciu tysięcy. - Mogę ci załatwić pięćdziesiąt tysięcy jednym telefonem.

- Dzięki, Ruda, ale nie potrzebuję twoich pieniędzy. W ciągu godziny będę miał przelew z mojego banku.

- A nie mogłabym dyskretnie ci towarzyszyć do miejsca, gdzie każe ci zostawić pieniądze? - spytała Maddie, podchodząc do Dylana kołyszącym krokiem i przymilnie obejmując go za szyję. - W charakterze odvodu, razem z moją ochroną?

- Mowy nie ma. - Dylan zdjął jej ręce z szyi i mocno je uściskał. - Nie mam zamiaru narażać cię na kolejne niebezpieczeństwo.

- Ale jeżeli.

- Nie, i już! - odparł, poklepując Maddie po policzku.

Nim zdołała zaprotestować, odwrócił się w fotelu, podniósł słuchawkę i wybrał numer agencji ochroniarskiej z Houston.

Maddie nerwowo przemierzała salon swojego mieszkania. Z kanapy jej ruchy bacznie obserwowała Geraldine - „Gerri” - Nightingale.

Mierząca ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ważąca około

osiemdziesięciu kilogramów „opiekunka” Maddie miała budowę miotaczki kulą oraz okrągłą, zdumiewająco młodą jak na czterdziestoletnią kobietę, łagodną twarz.

Jej kasztanowe włosy były krótko ostrzyżone, ukazując kształtne uszy ozdobione małymi złotymi kolczykami w kształcie kółek. Nosiła czarne proste spodnie i beżowy, luźny żakiet, który maskował umocowany na biodrze potężny rewolwer. Maddie miała wrażenie, że jej bystre piwne oczy widzą wszystko, co dzieje się przed nią, za nią i po obu bokach równocześnie.

- Nie ma go od ponad godziny. Dlaczego nie wraca? - denerwowała się Maddie, nie przestając krążyć. - Trzeba było za nim pojechać.

- Pan Bridges wyraźnie powiedział, żebyśmy stąd nie wychodziły.

- Mam w nosie, co powiedział pan Bridges. - Maddie zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak histeryczka, lecz nie mogła się opanować ze strachu o los Dylana.

Ten szalencie wybrał się sam nie wiadomo dokąd, z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów w granatowej sportowej torbie. Za nic nie chciał zdradzić, gdzie tajemniczy facet kazał mu zdeponować pieniądze. Maddie robiło się niedobrze na myśl o tym, co mogło go spotkać. Nie wyobrażała sobie dalszego życia bez Dylana.

- Proszę usiąść i spróbować się zrelaksować - łagodnym tonem zaproponowała Gerri. - Pan Bridges na pewno zadzwoni do pani zaraz po załatwieniu sprawy.

- To bardzo niebezpieczna sprawa. A jeżeli zastawiono na niego pułapkę? Gdybyśmy za nim pojechały, można by w razie czego przyjść

mu z pomocą. - Maddie skierowała spojrzenie na wystającą spod rozpiętego żakietu Gerri kaburę rewolweru. - Dobrze strzelasz? - spytała.

- Nigdy nie chybiam - z dumą odparła Gerri.

- No widzisz! Gdybyśmy pojechały, a jemu coś groziło, mogłabyś w razie czego... kogoś postrzelić.

- Tak jest.

Maddie podjęła swą wędrówkę po pokoju. Zadzwoń, na miłość boską! Zadzwoń!

- Nie ma pani nic przeciwko temu, żebym posłuchała wiadomości o dziesiątej?

- Co takiego?

- Czy mogę włączyć telewizję?

- Jasne, nie krępuj się.

Gerri wzięła pilota i nacisnęła guzik. Ekran telewizora natychmiast się rozświetlił. Podczas gdy Gerri przeskakiwała z kanału na kanał, szukając wiadomości, zadzwonił telefon.

Maddie rzuciła się do aparatu i chwyciła za słuchawkę.

- Halo?! - zawołała.

- Cześć, Ruda!

- Boże, Dylan! Już nie wiedziałam, co robić. Odzie jesteś? Czy wszystko w porządku?

- Jestem w drodze do ciebie - odparł. - Cały i zdrowy.

- Jak poszło?

- Na razie bez niespodzianek. Zostawiłem torbę na siedzeniu w trzecim boksie w barze Harry'ego i zgodnie z zapowiedzią po otwarciu menu znalazłem w środku kartkę z dalszymi instrukcjami. - Gdybyś dał

znać Hartowi...

- To nasz facio nie zbliżyłby się do pieniędzy - przerwał Dylan. - Bo jeżeli jest gliniarzem, na pewno zwietrzyłby zasadzkę. Po prostu rozpoznaliby czekających na niego tajniaków.

- Może masz rację. Dobrze w każdym razie, że już po wszystkim. A jakie masz dalsze instrukcje?

- Lepiej, żebyś nic nie wiedziała.

- Powiedz mi przynajmniej, kiedy ma nastąpić kolejna wymiana.

- Jeżeli rewolwer wróci na swoje miejsce zgodnie z umową, jutro mam się zgłosić po odbiór informacji.

- Zaraz jutro?

- Im szybciej, tym lepiej. Facet obiecuje, że na podstawie posiadanych przez niego informacji policja będzie mogła ująć człowieka, który zamordował mojego ojca.

- A co będzie, jeżeli... - Tak się bała, że trudno jej było wypowiedzieć na głos tłące się podejrzenie.

- A jeżeli facet cię wrabia? Może chcą cię wciągnąć w zasadzkę?

- Nie jestem durniem. Będę się miał na baczności

- zapewnił ją. - Zamiast się niepotrzebnie zamartwiać, włóż lepiej na moje powitanie coś seksownego. Będę najdalej za kwadrans.

- Widać zupełnie zapomniałeś, że mam od dzisiaj w swoim domu opiekunkę, która na krok mnie nie odstępuje.

- Ale chyba nie będzie spać z tobą w jednym łóżku? - Pewnie, że nie. Będzie spać w pokoju gościnnym.

- Kamień spadł mi serca. Nie jestem zwolennikiem seksu we trójkę.

- Jakiego seksu we trójkę? - zdziwiła się Maddie, do której dopiero po chwili dotarł sens jego słów. - Czy to znaczy, że planujesz zostać u mnie na noc?

- Otóż właśnie, mam taki plan. A co więcej, planuję nie odstępować cię także w łóżku.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wysunęła się ostrożnie z łóżka, zachowując się jak najciszej, by przypadkiem nie obudzić Dylana, którego przez cały czas śledziła kątem oka. Przeszedłszy na palcach przez pokój, zdjęła wiszącą na krześle marynarkę Dylana i zaczęła przeszukiwać jej kieszenie. Żadnymi namowami nie zdołała go skłonić do ujawnienia, o której godzinie i w jakim miejscu ma się nazajutrz wieczorem spotkać z tajemniczym informatorem.

Ona jednak poprzysięgła sobie, że tym razem nie puści go samego. Znając szczegóły planowanego spotkania, będzie mogła pojechać za nim, oczywiście w dyskretnej odległości. No i oczywiście zabierze ze sobą potężną, uzbrojoną Gerri.

Znalazłszy w bocznej kieszeni marynarki odręczną kartkę, szybko przebiegła ją wzrokiem i wsunęła z powrotem na miejsce. Na podmiejskiej arenie, gdzie odbywają się zawody rodeo. O jedenastej w nocy. Facet musiał się upewnić, że nie ma dziś żadnych zawodów i arena

będzie pusta. Miejsce było ustronne, z dojazdem z jednej strony, łatwym do upilnowania. Chyba że ktoś zawczasu przygotuje zasadzkę.

Dylan z westchnieniem przewrócił się z boku na bok. Maddie powiesiła marynarkę i ruszyła cichutko w kierunku łóżka. Dylan ponownie zamruczał i wyciągniętą ręką jął szukać jej w pościeli. Była w połowie drogi, kiedy otworzył oczy. Rozejrzał się po łóżku, a potem po pokoju.

- Co ty tam robisz? Dokąd się wybierasz? - zapytał, podnosząc się i siadając. Kołdra opadła z niego, odsłaniając szeroki, przyprószony ciemnym zarostem tors, płaski jak deska brzuch i potężne mięśnie. W garniturze Dylan Bridges wyglądał na nadzwyczaj przystojnego, ale nago... po prostu nie miał sobie równych.

- Ja... hm... starałam się zachowywać jak najciszej, żeby cię nie zbudzić - tłumaczyła się Maddie. Stała na środku pokoju kompletnie naga, nie odczuwając z tego powodu najmniejszego zmieszania. Mężczyzna, który teraz na nią patrzył, zdążył poznać każdy milimetr jej ciała.

- Dokąd się wybierałaś w tym stroju? - zaciekawił się, lustrując ją wzrokiem od szyi do stóp, a potem znów w górę, by na koniec zatrzymać spojrzenie na biuście.

Maddie zaśmiała się niepewnie.

- Miałam zamiar wskoczyć pod prysznic, a potem...

- A może byś wróciła do łóżka? - zaproponował, poklepując materac po jej stronie, a jednocześnie wyjmując prezerwatywę z leżącego na nocnym stoliku, świeżo nabytego pudełka.

- Panu Bridgesowi wciąż tylko jedno w głowie - mruknęła, a równocześnie ruszyła ku niemu prowokacyjnie wolnym krokiem,

kołysząc biodrami. - Rano, w południe czy w nocy myślisz wyłącznie o seksie - dodała, podchodząc do łóżka.

Dylan pochylił się, złapał ją za rękę i wciągnął do łóżka, odsuwając pościel. Maddie poddała się chętnie, nie stawiając oporu. Zepchnąwszy resztkę pościeli w nogi, przewrócił się na plecy, pociągając ją za sobą. Usiadła na nim.

- Co byś powiedziała na szybką, ostrą przejażdżkę na rumaku? - zaproponował, pieszcząc jej pośladki.

- Myślę, że to idealny sposób na rozpoczęcie dnia. - Podniosła się i ukłękawszy w odpowiednim położeniu, spełniła jego prośbę. Podnosząc i opuszczając biodra, przeszła stopniowo w szybki galop. Jej rytmiczne ruchy budowały napięcie, lecz narastające podniecenie wkrótce odebrało jej zdolność panowania nad sobą. Ruchy jej bioder stawały się coraz gwałtowniejsze, aż wreszcie ogarnęła ją szaleńcza rozkosz. Gdy osunęła się bez siły, Dylan pieścił ją i całował, póki nie przestała drzeć, potem obrócił ją na plecy, wszedł w jej uspokojone, nasycone ciało i kilkoma ruchami sam osiągnął spełnienie.

Maddie od dłuższej chwili wydawało się, że gdzieś w oddali słyszy dźwięk telefonu, lecz realność tego faktu nie docierała do jej zamroczonego podnieceniem umysłu. Z sennego oszołomienia wyrwało ją dopiero głośnie pukanie do drzwi.

- Maddie, telefon! - zawołała przez drzwi Thelma Hewitt. - Telefon do pana Bridgesa. Dzwoni inspektor O'Brien. Dylan stoczył się z ciała Maddie na pościel.

- Dziękuję, Thelmo! - zawołał.

- Przy okazji chciałam powiedzieć, że Gerri już wstała i właśnie je

śniadanie. Bardzo jej smakują moje naleśniki z czekoladowymi wiórkami. Narobiłam ich całą furę, starczy dla wszystkich.

- Daj nam parę minut. Zaraz przyjdziemy - odpowiedział Dylan.

Przeturlawszy się na brzeg łóżka, podniósł kryształową słuchawkę wymyślnego telefonu francuskiej roboty.

- Tu Dylan Bridges.

Maddie przeczołgała się przez łóżko i uklękawszy za plecami Dylana, objęła go za szyję.

- Słucham, o co chodzi? - powiedział Dylan do telefonu, wykręcając się z uścisku Maddie. - To ciekawe. Dziękuję, że dałeś mi znać.

Po odłożeniu słuchawki błyskawicznym ruchem uwolnił się z objęć Maddie, odwrócił się i chwycił ją w ramiona. Maddie szelmowsko zachichotała.

- Czego Hart chciał od ciebie? - spytała.

- Zadzwonil, żeby powiedzieć, że zaginione w tajemniczy sposób narzędzie zbrodni właśnie się odnalazło. Dziś rano.

Maddie otrzeźwiała. Jej psotny nastrój w jednej chwili ustąpił miejsca powadze.

- A to znaczy, że facet wywiązał się z pierwszej części umowy i dzisiaj wieczorem pojedziesz znowu z następnymi pięćdziesięcioma tysiącami dolarów, żeby się z nim spotkać?

- Taka była umowa - przytaknął. - Zawiozłem mu pięćdziesiąt tysięcy, i broń się znalazła. A więc wywiązał się z pierwszej części. Teraz spotka się ze mną osobiście i za następne pięćdziesiąt tysięcy przekaże informacje, które pozwolą dowieść, kto zamordował ojca.

- Pozwolisz mi z sobą pojechać? - spytała.
- Wybij to sobie z głowy.
- To może przynajmniej skontaktuj się z Hartem i zgódź się, żeby...
- Daj spokój, kochanie, już to przerabialiśmy. Nie życzę sobie

żadnej policji. Nie będę ryzykował, że facet się spłoszy i niczego się nie dowiem. I tak wydaje się mocno przestraszony. Pewnie boi się zabójcy, którego zamierza wydać.

- Skąd możesz wiedzieć, czy to nie on zastrzelił sędziego? I z jakiegoś powodu planuje pozbyć się także ciebie?

Dylan pocałował Maddie, wstał i podniósłszy ją z łóżka, postawił na podłodze.

- Włóż coś na siebie - powiedział. - Ślinka mi leci na myśl o naleśnikach Thelmy.

Zbył jej obawy niczym, lecz Maddie wiedziała swoje i nic nie mogło jej odwieść od powziętego zamiaru. Nie będzie dłużej protestować, pozwoli mu pojechać samemu na spotkanie o jedenastej wieczorem na arenie rodeo. A sama w pięć minut później ruszy w jego ślady. Pojadą we troje: ona i Gerri plus wielki rewolwer.

Złożywszy najświętsze słowo honoru, że da Maddie telefonicznie znać natychmiast po dokonaniu transakcji, Dylan około dziewiątej wieczorem opuścił jej apartament z torbą wypchaną dolarami, by udać się do domu ojca przy Royal Avenue. Była to z jego strony dodatkowa przezorność. Gdyby Maddie mimo wszystko zdecydowała się go śledzić, zdąży ją na tym zawczasu przyłapać. Stwierdził jednak z niemałą ulgą, że najwyraźniej nikt za nim nie jedzie. Dla zabicia czasu, włączył w domu telewizję i na poświęconym życiu zwierząt kanale obejrzał dokumentalny

film o ginącym gatunku mustangów z zachodniego rejonu Ameryki. O wpół do jedenastej wyszedł na dwór, zamknął drzwi na klucz, wsiadł do wynajętego samochodu i ruszył za miasto.

Wzdłuż bocznej drogi prowadzącej ku terenowi, na którym odbywały się zawody w ujeżdżaniu koni i mieściły stajnie, nie paliły się latarnie, natomiast sama arena była jasno oświetlona. Po zaparkowaniu samochodu Dylan wziął torbę z pieniędzmi i skierował się ku tylnemu wejściu, gdzie zgodnie z umową miał się spotkać z tajemniczym informatorem. Za nazwisko zbrodniarza, który zastrzelił ojca, warto było zapłacić znacznie więcej niż sto tysięcy. Mając jego nazwisko i wiedząc, gdzie go szukać, policja będzie mogła wezwać faceta na przesłuchanie, a także porównać odcisk jego dłoni z odciskiem zostawionym na narzędziu zbrodni. Będzie jeszcze lepiej, jeżeli mężczyznę, z którym miał dokonać transakcji, oprócz podstawowych informacji dostarczy mu materialnych dowodów winy wskazanego człowieka.

Tylne wejście na arenę tonęło w cieniu, lecz płynące z areny światło pozwoliło mu odczytać na zegarku godzinę. Za dziesięć jedenasta. Trochę się pośpieszył.

Minuty wlokły się, jakby to były godziny. W końcu rozległ się warkot nadjeżdżającego samochodu. Dylan poczuł w skroniach gwałtowne pulsowanie krwi. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, by dotknąć piętnaściorzowego rugera kaliber dziewięć milimetrów, którego zwykle trzymał w zamkniętym schowku w rozbitym porsche. Miał głęboką nadzieję, że obejdzie się bez użycia broni, niemniej byłby skończonym idiotą, gdyby pakował się w taką sytuację nieuzbrojony. Nie miał zielonego pojęcia, z kim będzie miał do czynienia, ani jaki obrót

przybierze ich spotkanie.

Czekał czujny i napięty, przygotowując się wewnątrz na wszystko, co może się wydarzyć. Parę minut przed jedenastą dostrzegł skradającego się wzdłuż ogrodzenia niskiego, żylastego osobnika w wieku dwudziestu kilku lat, który zatrzymał się w odległości dobrych dziesięciu metrów od niego. Na ile w panującym wokół półmroku Dylan mógł się zorientować, facet wyglądał na Latynosa. Ale kiedy się odezwał, mówił bez obcego akcentu.

- Przyniosłeś pieniądze? - zapytał.

Dylan wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał torbę z pieniędzmi, i podniósł ją do góry.

Tamten rozejrzał się nerwowo na wszystkie strony.

- Przyjechałeś sam, tak jak ci kazałem? - zapytał.

- Jestem sam - odparł Dylan.

- Połóż torbę na ziemi i kopnij w moją stronę - rozkazał tamten. -

Zanim powiesz, co wiesz?

- Najpierw pieniądze, potem informacje.

Dylan skinął głową. Ciarki chodziły mu po plecach. Instykt podpowiadał mu, że dzieje się coś niedobrego. Czuł niejasne niebezpieczeństwo. Zamarł na chwilę bez ruchu, nastawiając uszu, lecz dokoła panowała cisza. Niepokój jednak nie ustawał.

- Na co, cholera, czekasz?! - wrzasnął tamten.

- Na pewno przyjechałeś sam? - odkrzyknął Dylan, przykładając rękę do klapy marynarki.

W razie czego błyskawicznie wyciągnie rewolwer. Co za szczęście, że nauczył się posługiwać bronią! Kiedy parę lat temu wraz z grupą

współpracowników postanowili pójść na kurs strzelania, nie powstało mu w głowie, iż nadejdzie dzień, w którym naprawdę będzie zmuszony posłużyć się rewolwerem w swojej obronie.

- Po cholere miałbym kogoś wtajemniczać w nasze sprawy?

Potrzebuję pieniędzy, żeby zwiać jak najdalej od Mission Creek... i od faceta, który zapłacił mi za wykradzenie broni, z której zastrzelił twojego starego.

- Kto cię do tego wynajął? Kim jesteś? Jakim sposobem miałeś możliwość wykradzenia rewolweru z policyjnego laboratorium?

- Nie będę odpowiadał na żadne pytania, dopóki nie dostanę pieniędzy - odparł tamten.

Dylan rzucił torbę na ziemię i kopnął ją na odległość dobrych pięciu metrów.

- A teraz zacznij się cofać, dopóki ci nie powiem, że możesz się zatrzymać. Dylan posłuchał go, jednakże cofając się krok po kroku, czuł coraz wyraźniej czyhające w mroku niebezpieczeństwo. Tamten powoli, ostrożnie, zbliżał się do leżącej na ziemi torby. Przez cały czas rozglądał się nerwowo na wszystkie strony, jakby spodziewał się, że w każdej chwili może być zaatakowany. Dylan bynajmniej mu się nie dziwił; sam był napięty i roztrzęsiony.

W momencie, gdy Latynos schylił się po torbę, Dylan usłyszał jakiś dźwięk. Dopiero po paru sekundach dotarło do jego świadomości, co usłyszał. Huk wystrzału rozdarł ciszę nocy, a dokładnie wycelowana kula trafiła potencjalnego informatora prosto w pierś, obalając go na ziemię.

Dylan błyskawicznie uskoczył, kryjąc się za wielką pakamerą z grubej blachy, i wyciągnął z kieszeni rewolwer. Słyszał czyjeś kroki.

Głośny oddech. Być może, to co słyszy, to jego własny oddech. Kroki jednak na pewno nie były jego i nieuchronnie się zbliżały.

- Wyłaź, Bridges, teraz kolej na ciebie! - odezwał się czyjś głos. - Obaj jak idioci daliśmy się nabrać temu skurwysynowi Torrezowi. Zapłaciłem mu tysiąc dolców za wyniesienie mojego siga z policyjnego schowka, a ten bydlak, zamiast wywieźć broń do Corpus Christi i wyrzucić do zatoki, jak mu przykazałem, zatrzymał ją, żeby odsprzedać tobie. Mam jeszcze na szczęście kumpli gdzie trzeba, którzy mi o wszystkim donieśli. A co najważniejsze, dziwka Torreza bardziej bała się mnie niż jego.

Ten facet nie żartuje, pomyślał Dylan. Jest bezczelnym łajdakiem, ale na pewno nie durniem. Nadal trzymał się w ukryciu. A w dodatku zamilkł nagle i przestał się poruszać. Czyżby się skradał, żeby go dopaść? Czy nie spróbować wycofać się, żeby zejść go od tyłu? Jakiś inny odgłos doszedł do uszu Dylana. Chyba warkot samochodu. Jeżeli facet zorganizował sobie posiłki, będzie ze mną krucho, przemknęło Dylanowi przez głowę.

- Zapewniłeś sobie wsparcie? - usłyszał pytanie, które upewniło Dylana, że niewidoczny wróg nadal znajduje się w pewnej odległości od niego, a ponadto, iż zbliżający się nieoczekiwanie ku arenie samochód nie wiezie pomocników bandyty.

- Być może - odparł Dylan. Może rzeczywiście, ale nie wiadomo, skąd miałyby przyjść, myślał gorączkowo. Czyżby Maddie zawiadomiła Harta? Ale gdyby nawet, to co miałyby mu powiedzieć? Nie znała przecież ani miejsca, ani godziny tajemnego spotkania.

Rozejrzał się uważnie dokoła. Na prawo od siebie dostrzegł dwie

ciemne sylwetki - jedną wysoką, drugą niską - które zbliżały się wolno w jego stronę. Dwie tajemnicze postacie, kimkolwiek były, szły wprost na linię strzału.

Wypadki potoczyły się w błyskawicznym tempie. Dylan w nowo przybyłych rozpoznał Maddie oraz ochraniającą ją olbrzymkę. Gerri szła z gotowym do strzału rewolwerem w rękę. W chwili, gdy Dylan wydał ostrzegawczy krzyk, bandyta, który przed chwilą zabił człowieka, strzelił po raz drugi, ale chybił celu. Nim ugodził ją drugi strzał, Gerri zdążyła odepchnąć i przewrócić Maddie, po czym osunęła się na ziemię. Maddie wrzasnęła na cały głos. Dylan wyskoczył z ukrycia i strzelając na oślep w kierunku napastnika, pognął jej na ratunek.

Musi ją za wszelką cenę uchronić od niebezpieczeństwa. Ale co ona tutaj robi i jakim cudem tutaj trafiły? Skąd Maddie wiedziała, gdzie go szukać?

Kiedy dobiegł na miejsce, gdzie znajdowała się Maddie, bandyta oddał kolejny strzał. Strzał, który sięgnął celu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Posiadanie majątku pozwalającego kupić w Mission Creek wszystko i wszystkich miało swoje zalety. Obietnica przekazania szpitalowi gigantycznej darowizny zapewniła Maddie wiele niedostępnych zwykłym śmiertelnikom przywilejów.

Po operacji usunięcia kuli, która utkwiała w ramieniu Dylana, pozwolono jej czuwać przez cały dzień i całą noc przy chorym w pooperacyjnej sali intensywnej terapii, do której normalni odwiedzający

mieli wstęp jedynie w ściśle określonych godzinach. Kiedy zaś po upływie kilkunastu godzin lekarze uznali, że niebezpieczeństwo minęło, Dylana wraz z nieodstępną Maddie przeniesiono do luksusowego apartamentu w tym samym szpitalu. Do pokoju chorego, bardziej przypominającego elegancką sypialnię niż szpitalną salę, przylegał nie mniej wytwornie umeblowany salon. W apartamencie znajdowały się meble z wiśniowego drewna, obita wielbłądzą wełną kanapa, służąca po rozłożeniu do spania, dwa fotele w stylu królowej Anny, oraz nieduży stół jadalny z dwoma krzesłami.

Maddie z czułością przypatrywała się Dylanowi, który z apetytem spożywał swój pierwszy od operacji solidny posiłek, przyrządzony rękami samej Thelmy. Po raz nie wiadomo który dziękowała Bogu za uratowanie mu życia. Jeżeli przeżył, to na pewno nie dzięki niej. Odwrotnie, został postrzelony, idąc jej na ratunek. Czowała się z tego powodu okropnie winna. Chociaż z drugiej strony, nawet Dylan przyznał, iż w sumie nieźle się spisała. Nie chodziło mu przy tym, rzecz jasna, o nieprzemyślany wypad na miejsce tajemnego spotkania, lecz to, że w ostatniej chwili zadzwoniła do Harta.

Kiedy dziękowała Dylanowi za jego bohaterskie postępowanie, ten gwałtownie zaprotestował.

- Podziękuj Hartowi, to on jest prawdziwym bohaterem. Mądrze postąpiłaś, dając mu znać. Gdyby się nie pojawił...

Maddie wolała nie myśleć, co by się stało, gdyby Hart O'Brien nie zjawił się na miejscu w parę chwil po tym, jak strzały dosięgły Gerri i Dylana.

- Daj spokój, Ruda, nie marszcz się, bo ci tak zostanie! - upomniął

ją Dylan.

Obdarzyła go bladym uśmiechem.

- Kiedy byłeś w łazience, zadzwonił Hart - powiedziała. - Wybiera się do nas.

- Jakaś ważna wiadomość? Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś?

- Zdrową ręką odstawił opróżniony talerz na tacę, a tacę zdjął z łóżka.

Lewe ramię miał dokładnie zabandażowane, a rękę unieruchomioną.

- Gdybym miała w tej sprawie coś do powiedzenia, Hart musiałby poczekać, aż całkowicie wyzdrowiejesz - oświadczyła.

- Otrzymałem tylko postrzał w ramię – obruszył się. - Za tydzień, dziesięć dni będę zdrow jak ryba. Przestań się nade mną trząść i ochraniać przed najdrobniejszymi przykrościami. Nie jestem dzieckiem. Jestem dorosłym mężczyzną, i wkrótce odzyskam siły. I jestem zdrowy na umyśle. Nie muszę mieć piastunki. Maddie skinęła głową, lecz łzy napłynęły jej do oczu i musiała się odwrócić.

- Przepraszam, kochanie. - Dylan ujął ją za rękę. - Nie potrzebuję piastunki, tylko przyjaciela. Oraz kochanki.

Popatrzyła na niego. Po jej policzkach spływały łzy.

- Bardzo jesteś mi potrzebna - zapewnił, biorąc ją za rękę i przyciągając ku sobie. - Ale nie w charakterze dobrej mamy, pielęgniarki ani ochroniarza. Zrozumiałaś?

Maddie potulnie przytaknęła.

- A propos ochroniarza. Jak się miewa Gerri? - zapytał.

- Nadal jest na intensywnej terapii, ale lekarze mają nadzieję, że jutro przeniosą ją do normalnej sali.

Dylan nadal trzymał ją za rękę. Kiedy podeszła bliżej, puścił je i

wskazał brzeg łóżka. Usiadła ostrożnie, uważając, by go nie potrącić. On tymczasem zdrową ręką objął ją w pasie.

- Bardzo cię proszę, żebyś przestała obarczać siebie winą za to, co przytrafiło się Gerri i mnie - powiedział.

- A kogo miałabym winić?

- Nie wiem, może los, może mnie, ale przede wszystkim człowieka, który dybał na nasze życie. Tylko nie siebie. - Ale to ja o mało nie doprowadziłam nas... - Łzy nie pozwoliły jej dokończyć.

- Uważałaś, że postępujesz właściwie. Nie mówiąc już o tym, że dzwoniąc do Harta, uratowałaś nam życie. Gdybym był mądrzejszy, dałbym mu znać natychmiast po pierwszym telefonie. To ty przez cały czas przekonywałaś mnie, żeby wtajemniczyć we wszystko policję.

Popatrzyła na niego z rozczeniem.

- Nie dość, że cię postrzelili i leżysz w szpitalu, to jeszcze masz siłę mnie pocieszać. Czy nie powinno być na odwrót?

- Nie, kochanie - odparł z uśmiechem. - Musimy się pocieszać nawzajem. Ty ostatnimi czasy i tak za wiele brałaś na siebie. - Objął ją za szyję i zmusił, by się nad nim pochyliła. - Ile mamy czasu do przyjazdu Harta? - spytał, muskając wargami jej usta.

- Uspokój się, jesteś jeszcze za słaby na figle - migle - upomniała go. - Zresztą Hart może się zjawić lada chwila.

W tym momencie otworzyły się drzwi.

- Już się zjawił i z tym, co chodziło wam po głowie, będziecie musieli poczekać, aż sobie pójdzie.

- Właśnie prosiłem siostrę Maddie, żeby wymyła mnie od stóp do głów - odparł ze śmiechem Dylan.

- Na pewno nie omieszka tego zrobić. W swoim czasie - odrzekł Hart. - Na razie myślę, że powinienem was poinformować o aktualnym stanie śledztwa.

Maddie podniosła się z łóżka i usiadła na najbliższym krześle. Hart stanął w nogach łóżka.

- Strzelaj! - zachęcił go Dylan. Usłyszawszy, co powiedział, lekko się skrzywił i dodał: - Wybrałem nie najlepsze słowo.

- No więc powinniście wiedzieć, że bandyta, niejaki Alex Black, siedzi w pudle. Został aresztowany pod zarzutem zastrzelenia sędziego Carla Bridgesa oraz Manuela Torreza, czyli faceta, który wyniósł rewolwer z laboratorium.

- Skąd wiecie, że to na pewno on? Jakie macie dowody? - wypytywał Dylan. - Czy wystarczą, żeby go skazać?

- Manuel Torrez, który należał do ekipy sprzątaczy utrzymujących czystość we wszystkich urzędach miejskich, w tym także w policyjnym laboratorium, wykradł broń na polecenie Blacka, ale potem ogarnęła go chciwość i pomyślał, że za pieniądze uzyskane od ciebie za zwrócenie broni i wydanie Blacka, zdoła umknąć z miasta. - Hart obrzucił surowym spojrzeniem Maddie i Dylana. - Trzeba było do mnie zadzwonić zaraz po jego pierwszym telefonie.

- Wiem - westchnął Dylan. - Zmądrzałem trochę po czasie.

- No cóż, Torrez nie przeżył, ale przed śmiercią zdążył powiedzieć, że to Black zapłacił mu za wykradzenie rewolweru. - Hart zawiesił głos. - A odcisk dłoni Blacka odpowiada odciskowi zdjętemu z rewolweru znalezionego na miejscu zbrodni.

- Niech mnie kule biją! - ucieszył się Dylan. - A czy ten... czy Alex

Black powiedział, dlaczego zastrzelił ojca? - Black wszystkiemu zaprzecza - odparł Hart. - Ale już się nie wywinie. Dopilnujemy, żeby został skazany. Black to podrzędny bandzior, powiązany z mafią.

- Zwracając się bezpośrednio do Dylana, dodał: - Facet nie wyjrzy z więzienia, masz moje słowo!

Dylan wyciągnął do niego rękę.

- Dziękuję - powiedział, ściskając dłoń Harta. - Za wszystko.

- Spełniłem tylko swój obowiązek.

- Chociaż ci tego nie ułatwiłem - przyznał Dylan.

- Jeszcze raz przepraszam.

- Rozumiem, jak się czułeś. Nie wiem, jak sam bym postąpił na twoim miejscu - odparł Hart.

- Ale wciąż nie znamy przyczyny - podjął Dylan.

- Nie wiemy, kto i dlaczego kazał ojca zastrzelić.

- Prędzej czy później dowiemy się, kto za tym stał. Chociaż to może potrwać. - Hart opart Dylanowi rękę na ramieniu. - Ale czy możesz mi przyrzec, że od tej pory oddasz sprawę w ręce policji?

- Masz moje słowo! - odparł Dylan z przekonaniem.

Hart spojrzał na Maddie.

- Mam nadzieję, że go dopilnujesz - powiedział.

- Ja? Przecież on mnie nie słucha. Nie mam na niego najmniejszego wpływu.

Hart uśmiechnął się pod nosem.

- Uważaj - powiedział, spoglądając na Dylana spod oka. - Ona jeszcze cię rozszyfruje, a wtedy - tu Hart wyciągnął do niego rękę, jakby mierzył z rewolweru - pstryk, i będzie po tobie. - O co właściwie

chodziło Hartowi z tym strzelaniem z palca? - spytała Maddie Dylana po wyjściu policjanta.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł Dylan.

Po pięciodniowym pobycie w szpitalu Maddie sprowadziła Dylana do swego apartamentu, gdzie roztoczyła nad nim iście matczyną opiekę. Ale chociaż jej nadopiekuńczość doprowadzała go chwilami do szału, znosił potulnie swoją sytuację, zdając sobie sprawę, jak bardzo wobec niej zawinił. Przez własną pyszałkowatość i pewność siebie naraził wszystkich na straszne niebezpieczeństwo i omal nie spowodował śmierci Maddie, Geraldine oraz swojej.

Ramię jeszcze mu trochę dolegało, poza tym jednak czuł się coraz lepiej. Troskliwość Maddie nie była mu potrzebna, lecz gdy próbował jej to tłumaczyć, nie chciała go słuchać. Jedyne, czego naprawdę potrzebował, to kochać się z nią. Wszelako Maddie twierdziła, że nadmiar wysiłku może mu zaszkodzić i zdecydowanie odpierała jego erotyczne zapędy. Żeby się przed nimi ustrzec, skazała Dylana na sypianie w pokoju gościnnym.

Wszedłszy parę minut po ósmej do kuchni, zdziwił się, że Maddie nie czeka na niego ze śniadaniem. Thelma stała przy zlewie, zajęta zmywaniem garnków.

- Dzień dobry panu, jak się spało? - spytała.

- Wyśmienicie. A gdzie Maddie?

- Śpi. Biedactwo jest już na ostatnich nogach. Odkąd pana postrzelili, mało co sypia. - Ale ja już od trzech dni nie jestem w szpitalu, więc chyba miała czas się wyspać.

- Kiedy ona wstaje po nocach i sprawdza, czy u pana wszystko w

porządku - wyjaśniła Thelma, kręcąc bezradnie głową.

- Jak mam ją przekonać, że jestem zdrowy jak byk?

- Musi pan wymyślić dla niej jakieś niezwykle przeżycie. Najlepiej romantyczny wieczór - odparła poczciwa służąca.

- Romantyczny wieczór?

- Chyba nie chce pan żyć jak mnich przez następnych parę tygodni, no nie?

Dylan poczuł, że się rumieni. Nie przywykł omawiać swego seksualnego życia z postronnymi osobami, a zwłaszcza z gosposią swojej kochanki.

- Maddie uwielbia balet, a do tego jej dobra znajoma jest primabaleriną w Houston Ballet. Niech pan ją zabierze któregoś dnia na przedstawienie do Houston. Będzie miała przyjemność, a przy okazji przekona się, że jest pan już zdrowy.

- Thelmo, jesteś geniuszem! Wieczór w operze, limuzyna, kolacja w pięciogwiazdkowej restauracji! Wspaniały pożegnalny wieczór!

- Jak to pożegnalny wieczór! - Thelma spiorunowała go wzrokiem.

- No tak. Za parę dni całkiem odzyskam siły. Przysięgałem uroczyście, że w dalsze policyjne śledztwo nie będę się mieszał. Nie mam tu nic więcej do zrobienia. Czas wrócić do normalnego życia w Dallas.

- A co z Maddie? - Jak to, co z Maddie?

- Chce pan uciec i ją zostawić?

- Nigdzie nie uciekam ani jej nie zostawiam - obruszył się Dylan. -

Po prostu wracam do domu. Z Maddie łączy nas przyjaźń. I mam głęboką nadzieję, że pozostaniemy na zawsze przyjaciółmi - o mało nie dodał: „i kochankami”. - Wiedzieliśmy oboje od samego początku, że nie nadajemy

się do stałych związków.

- Nie przyszło panu przypadkiem do głowy, że Maddie czuje to inaczej?

- Pewnie tak. Ale nie chcemy się nawzajem ranić. Pozostaniemy w przyjaźni.

Nie był pewien, czy wierzy do końca w to, co mówi. Czy w stosunku do niej jest w stanie zadowolić się czystą przyjaźnią? Jakim cudem ma to zrobić, skoro pragnie jej każdą cząstką swego ciała? Ale nie może więcej narażać Maddie po tym, jak dwukrotnie wkroczył w jej życie z fatalnymi dla niej skutkami. Skąd może mieć pewność, że znowu jej nie zawiedzie? Nie, nie wolno mu podejmować takiego ryzyka, nawet za cenę rezygnacji z jedynej kobiety, której pragnął tak bardzo, że chciałby mieć ją na własność do końca życia

A poza tym czy ktokolwiek, także i ona, uwierzyłby, że taki finansowy rekin z Dallas jak Dylan Bridges ożenił się z Maddie Delarue z czystej miłości, a nie dla pieniędzy?

Thelma z trzaskiem zamknęła drzwi zmywarki.

- Jest pan skończonym głupcem, panie Bridges! - oświadczyła z mocą. Dylan pochylił się i ucałował ją w oba policzki.

- A pani, droga Thelmo, jest niepoprawną romantyczką, wierzącą w bajki o księżniczce i księciu, którzy pobrali się i żyli długo i szczęśliwie.

Maddie stała za półotwartymi drzwiami kuchni, a po jej policzkach spływały łzy. Słyszała całą rozmowę. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Dylan jej nie kocha. Nie chce spędzić z nią reszty życia. Był to cios tak porażający, iż wydawało jej się, że tego nie przeżyje. Kolejny raz w życiu zrobiła z siebie idiotkę. Ale tym razem nie był to zawód podobny

do tych z przeszłości, które zaledwie lekko zraniły jej serce. Dylan złamał jej serce na zawsze.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W parę dni po kuchennym incydencie Maddie i Dylan polecili wynajętym samolotem do Houston. Maddie wybrała na tę okazję swą ulubioną wieczorową kreację: długą do kostek, purpurową suknię z połyskliwego jedwabiu, z prostą spódnicą i dopasowanym do figury stanikiem na cieniutkich ramiączkach. Do tego włożyła długie balowe rękawiczki w kolorze lawendy i pantofle tej samej barwy na bardzo wysokim obcasie. Włosy miała zaczesane do góry i ułożone w wymyślny kok, a strój dopełniały wysadzone ametystami i brylancikami kolczyki oraz bransolety.

Dylan był jej wyglądem zachwycony. Maddie nie wątpiła w jego szczerość, bo Dylan nie umiał kłamać. Był z nią zawsze absolutnie szczery. Tylko jego ciało karmiło ją kłamstwami, obiecując wieczne szczęście i miłość.

Maddie bała się, jak przetrwa ten wieczór - ostatni wieczór z Dylanem. Jej ukochany miał już zamówiony na jutro lot do Dallas, dokąd miano mu nieco później odesłać samochód. Dylan obiecał, iż zrobi wszystko, aby to był zupełnie wyjątkowy wieczór, który zapamiętają na zawsze. Nie dała po sobie poznać, że mówiąc te słowa, rozrywa jej serce na strzępy. Na lotnisku w Houston czekała na nich limuzyna. Jechali oddzieleni od świata w jej luksusowym wnętrzu, przy dźwiękach dyskretnej muzyki. Dylan z uśmiechem nalewał jej szampana,

nadskakiwał, pieścił jej nagie ramiona. A ona przez cały czas starała się udawać, że jest zadowolona i docenia jego dobrą wolę.

- Jesteś dziś niezwykle milcząca - zauważył w pewnej chwili.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Jestem chyba tym wszystkim zanadto oszołomiona. Wyczarowałeś taki cudowny wieczór.

- Jestem na twoje usługi. - Pochylił się i złożył na jej ustach leciutki pocałunek.

Miała ochotę przytulić się do niego z całej siły i błagać, aby jej nie porzucił. Ale Maddie Delarue nigdy się nie zniżyła do tego, by błagać mężczyznę o miłość. Dla Dylana nie zrobi wyjątku. Było oczywiste, że jej nie kocha i nie ma ochoty spędzić z nią życia. Łudziła się, sądząc, że cudowny seks nie jest możliwy bez miłości.

- Powiedz mi, jak dobrze znasz Susan Wainwright? - spytał nagle Dylan.

- Jak dobrze ją znam? Tak jak prawie wszystkich w tej rodzinie. Oczywiście Susan jest ode mnie o parę lat młodsza, ale zawsze bardzo ją lubiłam. I zazdrościłam, że jest taka szczupła i wysoka.

Dylan objął ją i z uśmiechem zmierzył wzrokiem.

- Kochanie, nie masz powodu, żeby jakiegokolwiek kobiecie zazdrościć figury - powiedział. - Masz ciało, o jakim marzy każdy mężczyzna od najwcześniejszych lat aż do ostatniego tchnienia.

Cóż miała powiedzieć, słysząc ten wyszukany komplement? Wszystkie komplementy świata, wszystkie pochlebstwa i czułe słówka nie były w stanie zastąpić jednej jedynej rzeczy, o jakiej marzyła: by został z nią na zawsze.

Uśmiechnęła się z przymusem. Boże, czy on nie widzi jej udawania?

- Kiedy byłem chłopcem - odezwał się - ojciec zabierał mnie czasem do opery na balet, a ja tego nie znośłem. Dopiero parę lat temu doceniłem balet, dzięki kobiecie, z którą się wówczas widywałem. Jest prawdziwą wielbicielką baletu.

- To bardzo ciekawe! - zauważyła fałszywie.

- Ma na imię Babs. Na pewno przypadłaby ci do gustu. Macie wiele wspólnego. Jej też bardzo do twarzy w tym kolorze. Uwielbia nie tylko balet, ale i operę.

I jest osobą bardzo inteligentną.

- Musi być nader interesująca. - O tak.

- Po powrocie do Dallas zapewne odnowisz z nią znajomość.

- Z pewnością. Wyszła za jednego z moich współpracowników, a ponadto zostałem ojcem chrzestnym ich syna.

Maddie odetchnęła nieco swobodniej. Czyżby odczuła ulgę?

- Nie byłeś zły, że kolega porwał ci sprzed nosa takie чудо? - spytała z przekąsem. - Ależ nie. Z Babs nie łączyło mnie nic prócz przyjaźni - odparł, całując Maddie w szyję.

- To tak jak ze mną.

Odwrócił się w jej stronę, ujął ją pod brodę i popatrzył w oczy.

- Nie, skarbie. Nie tak jak z tobą. Ja i Babs byliśmy przyjaciółmi, ale nie kochankami. A poza tym chcę, abyś wiedziała, że tego, co przeżyłem z tobą, nie dała mi nigdy żadna kobieta.

Chciała zawołać: to dlaczego chcesz mnie porzucić? Dlaczego tak łatwo rezygnujesz z tego, co nazywasz swoim wielkim przeżyciem?

- Tak, wiem, już mi to mówiłeś - odparła Maddie, lekko się od niego odsuwając.

- Musisz mnie kiedyś odwiedzić w Dallas. Nie chciałbym stracić z tobą kontaktu - powiedział.

- Oczywiście. Ani ja.

- Znakomicie. A więc umowa stoi. - Ujął jej dłoń i złożył na niej gorący pocałunek.

W teatrze Maddie nie potrafiła skoncentrować uwagi na przedstawieniu. Jej osobisty dramat przesłaniał ten, który rozgrywał się na scenie. Uwielbiała „Madame Butterfly”, a także oparty na niej dwuaktowy balet do słynnej muzyki Pucciniego, opowiadający o tragedii pięknej gejszy z końca dziewiętnastego wieku, zdradzonej przez nieczułego oficera amerykańskiej marynarki.

Od czasu do czasu kątem kąta odnotowywała także kierowane w jej stronę spojrzenia Dylana, który co jakiś czas ujmował i ścisnął jej dłoń. Wydawał się zupełnie taki sam jak wczoraj, jak przed tygodniem. Jak mógł zachowywać się w ten sposób, skoro wiedział, że to ich ostatni wspólny wieczór? Ale to przecież on postanowił zakończyć ich związek - jeśli w ogóle istniał między nimi jakiś związek. Sam podjął taką decyzję, nic więc dziwnego, że nie cierpiał z tego powodu. Serce mu nie krwawiło, tak jak jej.

Skończ z tym, powiedziała sobie w pewnej chwili. Dosyć rozczulania się nad sobą! Przeżyłaś w życiu niejedną zawód miłosny, przeżyjesz i ten. Tyle tylko, że tym razem dochodzenie do siebie potrwa szczególnie długo, ponieważ zakochałaś się jak nigdy dotąd. Miłość do Dylana nie ma nic wspólnego z młodzieńczym zauroczeniem. Jesteście nie tylko dobrani fizycznie, ale i duchowo. Szkoda, że on tego nie docenia albo nie umie zobaczyć.

Dylan nachylił się i szepnął:

- Susan Wainwright jest rzeczywiście znakomitą tancerką, nie uważasz?

- O tak, tańczy olśniewająco. - Na szczęście nie pierwszy raz widziała Susan na scenie, mogła więc szczerze zaświadczyć o jej talencie mimo swego dzisiejszego rozkojarzenia.

Nagle, w trakcie wykonywania mistrzowskiego *pas de deux*, Susan Wainwright nieoczekiwanie osunęła się na deski sceny. Publiczność wydała zduszony okrzyk. Opuszczono kurtynę. Na sali zaszumiało.

- Mój Boże! - szepnęła Maddie, chwytając Dylana za rękę. - Wiem, że za kulisy nas nie wpuszczą, ale tak bym chciała wiedzieć, co się stało i w jakim Susan jest stanie! Dopiero po dobrych kilku minutach ogłoszono, że pani Wainwright odzyskała przytomność i w obecnej chwili odpoczywa w garderobie, czekając na odwiezienie do szpitala. W dalszej części przedstawienia zastąpi ją inna baletnica.

- Wiesz, wolałabym już stąd wyjść - powiedziała Maddie.

- Może chcesz, żebyśmy jednak spróbowali dowiedzieć się czegoś więcej o stanie Susan? - zaproponował Dylan.

- Nie trzeba - odparła. - Jestem pewna, że rodzina została zawiadomiona. A skoro Susan ma być odwieziona do szpitala, to nic tam po nas, tylko byśmy przeszkadzali. I tak mi ulżyło, kiedy odzyskała przytomność. Słyszałam, że ma kłopoty z sercem. W Mission Creek nic się nie ukryje.

Wyszli z teatru i wsiedli do czekającej limuzyny. Dylan przytulił do siebie drżącą Maddie.

- To było przerażające! - szepnęła. - Kiedy Susan upadła,

pomyślałam, że nie żyje. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy, ale czułam instynktownie, iż dostała ataku serca. Śmierć potrafi przyjść w jednej chwili. Człowiek żyje, rozmawia, działa, a w chwilę później już go nie ma. - Maddie wysunęła się z objęć Dylana, by móc spojrzeć mu w oczy. - Tak jak twój ojciec... albo mój.

- I moja matka - dodał Dylan.

Maddie ma rację, pomyślał. Życie jest zbyt krótkie, zbyt ulotne, a przez to tym cenniejsze. Nie wolno go marnować. - Susan jest taka młoda, młodsza ode mnie. Gdyby miała... Och, Dylan! - Rozplakała się na jego ramieniu.

Dylan obejmował ją, głaskał po plecach, przytulał. Młodsza ode mnie. Młodsza ode mnie, powtarzał w myślach słowa Maddie. A gdyby to Maddie nagle osunęła się bez przytomności na ziemię i odeszła ze świata w kwiecie wieku? Gdyby to ją ambulans odwoził w tej chwili do szpitala, a nie tę inną, nieznaną mu, czarującą i jakże utalentowaną dziewczynę?

Poraziła go myśl, że mógłby utracić Maddie. Jak mógł nie zdawać sobie sprawy, że kocha tę kobietę całym ciałem i duszą, że jest mu najdroższa na świecie? Jak mógł sobie wmawiać, iż nic ich nie łączy oprócz przyjaźni i seksu? Maddie jest częścią jego samego. Jest jego nieodłączną połową. Została stworzona dla niego. Oboje są dla siebie stworzeni; pod każdym względem.

Ale czy jego miłość jest odwzajemniona? A jeżeli tak, to czy Maddie ufa mu na tyle, by zdecydować się na małżeństwo? Trudno, musi w jakiś sposób zdobyć jej zaufanie.

A co z niedowiarkami, którzy powiedzą, że ożenił się z Maddie dla jej pieniędzy? Do diabła z nimi! Niech sobie gadają, co chcą, ma ich w

nosie!

Powinien jednak pamiętać, ile to już razy naraził Maddie na przykrości, a nawet poważne niebezpieczeństwo. Czy znając siebie, może przysiąc, że podobne sytuacje nie powtórzą się w przyszłości? Nie, nie może. No cóż, jest tylko człowiekiem i ludzkie słabości nie są mu obce. Narobił w życiu sporo głupstw i choć wiele się na nich nauczył, zapewne popełni jeszcze niejedną pomyłkę. A Maddie? Czy może jej zaufać? Co do tego nie ma wątpliwości. Ta kobieta to chodzące ucieleśnienie wierności i lojalności. Nigdy go nie zdradzi ani nie zawiedzie.

Ucałował Maddie i z wyjątkiem krótkich przerw dla złapania oddechu, nie przestawał jej całować do końca jazdy na lotnisko.

Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie dojadą do domu i będzie ją miał wyłącznie dla siebie. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy znów znajdą się w łóżku. Ale tym razem wiedział już, że chce się z nią kochać nie tylko dziś, lecz codziennie, do końca życia. Gdy jutro rano obudzi się z Maddie w ramionach, złoży niebu dziękczynną modlitwę za jej istnienie.

Zachowanie Dylana zdawało się wskazywać, że dramatyczny upadek biednej Susan w trakcie przedstawienia wstrząsnął nim równie silnie, jak jego towarzyszką. Maddie odnosiła wrażenie, iż każdym gestem stara się potwierdzić sobie i jej wartość i znaczenie tego, że żyją. Dobrze go rozumiała, ponieważ sama czuła podobnie.

Przekroczywszy próg mieszkania, natychmiast ruszyli pędem w stronę sypialni, w gorączkowym pośpiechu zrzucając po drodze kolejne części garderoby. Nagle przestało się liczyć, że miała to być ich ostatnia wspólna noc, że nazajutrz Dylan wyjeżdża do Dallas, by na zawsze

zniknąć z jej życia. Dla Maddie istniała teraz tylko obecna chwila i obecność Dylana. I to, że pieścił ją, całował i pragnął jej, a ona odwzajemniała jego pożądanie. Życie to tylko chwilka. Upojny taniec, który w każdej chwili może zostać przerwany. Trzeba brać z życia, co można, póki można.

Padli w sypialni na łóżko nadzy i zdyszani, złąknieni cielesnej rozkoszy, będącej najprostszą afirmacją istnienia. Kierowała nimi niczym niezmacona, nieopanowana namiętność, nieodparty seksualny popęd. Bez żadnej gry wstępnej. Nie myśleli o zabezpieczeniu się przed skutkami ani o wzajemnych zobowiązaniach czy trwałości albo nietrwałości ich związku. Kiedy Dylan uniósł biodra Maddie, by połączyć się z nią w jedno, Maddie jękiem rozkoszy potwierdziła swoją zgodę. Akt miłości z Dylanem zawsze dawał jej nieopisane szczęście.

Potem, nadal drżąc z podniecenia, leżeli obok siebie, pieszcząc się i całując. Nic nie mówili. Słowa nie były potrzebne.

Po paru godzinach snu obudzili się i znów kochali. Tym razem mniej gwałtownie, bardziej czule, lecz z nie mniejszą pasją. Najpierw Dylan przyjął dominującą pozycję, potem oddał się w jej władzę. Brali od siebie i dawali sobie rozkosz, myśląc zarówno o sobie, jak i o partnerze, aż w końcu Maddie nie wiedziała, gdzie kończy się jej ciało, a zaczyna jego. Stali się jednym. Nie było jej i jego; byli tylko oni.

Maddie obudziła się o ósmej rano i zobaczyła, że leży w łóżku sama. Tylko pomięta i porozrzucana po - ściel oraz wyczuwalny zapach seksu i niepowtarzalną woń ciała Dylana świadczyły o tym, że spędził z nią minioną noc.

Podniosła się z łóżka i włożyła szlafrok. Czuła się obolała na całym

ciele. Cudowna pozostałość burzliwego kochania się. Ruszyła na dół, obchodząc mieszkanie w poszukiwaniu kochanka. Nigdzie go nie znalazła.

Thelmy też nie było. Maddie dopiero po chwili przypomniała sobie, że jest sobota, a Thelma nie pracuje w weekendy.

Czyżby Dylan wymknął się bez pożegnania podczas gdy spała, w obawie, by nie zaczęła go zaklinać, aby nie odchodził? A może jednak zadzwoni później? Albo wpadnie, jadąc na lotnisko? A może już go nie zobaczy; może między nimi wszystko skończone i na nic więcej nie może liczyć?

Jeśli się nie rozpląkała, to tylko dlatego, że ośwładnęło ją dziwne, błogosławione otępienie. Jakby wstrzyknięto jej w żyły potężną, obezwładniającą ciało i umysł dawkę nowokainy. Chwilę błąkała się po mieszkaniu jak w transie, potem poszła na górę do łazienki. Wzięła prysznic, umyła głowę i wyszorowała zęby, potem włożyła sportowe spodnie koloru khaki i koralowy trykot z krótkimi rękawkami. Pijąc w kuchni poranną kawę, przejrzała gazetę, a po śniadaniu zadzwoniła do Archy'ego Wainwrighta zapytać o zdrowie Susan.

Okolo jedenastej uznała, że musi wyjść z domu, bo inaczej zwariuje. Pojedzie zobaczyć, czy wynajęty samochód Dylana stoi przed domem sądziego. Albo do miasta, żeby kupić jakiś pożegnalny prezent. Samolot Dylana odlatuje dopiero o czwartej po południu. Rozpaczliwie szukała pretekstu, by go zobaczyć.

Poszła po torebkę i z kluczami w ręku ruszyła ku wyjściu, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Wyjrzała przez okienko judasza. Serce zabiło jej w piersiach. Za drzwiami stał Dylan.

- Cześć, Ruda, musisz mi dać osobny klucz - oświadczył, chwytając ją w ramiona i podnosząc z podłogi. - Jeżeli mam tu zamieszkać, muszę mieć własny klucz.

- Co ty opowiadasz? Gdzie się podziewałeś? Mówisz, że tu zamieszkasz?

- Chyba że wolisz mieszkać u mnie. Dom jest trochę ciasny, ale w końcu...

Przyjrzała mu się uważnie.

- Nic z tego nie rozumiem - rzekła niepewnie.

- Faktycznie, mówię nie po kolei. Nawet się nie oświadczyłem. Nie wiem, czy powiesz „tak”. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale przecież mnie kochasz. Prawda, że mnie kochasz?

Maddie ostrożnie wyzwoliła się z jego objęć.

- Nadal nic nie rozumiem.

- Ja też nic nie rozumiałem. Dopiero wczoraj pojąłem, że nic się nie liczy prócz tego, że się kochamy. Zgadzasz się?

Maddie patrzyła na niego, nie wiedząc, co mówić.

- Ale przede wszystkim musimy podpisać przedślubną intercyzę. Żeby potem nie było gadania, że poleciałem na twoje pieniądze. -
Przepraszam - odezwała się wreszcie, nie bardzo wiedząc, czy słuch ją nie myli. - Przepraszam, ale to znaczy, że prosisz mnie o rękę?

Dylan parsknął głośnym śmiechem.

- Wiedziałem, że wszystko pochrzanię. Czy mam uklęknąć?

- Nie musisz. Wystarczy, jeżeli wyjaśnisz, gdzie byłeś i dlaczego nagle...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Musiałem pójść do banku. Gdyby byli dzisiaj zamknięci, musiałbym z odebraniem tego poczekać do poniedziałku. - Dylan wsunął rękę do kieszeni, wyjął z niej mały aksamitny woreczek i wysypał na rękę jego zawartość: jednokaratowy pierścionek zaręczynowy Ledy Bridges i jej ślubną obrączkę. Tę ostatnią włożył z powrotem do woreczka. - Zachowamy ją na potem - oświadczył.

Maddie w oszołomieniu śledziła jego ruchy.

- Kocham cię - podjął Dylan. - Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo. Sam do wczoraj nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo cię kocham. Nie mogę bez ciebie żyć. - To mówiąc, ujął jej rękę i na serdeczny palec wsunął pierścionek matki. - Pasuje jak ulał. Jakby był zrobiony dla ciebie. Maddie, czy zostaniesz moją żoną?

- Tak.

- Tak?

- Tak.

- Wiem, że jest skromny - powiedział, widząc, że Maddie wpatruje się w pierścionek. - Mógłbym ci kupić większy i piękniejszy, ale ten należał do mojej matki.

- Już go pokochałam - odparła. - Prawie tak jak ciebie.

- A właśnie! Najwyższy czas, żebyś wyznała mi miłość - upomniał się Dylan.

Łzy wzruszenia zamglily jej wzrok.

- Kocham cię od zawsze - wyznała. - A na pewno odkąd byłam szesnastolatką.

- Ja chyba też nigdy od tamtej pory nie przestałem cię kochać. Tylko byłem zbyt głupi, żeby to rozumieć

- odparł. - Przykro mi, Ruda, ale wychodzisz za głuptasa.

Maddie dopiero teraz zdała sobie sprawę ze swojego szczęścia.

- Pobieramy się. Będzie wielkie wesele. I pojedziemy w podróż poślubną. I nigdy się nie rozstaniemy - mówiła rozradowana.

- A ja przyrzekam, że będziemy żyć razem długo i szczęśliwie.

- A ja chciałabym mieć dzieci. Twoje dzieci. Zresztą kto wie, czy już nie jestem w ciąży? Po tym wszystkim, co wyrabialiśmy! Co ty na to?

- Pewnie wolałbym przez jakiś czas mieć cię wyłącznie dla siebie, ale jeżeli się okaże, że jesteś w ciąży, też będę zadowolony.

- Naprawdę? - Wspięła się palce, by dosięgnąć jego ust. - Powiedz to jeszcze raz! - poprosiła.

- Co mam powiedzieć?

- Że mnie kochasz.

- Kocham cię i będę ci to powtarzał przez wszystkie następne lata.

- Jak często? - dociekała.

- Co najmniej trzy razy dziennie. Zadowolona?

- Powiedz jeszcze raz!

Dylan porwał ją na ręce z zamiarem zanieśienia do sypialni, lecz w tym samym momencie odezwał się dzwonek u drzwi.

- Nie ma nas w domu - szepnął jej do ucha. Stał nieruchomo, trzymając Maddie na rękach, żeby

nie robić hałasu. Jednakże dzwonek dzwonił i dzwonił, a po chwili Maddie usłyszała zza drzwi dobrze znany głos.

- Maddie, otwórz! Wiem, że tam jesteś. Nie odejdę, dopóki mnie nie wpuścisz.

- Boże! To moja matka.

Dylan podszedł do drzwi i otworzył je, nie wypuszczając Maddie z rąk.

- Dzień dobry pani! - powitał Nadine. - Albo raczej, mammo!
- Co tu się wyrabia? - obruszyła się Nadine. - Upiliście się czy co?
- Jesteśmy pijani miłością - oznajmił Dylan. Nadine zbaraniała.
- Co pan robi z moją córką? Pewnie wybieraliście się do sypialni!

Wstydu nie macie!

- Posłuchaj, mammo - ozwała się Maddie. - Ja i Dylan chcemy ci o czymś powiedzieć.

- Nie interesuje mnie nic, co dotyczy pana Bridgesa
- odparła Nadine wyniośle.
- Powinnaś, mammo, zacząć mówić mi po imieniu
- oświadczył Dylan, nadal nie wypuszczając Maddie z rąk. -

Znajomi będą się dziwić, jeżeli do własnego zięcia będziesz się zwracać per pan.

- Co takiego? Chcesz wyjść za niego?

- Tak, mammo. I to jak najszybciej. Więc zabierz się od razu do urządzania wesela. Daję ci wolną rękę. Nie żałuj pieniędzy. Bardzo nam się spieszy.

. - Zaszłaś w ciążę? - Nadine zrobiła wielkie oczy.

- To jeszcze nic pewnego - uspokoił ją Dylan - ale bardzo się staramy. A teraz, jeśli łaska, chcielibyśmy na chwilę zostać sami. Mamy ważne sprawy do omówienia.

- Pan... ty wyrzucasz mnie z domu mojej córki? - oburzyła się Nadine.

- Tylko na chwilę - zapewnił ją. - Będziesz u nas zawsze mile

widzianym gościem. I bardzo liczymy na pomoc w opiece nad dziećmi.

- Sama nie wiem, co powiedzieć - rzekła zdezorientowana Nadine.
- Pogratuluj mi i powiedz, że się cieszysz - zaproponowała Maddie.

Nadine spojrzała surowo na Dylana.

- Ale będę miała wpływ na wychowanie dzieci?
- Oczywiście - zapewnił ją. - Będą potrzebowały kochającej babci,

która będzie je psuła.

Nadine wreszcie się rozpogodziła.

- Gratuluję panu, młody człowieku. Chociaż nie zasługuje pan na moją córkę.

- Całkowicie się z panią zgadzam.
- A tobie, Maddie, życzę szczęścia - ciągnęła matka. -

Spodziewałam się dla ciebie kogoś lepszego, ale skoro go kochasz, nie pozostaje mi nic innego, jak ci pogratulować. Ale zaznaczam - tu oskarżycielskim gestem wyciągnęła w kierunku Dylana wskazujący palec - że jeżeli kiedykolwiek skrzywdzisz moje dziecko, będziesz miał ze mną do czynienia.

- Dziękuję, mamó, jesteś kochana.
- A teraz zostawiam was samych. - Nadine skierowała się ku

drzwiom, po czym na progu odwróciła się. - Oczekuję was obojga wieczorem na kolacji. Punktualnie o siódmej. Musimy porozmawiać o ślubie i weselu. A teraz do zobaczenia. Nie będę wam dłużej przeszkadzać w realizacji waszych planów.

Kiedy za panią Delarue zamknęły się drzwi, Dylan roześmiał się wesoło.

- Pierwszy raz w moim życiu matka dziewczyny wysłała mnie do

łóżka ze swoją córką.

- W dodatku z myślą o tym, żebyś zrobił jej dziecko - dodała Maddie. -
Chodźmy więc. Nie możemy przyszej babci sprawić zawodu.

scandalous